



PIŁKA NOŻNA
ALBO JA!
WYBÓR NALEŻY
DO NIEGO

Karolina Macios
Wdówki
futbolowe

KAROLINA MACIOS

Wdówki futbolowe

znak *litera
nova*

Najważniejszy w związku jest kontakt i wzajemny szacunek. Milczeniem niczego nie rozwiążecie, bo to – zbyt często stosowane – prowadzi do nieporozumień i błędnych interpretacji zachowań drugiej osoby. Jeśli zależy wam na tym, by się rozumieć, a powinno wam zależeć, jeśli zależy wam na związku, rozmawiajcie.

– Zasłaniasz mi telewizor.

Racja, nie da się ukryć, zwłaszcza jeśli się jest w siódmym miesiącu ciąży, a telewizor to nie wielkogabarytowa plazma. Dodałabym coś jeszcze, dodałabym znacznie więcej, ale po pierwsze słucha tego mój syn, a po drugie mój mąż ostatnio zrobił się zbyt wrażliwy na tym punkcie. Nie ma samochodu, więc wszystkie emocje przelał na obiekt swej dojrzałej miłości, centrum wszechświata mężczyzny tuż przed czterdziestką – czyli nie na mnie, żonę tuż przed czterdziestką, która niespodziewanie dla wszystkich, a już najmniej spodziewanie dla samej siebie, zaszła po raz drugi w ciążę.

Zapytacie, jak można wpaść w tym wieku? Lepiej nie pytajcie. Mój ośmioletni syn, kiedy się dowiedział, wyglądał przez moment, jakby chciał mnie uświadomić seksualnie i strzelić pogadankę na temat antykoncepcji. Na szczęście szybko się rozmyślił. Zamiast tego spojrział na swego ojca tak, jak się patrzy na byka rozplodowego – z odrobiną fascynacji i odrazy. Po kilku latach wspólnego życia udało mi się wypreparować podobne spojrzenie, choć całkowicie pozbawione fascynacji, i uraczyć nim szanownego małżonka, na próżno usiłującego wychylić się z fotela, by dostrzec ekran telewizora zza mojego brzucha. Obiekt jego miłości, błogich westchnień i adresat okrzyków uniesień stał pod oknem, na szafce, która służyła zarazem za podręczną biblioteczkę. Próbowałam właśnie wygrzebać ze stosu książek tę jedną potrzebną mi do pracy, ale jak zawsze w takich sytuacjach, akurat schowała się na samym końcu.

– Marta...

Oho, ton głosu mojego pana i władcy powinien zasugerować mi, że przeze mnie straci najlepszą scenę meczu jednej grupy zidiociałych facetów w białych podkolanówkach z drugą grupą zidiociałych facetów w białych podkolanówkach. Najlepszą scenę z powtórki meczu, który oglądał wczoraj wraz ze swoim kumplem z pracy. Przykro mi, odkąd zaszłam w ciążę, nie jestem dobra w odczytywaniu sygnałów pozawerbalnych. A odkąd mój dość inteligentny jak dotąd mąż złapał bakcyła futbolu, nie jestem również dobra pod żadnym innym względem. Eh, taki już los biednych mężczyzn, którzy chcą tylko przez chwilę zasiąść przed telewizorem i odetchnąć po kolejnym dniu ciężkiej pracy. Powinnam się wzruszyć, zrozumieć i docenić. Niestety, poziom moich hormonów nie pozwala mi na to. Niedobra dziewczynka. Jest! Książka o ledwo widocznym tytule *Niedobra dziewczynka* wysunęła się zza encyklopedii zdrowia dziecka i wreszcie wpadła w moje ręce. Ostatni raz kartkowałam ją ładnych parę lat temu podczas pracy nad magisterką. Co więcej – miałam oddać ją z powrotem do uczelnianej biblioteki przed obroną – ale najwyraźniej o tym zapomniałam. Pieczętka wydziału psychologii na stronie tytułowej nieco wyblakła, ale wciąż dało się ją odszyfrować.

– Marta... Naprawdę nic nie widzę.

To nie nowina. Zauważyłam to już jakiś czas temu. Ślepotą to chyba wirus małżeński, dopada cię na ślubnym kobiercu i niepostrzeżenie latami drąży tunele w twoim organizmie. Uspiony ostrzy sobie pazurki, pozwalając ci trwać w błogiej nieświadomości. A potem przychodzi taki poranek, że budzisz się koło gościa i zanim przypomnisz sobie, że to twój mąż i ojciec twoich dzieci, masz ochotę wrzasnąć i wyskoczyć z łóżka. Tak przynajmniej wirus uaktywnia się u kobiet. U mężczyzn wygląda to nieco inaczej.

– Mamoooo, na pomoc!

Zerwałam się błyskawicznie, nie pamiętając już o wirusie, małżonku, książce i siedmiomiesięcznym brzuchu – dzieci sprawiają, że zapomina się o wielu rzeczach. Przebiegnięcie nawet w tym stanie z jednego pokoju do drugiego, uwzględniając ostry zakręt w przedpokoju i przeszkodę w postaci obrzydliwej szafy z nie do końca przesuwanymi drzwiami, normalnie zajmuje dwie sekundy. Po niecałej sekundzie stanęłam zadyszana w drzwiach pokoju Kacpra i przyglądałam się, jak mój syn, wciąż ze wszystkimi kończynami w stanie nienaruszonym i wszystkimi organami na swoim miejscu, siedzi znudzony przy swoim biurku i majta nogami.

– Mamooo, ja tego nie rozumiem. O co tu chodzi? – wyciągnął w moją stronę zeszyt do matematyki.

Dopiero teraz załała mnie fala paniki, naprawdę wolę już mieć do czynienia z przytrzaśniętymi w drzwiach palcami, ołówkiem wbitym w oko i spinaczem w dziurce od nosa niż z tym. Gdyby ktoś osiem lat temu powiedział mi, że decyzja o dziecku to nie tylko użeranie się z własnym ciałem przez dziewięć miesięcy, a potem użeranie się z personelem szpitala podczas porodu, a potem użeranie się z moją matką, która przecież zawsze wie lepiej i chce mi tylko pomóc, i „jak ty w ogóle trzymasz to dziecko?!” – gdyby ktoś wówczas choć szepnął mi słówko o matematyce, którą przyjdzie mi odrabiać za mego syna, przemyślałabym wszystko jeszcze raz. Teraz było już na to za późno.

– Kacperku, przecież już o tym rozmawialiśmy, tak? Matematyka to czarna magia, magii się nie tłumaczy, poza tym ja się zajmuję białą magią, a to zupełnie co innego.

Dziecię przekrzywiło nieco głowę i posłało mi spojrzenie mojej matki. Szkoda, że nie można bardziej świadomie majstrować przy genach, wyrzuciłabym to i owo. Kiedy za pierwszym razem użyłam argumentu z magią, zapomniałam o jednej drobnostce – że to nasza mała tajemnica. Kacper wszystko powtórzył w szkole przed tablicą, dostał uwagę do dzienniczka za impertynencję, a ja wezwanie do dyrektorki, która rozmawiała ze mną bardzo delikatnie, zupełnie jak z osobą nie do końca poczytalną. Aż dziw, że nie złożyła wniosku o ograniczenie mi praw rodzicielskich. Dlatego przez kolejne dwa miesiące zadania z matematyki odrabiał z Kacprem Wojtek. Tylko przez dwa, zapytacie? Nie pytajcie, znacie doskonale odpowiedź:

a) Yyy, za chwilę się tym zajmę, teraz mi nie przeszkadzaj.

b) Nie mam teraz czasu,

c) No zapomniałem! Przecież świat się nie zawalił! Czemu mi o tym nie przypomniałaś?!

Którąkolwiek z nich sobie wybieriecie i tak wróci to do was. Niesiemy na sobie ciężar tego świata. Mężczyźni zajmują się bowiem wszystkimi innymi światami, poza tym jednym konkretnym – ale tylko my wiemy, że reszta nie istnieje. Taki już nasz kobiecy los. Cóż, witajcie w piekle.

Pielęgnujcie wasze pierwsze wspólne chwile. Mężczyźni zazwyczaj nie dbają o wspomnienia, unikają oglądania starych zdjęć, wyrzucają listy sprzed lat, a już na pewno nie pamiętają, w jakiej sukience szłaś do ślubu. To wszystko należy do ciebie, klucz do waszej przeszłości, do waszego początku jest w twoich rękach. I czasami tym właśnie kluczem można ocalić długoletni związek.

Poznaliśmy się dwanaście lat temu. Wracałam Bracką ze spotkania z przyjaciółką, zaczął padać deszcz, który momentalnie przeistoczył się w prawdziwą wiosenną ulewę. Nawet gdybym miała w torebce parasolkę, nie zdążyłabym jej wyjąć. Zanim jednak przemokłam do suchej nitki, złapałam zapalenie płuc i oskrzeli w jednym, zanim włosy mokrymi strakami oblepiły mi głowę, czyniąc ze mnie wyjątkowo nieatrakcyjną kobietę, wydarzył się cud.

– Zapraszam pod mój parasol.

Szedł po mojej prawej stronie, ledwo mieszcząc się na wąskim krawężniku. Czarny, niezbyt wielki parasol chybotął się w jego dłoni pod naporem deszczu, kiedy z sympatycznym uśmiechem zaoferował mi ramię. W pierwszym odruchu rozejrzałam się w poszukiwaniu kamer, ale jednak nie, wcale nie wlażłam w środek planu filmowego. Gość, jakkolwiek mało realistyczny, wyglądał mimo wszystko na normalnego mężczyznę. Wyglądał, w środku však mógł czaić się psychopata. Lodowaty strumyk wody wpadł mi za kołnierz płaszcza, co ostatecznie umocniło mą wiarę w istnienie prawdziwych dzentelmenów, nawet w Krakowie. Zaryzykowałam i chwyciłam go pod ramię, nurkując pod parasol. Już po trzech krokach musiał pożałować tej decyzji, bo o ile na mnie chwilowo deszcz nie padał, to jemu lało się na głowę.

– Obawiam się, że to sprzęt dla singli – mruknęłam przeproszającym tonem. – Może po prostu odstawi mnie pan do najbliższej knajpy, a tam poczekam, aż przestanie padać? W ten sposób bezboleśnie uwolnię pana od mojego ciężaru, no i wody, która wpada panu właśnie za kołnierz.

Odstawił, ale samej na kawie nie zostawił. Tak się to wszystko zaczęło.

Wszystkie to znamy, czyż nie? Droga od ukradkowych spojrzeń i nerwowego poprawiania makijażu w bezlitosnym dla cery świetle knajpianych łazienek, od bukietów kwiatów i całonocnego seksu do fotela ustawionego na wprost telewizora jest krótka. I traumatyczna, zwłaszcza kiedy już dojrzy się do końca i obejrzy za siebie.

– Mamo, chyba nie powinnaś rozmawiać ze mną o seksie. Mam dopiero osiem lat – trzeźwo zauważył Kacper.

– Może pójdziesz się pobawić z kolegami? Przecież widzisz, że pracuję!

I jak ja mam się skupić na tej cholerniej książce? Kiedy zbieram myśli, okazuje się, że gadam do syna o moim związku małżeńskim! Tak się to kończy, kiedy ma się tylko dwa pokoje, z których jeden okupuje małżonek z telewizorem, a w drugim Kacper i ja próbujemy pogodzić jego zabawę i moją pracę. Zaczynam dojrzywać do myśli, że poradnik pisany na zamówienie nie był jednak najlepszym pomysłem, chociaż wtedy wydawał mi się ósmym cudem świata.

– Widziałeś to?! To było genialne zagranie!

Wrzask, który przebił się przez ścianę z sąsiedniego pokoju, na chwilę zwolnił bicie mojego serca. Przy okazji drgnęła mi ręka i zamknęłam plik. Bez zapisania zmian, co z kolei przyspieszyło bicie mojego serca. Cholera jasna, jeszcze dostanę arytmii i będą mnie reanimować. Ciekawe, czy jak wygasa ci ubezpieczenie zdrowotne, to reanimują cię tak samo ochoczo? Jak tak dalej pójdzie, to się sama przekonam.

Wzięłam dwa głębokie wdechy, wprawiając w ruch mą siedniomiesięczną córkę, która z rozmachem kopnęła mnie w wątrobę, i odłożyłam na bok laptopa. Pracowałam na łóżku

Kacpra z komputerem na kolanach z bardzo prostej przyczyny – jego pokój, który kiedyś służył nam za sypialnię, był zbyt mały na postawienie w nim biurka normalnych rozmiarów, a przy dziecięcym raczej trudno byłoby mi się zmieścić, zwłaszcza teraz. Wolę nie myśleć o tym, co będzie, kiedy Kacper skończy gimnazjum i będzie potrzebował normalnego blatu do odrabiania lekcji. Są tylko dwa wyjścia – albo skończy edukację w wieku lat dwunastu, albo wyrzucimy go z domu. Muszę się nad tym poważnie zastanowić, zanim urodzi się mała i gdzieś trzeba będzie ulokować jej łóżeczko. A potem łóżko. A potem biurko. Matko, kogoś trzeba jednak będzie wyrzucić z tego domu!

Zajrzałam do drugiego pokoju, zastanawiając się z lekkim niepokojem nad głośną konwersacją, którą mój mąż najwyraźniej prowadził sam ze sobą. Gadał jak najęty o sfaulowanej bramce czy czymś takim, to i tak bez różnicy – bełkocze się zazwyczaj bez większego sensu. Wojtek był sam i chyba jednak nie rozmawiał z telewizorem, dzięki Bogu. Nawijał za to przez telefon, przyciskając komórkę do prawego ucha. No proszę, mecze zamieniły się w telekonferencje. Stałam tak w progu, zastanawiając się, gdzie do diabła podział się tamten facet z parasolem, gość, który choć nie był w moim typie, choć zdecydowanie nie groziła mi miłość od pierwszego wejrzenia, to jednak miał w sobie coś takiego, co sprawiło, że...

Że stoję tu teraz w progu i zastanawiam się, co się z nim stało, pomyślałam i znacząco położyłam palec na ustach. Może przy odrobinie dobrej woli domyśli się, że potrzebuję trochę...

– Mamooooo!

... naprawdę tylko trochę...

– Gooooool!!!

... pieprzonego spokoju do pracy.

Dlatego też tak jak stałam, w domowych klapkach i powyciąganym tiszercie, wyszłam z domu. Żeby pomyśleć. O poradniku, który powinnam pisać: „Jak cieszyć się sobą w długoletnim związku” czy coś w ten deseń.

– Marto, mam dla ciebie świetną propozycję – usłyszałam pół roku temu w słuchawce telefonu głos mojego wydawcy. Jakiś tydzień wcześniej podpisałam z nim umowę na powieść, którą wysłałam jemu i czterdziestu innym wydawnictwom już tak dawno temu, że zdażyłam zapomnieć, o co dokładnie w niej chodzi. Miała być zabawną książką dla kobiet, które chcą się pośmiać trochę z innych, trochę z siebie samych, a nie ma nic zabawniejszego niż perypetie towarzyskie. Po raz pierwszy pomyślałam, że mogłabym coś takiego zrobić, kiedy znalazłam w internecie kurs kreatywnego pisania. Kacper miał wtedy pięć lat, chodził do przedszkola, Wojtek pracował codziennie do późnego wieczora, a ja musiałam coś ze sobą zrobić. Od kiedy skończyłam studia, zajmowałam się milionem różnych rzeczy – pracowałam dorywczo jako psycholog dla kilku stowarzyszeń, udzielałam się jako domorosły dziennikarz internetowy, pisując na zamówienie psychobelkotliwe teksty – i powoli zaczynało mnie to już nużyć. Potrzebowałam czegoś więcej. „Pracy, dziecko, porządnej ośmiogodzinnej pracy na etat ci trzeba, od razu przestaniesz marudzić” – zwykła powtarzać moja matka, ilekroć się spotykałyśmy. Nic dziwnego, że częstotliwość naszych spotkań spadła do poziomu absolutnego minimum, czyli podrzucania jej od czasu do czasu wnuczka. O nie, etat raczej nie wchodził w grę, wystarczy, że o nim pomyślę, a już dostaję swędzącej wysypki. Mam alergię na

ośmiogodzinny tryb pracy. Kreatywne pisanie, hm... Zajęcia odbywały się w soboty, Wojtek zająłby się Kacprem, a tych kilka godzin pozwoliłoby mi poudawać, że żyję niekoniecznie wyłącznie dla innych, ale też trochę, ciut-ciut, dla siebie. Zajrzałam na swoje konto, wypełniłam formularz, załączyłam jeden ze starych tekstów i zacisnęłam kciuki. Puściłam je dopiero na pierwszych zajęciach. Dostałam się, no proszę, to by oznaczało, że ktoś jednak pisze gorzej niż ja. Ku memu zdziwieniu nie byłam wcale najstarszą osobą na kursie. Szybko się okazało, że grupa, choć najmłodsze dziecię było na początku studiów, a najstarsze miało własne dziecko w tym właśnie wieku, jest na tyle zgrana, że prosto z zajęć szliśmy na piwo na Kazimierz. A ja słałam Wojtkowi SMS-y, że znów skończę później, bo wykładowca się spóźnił albo że musimy odrabiać którąś tam sobotę. Zżerało mnie poczucie winy – opuszczony syn siedzi cały dzień z ojcem wymęczonym pracą, a ja się bawię.

Kłamię jak z nut, nic mnie nie zżerało, no może czasami kac następnego poranka. I tak oto uwierzyłam, że mogę naprawdę napisać książkę, co więcej, mogę ją wydać. Zaczęłam więc. Początki były trudne jak cholera – to, co podobało mi się jednego dnia, drugiego bezlitośnie kasowałam. Powieść miała być zabawna i łatwa w czytaniu – nie miałam pojęcia, ile to wymaga ciężkiej pracy w pocie czoła! Ale wreszcie postawiłam ostatnią kropkę, potem przeczytałam całość z dziesięć razy, wyrzucając i zmieniając całe sceny, i wysłałam do kilkunastu wydawnictw. I zapadła długa cisza. Najpierw sprawdzałam maile po kilka razy dziennie, potem sądziłam, że nic nie przychodzi, bo mam tak zapchaną skrzynkę stosem entuzjastycznych reakcji i propozycji wydania. Taaak, trochę to trwało, zanim doszłam do etapu pełnego pogodzenia się z losem. Będzie z rok. I wtedy dostałam mail od wydawcy, którego w ogóle nie kojarzyłam. Nie była to żadna z dużych poważnych oficyn, które śniły mi się po nocach, ale choć bardzo usiłowałam lekceważąco wrzucić ramionami i wydać z siebie pobłażliwe „phi”, wrzasnęłam z radości, budząc Kacpra z popołudniowej drzemki. Wydawca, na pierwszy rzut oka młodszy ode mnie, przyszedł na spotkanie do Alchemii, bo – jak się wyraził:

– Tu będziemy mogli spokojniej porozmawiać, u nas dzieje się takie szaleństwo, że trudno się człowiekowi skupić, a co dopiero rozmawiać o interesach.

Interesy! Czyżby naprawdę zamierzał wydać moją książkę?! W mailu napisał, że „jest zainteresowany i chciałby się ze mną spotkać”, a tu od razu przechodzimy do interesów. Naiwna byłam, chyba jak każdy początkujący autor. Owe interesy to nic innego jak rozmowa sprawdzająca moje nastawienie do pisania i wydawania. Na szczęście szybko oprzytomniałam i przypomniawszy sobie zajęcia, zarzuciłam go pytaniami, których raczej nie stawiają początkujący autorzy. Gość lekko zdębiał, po czym zapytał, czy to na pewno mój debiut, bo nos podpowiada mu, że napisałam niejedno i że branża wydawnicza nie jest mi obca. Na kursie niestety nie mówili nic o tym, że trzeba być absolutnie szczerym ze swoim wydawcą, a może mówili, ale akurat te zajęcia opuściłam? Porozmawialiśmy zatem o konkretach, czyli o poprawkach, które jego zdaniem powinnam wprowadzić do tekstu – z rozpędu zgodziłam się na wszystkie, obiecałam, że poprawioną wersję doślę w ciągu miesiąca, a on niemal udławił się sernikiem, który zamówił do kawy. Zaraz potem zaproponował przejście na „ty”. Pewnie gdybym powiedziała, że doślę za tydzień, gruchnąłby na kolana i się oświadczył. Cóż, tak naprawdę to dostał ten tekst po trzech dniach, bo wszystkie poprawki wprowadziłam tego samego wieczora. Marek, bo tak ma na imię, uściśnął na do widzenia moją prawicę, łamiąc mi niemal palce, i kazał przysiąc, że dopóki nie zapozna się z ostateczną wersją powieści, nie zgłoszę się do innego wydawcy. Tylko przez grzeczność nie uświadomiłam go, że książkę

wysłałam prawdopodobnie do wszystkich, wliczając w to wydawców podręczników medycznych. Obiecałam solennie i zapowiedziałam, że wraz z tekstem przyślę zapewne kilka pytań dotyczących nakładu, promocji i strategii sprzedaży. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym mówię, ale to akurat zapamiętałam z zajęć zatytułowanych: ważne kwestie do poruszenia z wydawcą. Marek miał łzy rozrzewnienia w oczach. Zapewnił, że odpowie na wszystkie moje pytania i że z pewnością dojdziemy do satysfakcjonującego obie strony porozumienia.

Ja już byłam usatysfakcjonowana jak jasna cholera! Prosto ze spotkania udałam się do najbliższego sklepu obuwniczego i tam uzewnętrzniłam pokłady rozrywającej mnie od środka radości. Do domu wróciłam w nowych, zdecydowaniezadrogichjaknamojąkiesznień szpilek, które z pewnością dziwnie wyglądały w zestawie z niebieskimi skarpetkami, ale kto by się tam przejmował. Tego wieczora, nie zdejmując moich pięknych butów, wprowadziłam wszystkie poprawki do książki. Tego też wieczora, odrywając męża od komputera, do którego przyklejony był nieustannie, odkąd ogłosili konkurs „Wytypuj wyniki polskiej ligi i wygraj bilet na Euro 2012”, uprawiałam najlepszy seks w moim życiu. Nie zdejmując przy tym moich pięknych butów! Wojtek nie był chyba świadom, że za tamten orgazm odpowiedzialna była raczej moja nowa rola pisarki niż jego starania. Nie wyprowadziłam go z błędu, każdy ma prawo do swoich małych przekłamań rzeczywistości, prawda? Tego też wieczora w moich pięknych butach zaszłam w ciążę. Wszystko przez spóźniającego się kuriera, który tego dnia miał przywieźć przesyłkę z zamówionymi na Allegro rzeczami. Było tam również kolosalne pudło z gumkami, które miały nam starczyć na kolejny rok. No dobrze, nie oszukujmy się – po kilku latach małżeństwa na takim pudle można przeżyć spokojnie pięć następnych, ale o tym akurat nie rozmyślałam tamtego wieczora. Staraliśmy się z Wojtkiem być na tyle cicho, żeby nie obudzić Kacpra: ja krzyczałam w poduszkę, on miał zęby zaciśnięte na krawacie, którego nie zdążyłam z niego zdjąć. To było piękne, przynajmniej do chwili, kiedy usłyszeliśmy zaspany głos naszego syna:

– To ma być niby ten cały seks? Blee, ohyda!

Kacper siedział po turecku w drzwiach naszego pokoju i przyglądał nam się zde gustowany. Jego wyliniały miś, z którym spał od pierwszych urodzin, leżał obok na podłodze, łypiąc jedynym zachowanym okiem – stary zbereźnik. Zamknęłam oczy i powstrzymując chichot, powiedziałam zdecydowanym tonem:

– Teraz twoja kolej.

Wojtek westchnął, poprawił krawat i wstał z łóżka, zgarniając po drodze prześcieradło. Na dywan spadł pilot i włączył się telewizor – wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że uprawiam seks z obcym facetem. Mój mąż, którego znałam od kilku ładnych lat, z którym jadałam obiady przy jednym stole, spał w jednym łóżku, który przeciął pępowinę naszego syna i właśnie przed chwilą (choć tego akurat wtedy jeszcze nie wiedziałam) spłodził córkę – stanął jak zahipnotyzowany przed telewizorem i zapomniał o bożym świecie. Wyglądał jak mucha zatopiona w żywicy. Jak mucha w krawacie z prześcieradłem owiniętym wokół bioder, z którą przed chwilą uprawiałam seks. Faj! Nie spuszczając go z oka, owinęłam się w kołdrę i wygramoliłam z łóżka, żeby zmusić Kacpra do spania. Kiedy wróciłam po kwadransie, wszystko wyglądało dokładnie tak samo – rozbebeszone poduszki, zmięty koc i wielka mucha stojąca na wprost telewizora. Znajdź dziesięć różnic między dwoma obrazkami. Po chwili znalazłam. Jedną. Tym razem pilot nie leżał na podłodze. Tkwił w dłoni Wojtka. I drugą. Kilkunastu utyłanych w błocie facetów leżało na czymś, co niegdyś zapewne było utyłanym

w błocie facetem.

– Piękny strzał, to był naprawdę piękny strzał. Szkoda, że tego nie widziałaś – szepnął z rozmarzeniem w głosie mój małżonek. Wyglądał, jakby przed chwilą doznał orgazmu stulecia. Przed chwilą, nie kwadrans temu. Cóż, może i każdy ma prawo do swoich małych przekłamań rzeczywistości, ale lepiej patrzeć na nią trzeźwym okiem. Ja spojrzałam i chyba wtedy po raz pierwszy nie spodobało mi się to, co widzę. A może to było wcześniej? Nie pamiętam. Pamiętam za to wszystko, co wydarzyło się od tamtego dnia do dziś. Od dnia, w którym spóźnił się kurier.

Kiedy przychodzi taki moment, że patrzysz na niego i żalujesz, że się z nim związałaś, przypomnij sobie mężczyznę, w którym się zakochałaś. On wciąż w nim jest.

W czasach, kiedy przesyłki z Allegro przychodziły punktualnie, Kacper każdego ranka odstawiał w przedszkolu popisowy numer pod tytułem „Mamo, jak możesz mnie tu zostawiać?!”, a ja jeszcze nie myślałam o pisaniu powieści, Wojtek zmienił pracę. Pewnego dnia z uczelnianego wykładowcy filozofii zmienił się w marketingowca. Wiedziałam, że rozgląda się za nową posadą, ale sądziłam, że chce po prostu rzucić Uniwersytet Jagielloński i skupić się wyłącznie na prywatnych uczelniach, z którymi współpracował jako nauczyciel weekendowy. Przez moment całkiem poważnie zastanawialiśmy się nad przeprowadzką do Warszawy. Zaczęłam wtedy nawet szukać mieszkania w stolicy, ale wizja zamiany naszego krakowskiego czterdziestometrowego apartamentu w luksusowej dzielnicy dla meneli, czyli starym Podgórzu, na warszawskie lokum zdatne do użytku przerosła moje pozytywne nastawienie do życia. Różnice w cenach mieszkań były wówczas, mówiąc delikatnie, drastyczne. Wojtek twierdził, że z jego nową pensją i wynajęciem naszych dwóch pokoi w Krakowie moglibyśmy sobie pozwolić na kredyt na coś większego. Wymagałoby to jedynie odrobiny poświęcenia z naszej strony. Kiedy poprosiłam o rozwinięcie tematu, „nasza strona” okazała się mną, zaś „poświęcenie” przeprowadzką Wojtka. Innymi słowy szanowny małżonek oczyma duszy ujrzał siebie w roli samotnego wykładowcy, który prowadzi zbłąkane dusze warszawskich studentek ścieżkami filozofii, zbaczając z nich jedynie od czasu do czasu, by zadzwonić do żony i dziecka, oddalonych o jedyne trzysta kilometrów.

– Tylko rok, góra dwa. Przez ten czas zyskałbym zdolność kredytową, kupił mieszkanie i przyjechałbyście do mnie.

Jasne, wtedy bym pewnie przyjechała wyłącznie po to, by przywieźć mu syna na weekend, a i tak drzwi otworzyłaby mi jakaś dwudziestodwulatka, szczypiąc Kacpra w policzki i ciumkając mu nad głową w zachwycie: „Zawsze marzyłam, żeby mieć takiego ślicznego chłopczyka”. Tylko kogo miałaby na myśli, Wojtka czy moje dziecko?

Jak zapewne się domyślacie, poświęcenie pozostało w sferze idei, a jakiś miesiąc później mąż wrócił do domu z pracy znacznie wcześniej, na tyle wcześnie, że przyłapał mnie na siedzeniu na parapecie w szlafroku i z papierosem w dłoni. Nie spodziewałam się go o tej porze, gdyby wrócił zgodnie z grafiką, od dawna wykąpana, ubrana i w pełnym makijażu stałabym przy garach, utrzymując go przy okazji w przekonaniu, że palenie rzuciłam siedem lat temu. Był jednak tak podekscytowany, że nawet tego nie zauważył – wypadły mu tego dnia jedne zajęcia i z głupia frant wszedł do agencji reklamowej, która mieściła się w bramie naprzeciwko okna jego pokoju. Zapytał, czy przypadkiem nie szukają kogoś do pracy, bo jak jeszcze raz spojrzy na dzielącego z nim uczelniany gabinet asystenta, to wywinie orła. No i po trzydziestu minutach pogawędki z gościem, którego wziął za recepcjonistę, a który okazał się szefem agencji, dostał robotę. Tak po prostu. Rano wyszedł mi z domu chłop wykładający na uczelni filozofię, a w południe wrócił *creative copywriter*. Tydzień zajęło mu pozamykanie spraw na uniwersytecie, wziął zaległy urlop i tyle go widzieli. A w weekend zaciągnął mnie do galerii handlowej, żebym pomogła mu stworzyć „osobowość PR-owca”. Ku memu zdziwieniu osobowość piarowca składa się z zielonej koszuli, wąskiego czarnego krawata

i luzackiej marynarki, za którą nie dałabym nawet piątki w ciucholandzie, a która kosztowała prawie dwa tysiące złotych. Przepracowanie tej traumy zajęło mi kilka ładnych dni, nawet mimo jego tłumaczenia, że to „oficjalny styl ubioru w agencji”. I tak szanowny małżonek wyposażony w nową osobowość rozpoczął następnego dnia pracę w firmie, w której dziś jest *creative director*, cokolwiek by to miało w praktyce oznaczać. Każdego dnia przynosił z pracy tysiące anegdotek i historyjek z życia firmy, był zrelaksowany i rozbawiony, zaczął wstawać wcześniej, żeby zrobić dwie rundki w parku Bednarskiego – nic dziwnego, że zaczęłam go podejrzewać o kreatywny romans z kreatywną *art director* w kreatywnych godzinach kreatywnej pracy. Ale na pierwszej służbowej kolacji, na której z nim byłam, przekonałam się, że w firmie pracują sami mężczyźni. To też element jej *image*'u, seksistowski, przyznaję, ale w sumie nie miałam nic przeciwko. Ponoć wyrobili sobie markę męskiej agencji reklamowej specjalizującej się w męskich kampaniach, na którą lecą wszystkie dyrektorki do spraw wizerunku i marketingu firm wszelakich. Zarabiał sporo, był zadowolony, przestał mówić o przeprowadzce do Warszawy, ja mogłam spokojnie spędzać przedpołudnia na parapecie w szlafroku i z papierosem w dłoni, wychowywać syna, pisywać swoje freelancerskie teksty i udzielać się jako psycholog w kilku stowarzyszeniach. I życie płynęłoby dalej tym błogim nurtem, gdyby nie kolejny element złożonej osobowości piarowca. Otóż całą jego ekipę prócz uwielbienia dla pracy i kreatywnych pomysłów łączyła wspólna pasja – namiętność do piłki nożnej.

Ilu znacie mężczyzn, którzy na widok piłki do nogi reagują wzruszeniem ramion, drapią się z zakłopotaniem po głowie, kiedy na imprezie towarzyskiej trafią do kręgu maniaków sportowych, i bez czytania wyrzucają z gazet dodatek sportowy? Tak, zapewniam was, że tacy istnieją. Osobiście poznałam kilku przedstawicieli tego podgatunku, jednym z nich był też swego czasu Wojtek. Swego czasu, owego czasu, minionego czasu... Przeszłego dokonanego, który od terażniejszego dzieli cała wieczność. Zanim nadeszła epoka telewizora, nasze życie było jednym wielkim błogostanem – tak przynajmniej wygląda to z dzisiejszej perspektywy.

Wtedy właśnie podjęliśmy decyzję o dziecku. Wojtek marzył o chłopcu i tym wszystkim, czego nigdy w życiu nie robił: wyprawach weekendowych na biwak, łowieniu ryb, urządzaniu rajdów w lesie, a nawet – chociaż jego ostatni rower miał cztery kółka – o wycieczkach rowerowych. Ja zaś widziałam się w roli matki wychodzącej na spacer z śliczną dziewczynką z różowymi kokardkami w blond loczkach. Wszystko perfekcyjnie zaplanowaliśmy, właściwie to Wojtek zaplanował, ja tylko zgłaszałam drobne zastrzeżenia. Z tabletek przerwaliśmy się na gumki na pół roku przed zajściem w ciążę, żeby przypadkiem z jednej ślicznej dziewczynki albo chłopca nie zrobił się na przykład kwartecik. Tym bardziej że moja ginekolożka, ta sama, która na każdej wizycie od ładnych paru lat namawiała mnie na ciążę, pół roku temu odstawiła tabletki, żeby dać odpocząć organizmowi. Nie jestem pewna, czy jej organizm był jej za to wdzięczny, bo jakiś miesiąc później okazało się, że jest w ciąży. A za kolejne dwa miesiące, że to ciąża mnoga. Kiedy widziałam ją ostatni raz, była w szóstym miesiącu z trojaczkami i podczas tamtej wizyty po raz pierwszy nie namawiała mnie na zajście. Ciekawe dlaczego. Potem zniknęła z pracy, zdaje się, że potrójny zestaw kończyn kopiających w żebra nie nastrajał jej optymistycznie do rozmów o wyższości krążków domacicznych nad hormonami. Zastąpił ją młody gość ze sporą przerwą między przednimi zębami i upośledzeniem słuchu. Tak, też mi się wydawało, że seplenienie i głuchota to nadmiar

urodzeniu niespotykany w przyrodzie, przynajmniej dopóki nie wybrałam się do niego na kontrolne badania. Trafiłam na pierwszą godzinę jego zmiany, nawet nie zdążyłam usiąść w pustej poczekalni, kiedy otworzył drzwi i z przemiłym uśmiechem zaprosił mnie do środka. Siłą woli powstrzymałam chęć poprawienia fryzury, w końcu to ginekolog, ginekolodzy pozbawieni są płci. Zasiadł za biurkiem, otworzył moją kartę i zapytał głosem czterolatka: „Cym mogę pani służyć?”. Nie spodziewałam się, że trafię na wyrosniętego przedszkolaka w lekarskim fartuchu. Zdusiłam nerwowy chichot w chusteczce i bez żadnych wstępów oznajmiłam, że chcę zajść w ciążę. Podniósł brwi i wysunął do przodu podbródek, po czym palcem wskazującym pokazał na lewe ucho. Przez chwilę pomyślałam, że nie tylko zmienili mi lekarza, ale i gabinety lekarskie i że trafiłam do laryngologa. Ale fotel ginekologiczny nadal stał w tym samym miejscu, a ściany wciąż obwieszane były reklamami środków antykoncepcyjnych. Dopiero głośnie: „Proszę?” wyrwało mnie z zadumy. Nie usłyszałam. Powtórzyłam. Tym razem głośnie, zastanawiając się przy okazji, ile już kobiet siedzi za drzwiami w poczekalni. Tym razem to on odkaszlnął nerwowo i z łobuzerskim uśmiechem zapytał, czego wobec tego oczekuję.

To chyba jasne – tego, czego oczekuje każda kobieta, która chce urodzić dziecko: bezproblemowej ciąży, ślicznie zaokrąglonego brzuszka, dziewięciu miesięcy nieustannych zachwytów: „Ach, jak pięknie wyglądasz!”, błyskawicznego i bezbolesnego porodu, i dziecka z reklamówki kosmetyków dla niemowląt. W pierwszej kolejności jednak dostałam skierowanie na badania i radę, bym jednocześnie pokazała się internście i dentyście. Dobrze, że nie wspomniał o psychologu. Potem zaprosił mnie na fotel, a sam zaplątał się w parę gumowych rękawiczek. Przyglądałam mu się zza rozkraczonych nóg, zastanawiając się nad tym, dlaczego – choć to ja leżę naga od pasa w dół, wyeksponowana jak panienka z rozkładówki – z nas dwojga właśnie jemu dostała się bardziej upokarzająca rola. Naciągał te rękawiczki palec po palcu z pieczołowitością pięciolatka wiążącego po raz pierwszy własne sznurowadła. Kiedy wreszcie skończył, rzucił mi rozradowane spojrzenie dumnego z wyczynu chłopczyka, ale to, co ujrzałam na mojej twarzy, kazało mu natychmiast skupić się na mej najbardziej wyeksponowanej w tej pozycji części ciała.

Na koniec wizyty uściśnił mi rękę i życzył powodzenia, a ja poszłam do domu i zaszłam w ciążę.

No mniej więcej tak to wygląda, jeśli się pominie zaznaczone na czerwono dni w wielkim kalendarzu, który wówczas wisiał nad naszym łóżkiem. Przez pierwszy tydzień po wizycie u lekarza, kiedy zajęta byłam robieniem wszystkich możliwych badań i kupowaniem na kilogramy witamin dla ciężarnych, Wojtek przeżywał najlepszy okres w życiu. Zakomunikował mi to, przyglądając się swojej lewej skarpetce zwisającej z najwyższej półki na książki, a konkretnie z pierwszego tomu *W poszukiwaniu straconego czasu*. Po tamtym tygodniu nieustannego seksu do dziś nie mogę znaleźć dwóch kompletów bielizny. Fig, które Wojtek tak niefortunnie ze mnie zdarł, że wyleciały przez uchylone okno, nie liczę. Nawet sąsiadka z dołu przestała mi się wówczas kłaniać, za to mojego męża pożerała wzrokiem. Przyczynę odkryłam z końcem tamtego tygodnia. Od SEKSU małżeńskiego do MAŁŻEŃSKIEGO seksu prowadzi prosta droga – żadnych przecznic, jak już to ślepe uliczki. Tak więc po kilkunastu akcjach pospiesznego zdejmowania ubrań i rozrzucania ich po całym mieszkaniu złapałam się na robieniu w myślach listy zakupów, podczas gdy Wojtek walczył z zapięciem mojego stanika. Byłam właśnie między pomidorami a tuńczykiem, kiedy usłyszałam jego chrapliwy oddech i coś jeszcze. Coś, co wybiło mnie z zakupowej medytacji, przez co zapomniałam o tym

cholernym tuńczyku i potem musiałam ratować zapiekaną sardynkami w oleju (nigdy, ale to nigdy nie zastępujcie tuńczyka puszką sardynek). Początkowo było to subtelne skrzypienie, niemal niesłyszalne, ale małżonek dopiero się wówczas rozkręcał. Kiedy osiągnął najlepszą formę, rytmiczne stukanie łóżka zamieniło się w walenie, które rozchodziło się z wielokrotnym echem za sprawą źle położonych paneli. To musi być irytujące, pomyślałam, wczuwając się na chwilę w rolę sąsiadki z dołu. Oho, to musi być NAPRAWDĘ irytujące, uświadomiłam sobie piętnaście minut później. Potem podkleiłam nogi łóżka podwójnymi podkładkami z filcu i sąsiadka znów uprzejmie odkłaniała się nam na schodach, nie spuszczać jednak oka z Wojtka. To były piękne czasy. Ale w kalendarzu pojawiało się coraz więcej czerwonych kółek, coraz mniej ciuchów fruwało po pokoju, aż w końcu zaczęliśmy je grzecznie składać w kostki na specjalnie dostawionym w tym celu do łóżka taborecie. No bo ileż można?! Na szczęście zanim dotarliśmy do etapu omawiania naszych planów remontowych w trakcie seksu, znikł mi okres i wreszcie odetchnęliśmy. I pomyśleć, że za drugim razem wszystko wyglądało ZUPEŁNIE inaczej...

Jeśli jesteś zakochana, a wasz związek dopiero co się zaczął, zapewne nie uwierzysz w to, że prędzej czy później przynajmniej raz w roku będziesz go chciała zakończyć. Nie przejmuj się, to całkowicie normalne. Kryzys jest jednym z elementów wspólnego życia. Niekiedy można go pokonać samemu, a czasami trzeba poszukać fachowej pomocy.

– Nie przesadzaj, każdy facet musi czasem pooglądać telewizję, bez tego trudno mu się skupić na codziennych obowiązkach. – Beata wcale nie wyglądała na osobę, która wierzy w to, co mówi. Zajęła moje miejsce na parapecie i rzucała niedopałkami z doniczki w gołębie. Nie paliła, nie piła, więc – jak zwykła mówić – swoją agresję musiała wyładować w inny sposób. Specjalnie dla niej kiepowałam do storczyka, który postanowił rozstać się z tym światem na długo przedtem, zanim posłużył za popielniczkę balkonową. Od kiedy wprowadzono zakaz palenia w miejscach publicznych, musiałam sobie stworzyć własną palarnię. Nikomu to nie przeszkadzało, bo w naszej kamienicy mieszkają sami nałogowcy, którzy namiętnie kopcą na swoich balkonach. Nikomu nie przeszkadzało, do czasu... Zanim jeszcze odkryłam, że lepiej było poczekać na spóźniającego się kuriera, zanim poleciałam do apteki po pierwszy test, zanim zużyłam ich jedenaście, zanim na USG zobaczyłam siedmiomilimetrowy przecinek mej córki, coś na kształt przerażenia zrodziło się we mnie, gdy pewnego poranka jak zawsze wyszłam na balkon na papierosa i na widok sąsiada przewieszzonego przez balustradę po lewej z fajką w zębach zrobiło mi się niedobrze. Jedną ręką drapał się po owłosionym brzuchu, drugą podtrzymywał opadające bokserki. Pomachał mi na dzień dobry, niestety tą drugą ręką, i wtedy zemdlilo mnie na całego. Od tamtego poranka nie zapaliłam do dziś ani jednego papierosa. Nie żebym nie chciała. Korci mnie nieustannie, ale wystarczy, że poczuję dym, a natychmiast wywracają mi się wnętrzności. Ale niedopałków ze storczyka nie wyrzuciłam.

– Obowiązkach? – Siedziałam na przyjemnie nagrzej podłodze i wystawiałam twarz do słońca. Mała radośnie reagowała na ciepło rozgrzewające brzuch i zawzięcie kopała mnie w okolice pępka. Nie chciało mi się nawet rzucić Beacie powątpiewającego spojrzenia. Byłam zbyt rozleniwiona letnią pogodą, żeby skupiać się na analizie męskiego punktu widzenia.

– No wiesz, ubranie się rano w czyste ciuchy, wyjście z domu i dotarcie do pracy. Trafiłam! – Klasnęła w dłonie, gdy gołąb z resztką niedopałka na dziobie zerwał się z parapetu sąsiadów z dołu. – Chyba nie jesteś tak naiwna, by wierzyć, że potrafią zrobić cokolwiek bez wynagrodzenia? Bez słodkiej tajemnicy zapakowanej w prostokącik pilota? Drzemiącej pod przyciskiem ON?

Jeśli ktokolwiek spodziewa się po Beacie podniesionego głosu, sarkastycznego tonu czy złośliwych uwag, trafił pod zły adres. Mojej przyjaciółce obce są tak przyziemne kwestie, podobnie jak uzależnienia od odżywek. Jest absolutnie czysta i wolna, co daje jej nieskażone spojrzenie na rzeczywistość. Beata stwierdza fakty, analizuje je i wyciąga z nich esencję, prawdę absolutną. Nie sposób podważyć jej zdania, nigdy nawet nie próbowałam, po co? Ona po prostu z zasady ma rację. Wyssała ją z mlekiem matki. Zapewne wynieśliby ją na ołtarze, gdyby tylko była wierząca. I znajdźcie mi w Krakowie drugą taką osobę!

Nie trudźcie się, to niemożliwe. Ona jest wyjątkowa.

– Lepiej powiedz mi od razu, co cię tak naprawdę gnębi. Bo gdyby to był telewizor, już dawno wywaliłabyś go przez balkon. Albo zadzwoniłabyś po mnie, żebym go przerzuciła przez balustradę – dodała po chwili, patrząc ze zdumieniem na mój wypukły pępek, który

falował jak na filmie klasy B o kosmitach pasożytujących wewnątrz ludzi.

A nie mówiłam? Przed nią nic się nie da ukryć.

– Pamiętasz, jak kilka lat temu miałam fazę rozwodu? Każda drobna kłótnia z Wojtkiem kończyła się na tym, że zasypiałam nad listą rzeczy do załatwienia w związku z postępowaniem rozwodowym. Dzieliłam w myślach mieszkanie, półki z książkami i płyty. Nawet miałam już pod ręką telefon do ślusarza, żeby wymienić zamki w drzwiach.

O ile Beata jest mistrzynią w demaskowaniu absurdów świata, o tyle mnie należy się pierwsze miejsce za logistykę. O ile oczywiście nie jestem właśnie w ciąży, bo wtedy zamieniam się w królową chaosu.

– Teraz jest trochę inaczej. Już nie potrzebuję drobnych kłótni, karczemnych awantur zresztą też nie, po prostu budzę się rano, łapiąc ostatnią myśl ze snu, a ta zawsze dotyczy rozstania.

– Może to hormony tak na Ciebie działają? Jedne kobiety miewają zachciewajki kulinarne, inne...

– Rozwodowe? – Nie pozwoliłam jej dokończyć zdania, ale i tak wiedziałam, że trafiłam w sedno, bo tylko wzruszyła ramionami i rzuciła kolejnym niedopałkiem.

– Nie, to nie to. Na mnie hormony działają raczej stabilizująco i jeśli cokolwiek robią, to tylko utwierdzają w przekonaniu, że jedynym słusznym rozwiązaniem jest...

– A może by tak szanowna sąsiadka, zamiast się uzewnętrzniać w miejscu publicznym, przestała zrzucać mi na głowę pety?

Spojrzałyśmy po sobie, Beata szybko zasłoniła usta dłonią, żeby się nie roześmiać, a ja bezgłośnie przeliterowałam imię sąsiada z dołu.

– Panie Marcinie, to nie sąsiadka, tylko ja. Najmocniej przepraszam, gdybym wiedziała, że taki przystojny mężczyzna mieszka piętro niżej, bardziej uważałabym na to, co przypadkiem wypada mi z ręki. – Przechylna przez balustradę uśmiechnęła się zniewalająco do sąsiada, po czym usiadła obok mnie i oparła się o nagrzaną ścianę.

– Koszmarnie tu gorąco, wejdźmy do środka, co? – zaproponowała trochę zbyt głośno i nachyliwszy się do mnie, wyszeptwała: – Boże, on ma sobie tylko stringi. STRINGI!

Pan Marcin miał lekką nadwagę odchowanego na piwie sześćdziesięciolatka, tego zdecydowanie nie chciałam oglądać, taki szok może wywołać przedwczesny poród.

Podniosłam się z trudem, ciąża z Kacprem była mniej męcząca, nie przypominam też sobie, bym nawet w dziewiątym miesiącu miała taki brzuch jak teraz! Beata wciągnęła swój, żeby przepuścić mnie w drzwiach, i znów zerknęła do sąsiada. Pomachała mu nerwowo i wskoczyła do pokoju, zamykając za sobą balkonowe drzwi.

– Tym razem już nic na sobie nie miał. – Nie musiałam nawet na nią patrzeć, żeby wiedzieć, jaką ma właśnie minę. Ale spojrzałam. Bingo!

– Za dobrze znam moich sąsiadów, żeby tak ryzykować, zwłaszcza latem.

– I tak zaryzykowałam, grubas teraz pewnie ma gorącą linię balkonową i opowiada wszystkim o twoich problemach małżeńskich – odezwała się już z kuchni, nalewając sobie wodę do szklanki. Machnęła butelką w moją stronę, ale pokręciłam przecząco głową. Miałam już w sobie zdecydowanie za dużo wód płodowych, z każdym krokiem przelewały się we mnie ich spiętrzone masy.

– Nie przejmuj się, przynajmniej przyczyniam się do budowania małej wspólnoty sąsiedzkiej. Poza tym jeśli już się rozwiodę, prędzej czy później to zauważą, a wtedy nie będę musiała opowiadać historii mojego małżeństwa każdej sąsiadce z kamienicy.

– To co w końcu z tym rozwodem? Chce ci się teraz w ogóle o tym myśleć? Za dwa

miesiące rodzisz i będziesz musiała się zająć niemowlęciem, a Kacper raczej do tego czasu nie wydorosł i nie wyprowadzi się z domu. Średnio to ci się opłaca w obecnej sytuacji.

Łatwo jej mówić. Jest chuda, bezdzietna, rozsądna i od roku w szczęśliwym związku. Poza tym ma większe mieszkanie i ciekawą pracę, która daje jej całkowitą niezależność finansową. I nie jest też bezpośrednio zaangażowana w mój związek, co poniekąd czyni ją osobą w pełni uprawnioną do analizowania mojej postawy.

– Tak, wiem, to bez sensu. Ale gdybym miała myśleć racjonalnie, już dawno bym się stąd wyprowadziła, rozwiodła i z pewnością nie wpadła.

– Albo poszła z Wojtkiem do terapeuty. Obie dobrze znamy to środowisko, na dwudziestu terapeutów małżeńskich przypada jeden wart uwagi. I nic dziwnego, skoro z naszego roku tylko ja wybrałam psychologię biznesu, a reszta zwietrzyła interes w poradach rodzinnych. No, oprócz ciebie – dodała po chwili.

Tak, był taki czas w moim życiu, kiedy zastanawiałam się nad wizytą. Nawet zrobiłam rekonesans wśród znajomych i wytypowałam pięciu kandydatów na zaklinacza mego małżeństwa. Umówiłam się z jednym z nich, ale jak tylko otworzył przede mną drzwi gabinetu, uświadomiłam sobie, że popełniłam najgorszy błąd w życiu. Drugi z najgorszych, bo pierwszy zaliczyłam na pierwszym roku studiów, kiedy po całonocnej imprezie obudziłam się przy boku tego...

– Marta? Nie wierzę własnym oczom! Jak cudownie znów cię spotkać! To znaczy przykro mi, że masz problemy w związku, ale wszystko da się naprawić, zobaczysz. A czego się nie da, to trzeba zacząć od nowa, zobaczysz.

Nie zobaczyłam. Przesiedziałam tam czterdzieści pięć minut, opowiadając o małżeństwie mojej przyjaciółki, której chciałam sprezentować terapię, postanowiłam więc najpierw zbadać teren i proszę, co za niespodzianka, trafiłam na dawnego znajomego. Określenia „dawny znajomy” użyłam wtedy chyba z dwadzieścia razy, raz je chyba nawet przeliterowałam, a kiedy szanowny doktor otworzył swój kajecik, żeby wyznaczyć mi drugą wizytę, pożegnałam się i dałam nogę.

– Nie żartuj, moja droga, we trójkę nie zmieścimy się w gabinecie terapeuty. Ja, Wojtek i telewizor? Bez szans.

Związek partnerski to idealne rozwiązanie, sęk w tym, że osiąga się je po latach ciężkiej pracy. Zaczniście od najłatwiejszych kroków – dzielcie się obowiązkami. Wynoszenie śmieci, robienie zakupów, sprzątanie – niech każde z was robi coś konkretnego. Dzielenie się pracą nie oznacza jednak dzielenia się wszystkim. Zostaw sobie trochę czasu tylko dla siebie i zajmij się wyłącznie sobą. Nie zaszkodzi.

Jak tylko zamknęłam za Beatą drzwi, zadzwonił telefon. Mamy co prawda małe mieszkanie, ale po pierwsze jestem w siódmym miesiącu ciąży, co uprawnia mnie nie tylko do marudzenia, urządzania karczemnych awantur, podjadania w nocy i zajmowania przed staruszkami miejsc w autobusach, ale i do wolniejszego poruszania się w ciasnej przestrzeni, po drugie...

– Kacper, możesz odebrać?

... jest upał i naprawdę wolałabym poleżeć pod wentylatorem z nogami na poduszce, a po trzecie...

– Kacper, odbierz telefon!!!

... mam syna, a synowie wszak od czegoś są.

Jakieś dziesięć sygnałów później Kacper podszedł do telefonu, ale zanim zdążył podnieść słuchawkę, ktoś się rozłączył.

– Bravo, mistrzu – sarknęłam na niego z pokoju, mocując się z wentylatorem. – Jak miałeś osiem miesięcy, byłeś szybszy, bardziej posłuszny i tak nie pyskowałeś.

– Co ja na to poradzę? – Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – Tak mnie wychowałam.

Skoro pierworodny, który był grzecznym zarodkiem i bezproblemowym niemowlakiem, zdążył po drodze zamienić się w potwora, to czego mam się spodziewać po tej szalonej dziewczynie? Już pierwszy trymestr był koszmarem. Podobno na początku albo się ma zgagę albo nudności, co mija z końcem trzeciego miesiąca... Podobno człowiek nie jest w stanie zwrócić więcej, niż ma w żołądku... Podobno jak się ma fatalny pierwszy trymestr, to dwa pozostałe są nieustającym błogostanem... Witajcie w krainie jednoróżców i poradników ciążyowych! Szybko okazało się, że moje doświadczenie z pierwszej ciąży na niewiele się przydało przy drugiej. Z Kacprem nie musiałam zjadać kilogramów migdałów na zgagę ani obejmować sedesu co pięć minut. Przesypiałam spokojnie noce, w ciągu dnia nie byłam zmęczona, wręcz przeciwnie – tryskałam energią. Codziennie chodziłam na długie spacerki, dwa razy w tygodniu ściagałam się z mięśniakami na basenie i pierwszy raz przegrałam dopiero pod koniec dziewiątego miesiąca, bo rozproszył mnie pierwszy skurcz przepowiadający. Pamiętam, że ratownicy wpadli wtedy w popłoch i mimo moich zapewnień, że nic się nie dzieje, zadzwonili po karetkę. Oczywiście nie przyjechała. Pani w dyspozytorni kazała im wezwać taksówkę, ale ja zaoponowałam, przecież rower mi się nie zmieści do samochodu! W końcu musiałam zejść z pływalni, bo jeszcze chwila, a trzeba by było reanimować obu ratowników. Przeczytałam wtedy całą masę książek o ciąży – wiedziałam wszystko o rozwoju prenatalnym, o prawidłowym odżywianiu się i o tym, na którym boku spać pełni albo ile litrów wody wypijać każdego dnia. Ale to było osiem lat temu! Zdążyłam już wszystko zapomnieć, prócz tego, że dziewięć miesięcy z Kacprem przemknęło wówczas bezboleśnie i błyskawicznie. Niestety, zakończyło się porodem, który ani bezbolesny ani błyskawiczny nie był.

– Mamo, twoja komórka.

Z ulgą oderwałam się od wspomnień porodowych i otworzyłam oczy. I tak mnie znów to czeka, ale po co się zadręczać, skoro mam jeszcze trochę czasu? Kacper nachylał się nade mną, jakby chciał sprawdzić, czy nadal oddycham, i pokazywał palcem na stolik. Obok

włączonego wentylatora, który zagłuszał wibrujący dźwięk telefonu, leżała komórka, na której wyświetlił się znajomy numer.

– Dzień dobry, Marto, chyba cię nie obudziłem? Paskudny dziś upał i pewnie musi ci być ciężko, lepiej by było, gdybyś się położyła, przespała ten skwar, zrelaksowała się trochę. – Mój wydawca wyrzucił z siebie potok słów, nie czekając nawet na moje „halo”.

Od naszego pierwszego spotkania nieraz przekonałam się, że gadatliwy z niego gość. Kilka razy wpadłam do wydawnictwa, żeby dogadać warunki umowy i poznać redaktora, który zajmuje się moją książką. Kwestię umowy rozwiązaliśmy przy pierwszym podejściu, gorzej było z redaktorem. Za trzecim razem nabrałam podejrzeń, że chyba mnie unika. To naprawdę niewielkie wydawnictwo, w trzech pokojach w starej kamienicy na Meiselsa pracuje najwyżej sześć osób i nie sposób ominąć żadnego pracownika w drodze do szefa, gdyż ten zajmuje ostatni pokój w amfiladzie. Dopiero kiedy zajrzałam tam po raz piąty, tym razem, żeby pomarudzić na temat okładki, której projekt przysłali mi mailem, drzwi otworzył mi jakiś wysoki, przeraźliwie chudy młodzieniec. Nienaturalną chudość podkreślały obcisłe ciemne dżinsy i czarna koszula tak opinająca jego ramiona, że widać było wszystkie kosteczki i ścięgna. Skrupulatnie wystrzępiona grzywka była zaczesana na lewą stronę i dla równowagi w prawym uchu tkwił czarny kolczyk. Powinni tego zakazać, od razu poczułam się stara, gruba i źle ubrana. Wyciągnął do mnie dłoń z pomalowanymi na ciemno paznokciami, uścisnął mi lekko koniuszki palców i odezwał się najgrubszym z możliwych barytonem:

– Witam, Marian Koźlak, jestem redaktorem pani książki. Szef uprzedził mnie, że pani wpadnie, więc od razu możemy porozmawiać o siatce fabularnej.

Nie miałam pojęcia, o czym on do mnie mówi. Jak i też nie miałam pojęcia, dlaczego tak bardzo mi zależało, żeby go poznać. Nie miałam również pojęcia, co ze sobą zrobić, kiedy stawiając przede mną filiżankę kawy, melancholijnym głosem zaczął analizować moją powieść.

– To niecodzienny przykład tak ostrej krytyki postfeministycznej. Doceniam pani potrzebę rozrachunku z definicją współczesnego społeczeństwa, dekonstrukcji mitu wspólnoty opartej na tradycyjnym podziale płci rozumianej jako uwarunkowanie społeczne, a nie tylko biologiczne, i nie zamierzam ingerować w ideologiczną sferę książki, niemniej jednak mam kilka konstruktywnych pytań dotyczących szkieletu fabularnego, które nasunęły mi się po wnikliwej analizie scen, ze szczególnym naciskiem na chronologię wydarzeń.

Dopóki nie położył przede mną pliku kartek z moim nazwiskiem na pierwszej stronie, wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana. Zastanawiałam się, czy uda mi się bez zwracania na siebie jego uwagi wymknąć do pokoju obok i porozmawiać o okładce. Mogłabym wrócić, zanim skończy. Jednak kiedy tylko próbowałam mu przerwać, zaczynałam nerwowo mrugać albo otwierałam usta, uspokajająco podnosił dłoń, nie przerywając przy tym monologu. Pogodziłam się już z tym, że nigdy stąd nie wyjdę, kiedy wreszcie mnie olśniło. Wypiłam jednym haustem kawę, która na zimno smakowaa raczej jak napój kawopodobny, i znaczącym gestem podniosłam filiżankę. To na chwilę wytrąciło go z transu, poszedł po drugą kawę, a ja uciekłam, przeczornie zabierając ze sobą wydruk książki. Dopiero w domu zorientowałam się, że pełno w nim tajemniczych czerwonych znaków i całkowicie nieczytelnych bazgrołów na marginesach. To chyba nazywają korektą autorską. Ile ja się wtedy namęczyłam, zanim ją rozgryzłam! Ale w końcu się udało z pomocą Beaty. Jednak wolałabym tego nie przechodzić po raz drugi. Chyba im to zasugeruję przy poradniku.

– Ale my tu gadu-gadu, a ja dzwonię do ciebie z dwiema ważnymi wiadomościami. Jeśli

stoisz, to lepiej usiądź. Gotowa?

Potakiwanie nie miało wielkiego sensu, bo i tak nie dopuści mnie do głosu, więc pokiwałam tylko głową, wyobrażając sobie, jak teraz podskakuje, przyciskając telefon do ucha.

– Zorganizowaliśmy ci trasę autorską!!!

I wreszcie zamilkł, zapewne w oczekiwaniu na wybuch entuzjazmu z mej strony. Nie doczekał się go, więc chrząknął i rozwinął wątek:

– Żebyś nie musiała się zbyt męczyć dojazdami i żeby nie tracić na nie zbyt wiele czasu, zarezerwowaliśmy ci samolot. Lecisz... poczekaj chwilę.

Musiał odłożyć słuchawkę na biurko, bo usłyszałam tylko stłumiony krzyk: „Gdzie, do cholery, jest ta rozpiska?! Marian!!!”.

– Już mam – odezwał się po chwili. – 15 czerwca. Nie planuj sobie żadnych wyjazdów w tym czasie, powiedzmy przez tydzień. Co prawda spotkania z dziennikarzami i czytelnikami masz tylko od... momencik. Marian! Chodź jeszcze na chwilę!

Tym razem nie odłożył słuchawki i jego wrzask wyrwał mnie z otępienia. Zaraz, zaraz, jakie spotkania?

– Od soboty do czwartku, ale na wszelki wypadek nie planuj nic do niedzieli. Zawsze może coś dodatkowego wyskoczyć.

Dodatkowo to może mi ewentualnie wyskoczyć dziecko w samolocie. Ale przynajmniej będzie miało darmowe loty do końca życia. Hm, warte zastanowienia...

– O, to świetnie, tylko jest jeden mały problem – zaczęłam ostrożnie. To w końcu moja pierwsza powieść, nie chciałam tak od razu zrażać do siebie wydawcy, tym bardziej że pisanie nie jest znowu takim złym pomysłem na życie. O ile oczywiście ktoś zarabia na twoje utrzymanie. – Jestem w ciąży.

– No i?

Jak wytłumaczyć komuś, kto nigdy nie doświadczy tego stanu, że dźwiganie przed sobą wielkiego brzucha, w którym mały demon otoczony zewsząd twoimi organami rzuca się na wszystkie strony, nie jest specjalnie przyjemne? Że dodatkowe trzydzieści kilogramów, które pojawiło się znikąd w ciągu dwóch miesięcy, nie nastraja pozytywnie do życia, a co dopiero do pokazywania się ludziom? Że masz mdłości w najmniej pożądanym momentach, na przykład w tramwaju na najdłuższej trasie pomiędzy dwoma przystankami? Że nawet wejście do windy powoduje zadyszkę i nikt, absolutnie nikt, nie patrzy na ciebie jak na człowieka? Twoja tożsamość ogranicza się do bycia kobietą w ciąży. Nie mogę jechać w trasę autorską, bo nie jestem autorką, tylko kobietą w ciąży! Poza tym miewam zmienne nastroje. I nie muszę się nikomu z tego tłumaczyć!

– Nie wpuszczą mnie do samolotu. – To był jedyny sensowny argument, jaki przyszedł mi do głowy. Niepodważalny, przyznacie.

– Żaden problem, pojedziesz pociągiem.

Chyba jeszcze powinnam dodać, że w ciąży najlepsze riposty przychodzą jakies osiemnaście lat po porodzie. Kiedy znów ma się czas dla siebie.

– O nic się nie martw, wszystkim zajmie się Marian, który będzie ci towarzyszył w trasie.

Jeszcze lepiej. Jak jeszcze raz zobaczę tego melancholijnego młodzieńca, urodzę bez chwili wahania. Może powinnam zażądać, by najpierw poszedł na kurs do szkoły rodzenia?

– Mam wrażenie, że o czymś zapomniałem ci powiedzieć. Co to mogło... A, już wiem! Twoja powieść idzie jak świeże bułeczki, znów musieliśmy dodrukować cztery tysiące

egzemplarzy. Zaraz sprawdzę, ile dokładnie jest ich teraz na rynku, i podeślę ci mailem albo SMS-em. Muszę lecieć. Uważaj na sie... – Nie zdążył nawet dokończyć. Po prostu się rozłączył.

Chwileczkę, jak to „znowu” musieli dodrukować? W umowie jest wyraźnie napisane, że książka wyjdzie w trzech tysiącach egzemplarzy. Znam kontrakt na pamięć, mogłabym recytować paragraf po paragrafie nawet w środku nocy, a zwłaszcza ten o honorarium i procentach ze sprzedaży. Co prawda osiem procent od trzydziestu złotych pomnożone przez trzy tysiące nie daje oszałamiającej fortuny, ale będę miała przynajmniej na fajki. Według prognoz Marka nakład powinien rozejść się akurat, kiedy mała pójdzie do przedszkola. A ja wówczas spokojnie wrócę do kiepowania papierosów w storczyku, żeby Beata miała czym rzucać w sąsiadów. A nie, chwileczkę. Wtedy to już na pewno będę realizowała oszczędny plan życia po rozwodzie. Poza tym storczyk był od Wojtka, niech go zabiera razem z telewizorem!

Nagle poczułam coś dziwnego. Spojrzałam na swój wypięty brzuch, który jakby lekko wibrował. Moja córka przechodzi samą siebie, pomyślałam ze zdumieniem graniczącym z obawą o jej dodatkowe funkcje biologiczne. Oby tylko nie dzwoniła. Moje obawy okazały się jednak płonne, kiedy trafiłam dłonią na komórkę, która wcisnęła się między brzuch a kanapę. Cholera, mój lekarz nie byłby ze mnie dumny. Znowu zapomniałam o tym, czego mi absolutnie nie wolno robić. Zdaje się, że telefony w bliskiej odległości od dziecka są na pierwszym miejscu. A może alkohol? Wolę nie pamiętać, tak jest lepiej...

Spojrzałam na wyświetlacz – wiadomość od Marka: „25 tys. i zlecilem własnie dodruk na kolejne 10. jest dobrze”.

Boże, jestem bogata!

Zawsze świętujcie razem najważniejsze chwile w waszym życiu. Nieważne, czy drobne sukcesy w pracy, czy pierwsze słowo waszego dziecka – jeśli dotyczy to waszej dwójki, ciescie się z tego wspólnie. Nic tak nie cementuje związku jak spędzanie razem czasu.

Tego wieczora, kiedy Wojtek przyszedł z pracy, wzgardził moim obiadem, wymawiając się „wyjątkowo sycącym jak na sushi lunchem” i rozłożył się w fotelu, postanowiłam wykrzesać z siebie odrobinę małżeńskiej relacji i podzielić się z nim wieścią o rewelacyjnej sprzedaży książki. Otworzyłam butelkę przerażająco drogiego wina, po które poleciałam, jak tylko przestałam wrzeszczeć z radości, sobie nalałam uboższą wersję lampki, jemu chlapnęłam od serca i usiadłam obok na kanapie. Zastanawiałam się, od czego zacząć – od tego, że jak tylko wypłacą mi kasę, podrzucam mamie dzieci i lecę na Hawaje czy też, że właśnie zostałam autorką bestsellera. A może od...

– Zwariowałaś?! Co ty wyprawiasz?! Zaszkożysz dziecku! Jezu, czemu ty zawsze jesteś taka nieodpowiedzialna? Myślisz tylko o sobie, najwyższy czas, żebyś wreszcie zaczęła myśleć o naszej córce! Wina jej się zachciewa – mamrotał już do siebie, wychodząc do kuchni z moją lampką w ręku. Serce ścisnęło mi się z bólu, kiedy usłyszałam, jak wylewa wino do zlewu. I zamieniło się w kamień, kiedy trafiła tam cała zawartość butelki. Mój mąż jest niepoczytalny. Bez problemu dostanę rozwód, ale może najpierw go ubezwłasnowolnię?

– Przepraszam, Marta, zareagowałam trochę nerwowo, ale naprawdę nie powinnaś pić – odezwał się po chwili z kuchni. Łajdak, pewnie sobie łyknął dla uspokojenia, zanim wylał to przerażająco drogie wino. Wszedł do pokoju ze zwieszoną głową i usiadł z westchnieniem z powrotem w fotelu. Jakby mu trochę pofarbować z boku te włosy, wyglądałby zupełnie jak sznauer.

– Wiesz, miałem ciężki dzień w pracy.

Jego monotony głos już zaczął mnie usypiać. Nawet zdążyłam zapomnieć, że jestem na niego zdenerwowana. Właściwie co za różnica, on najwidoczniej nie widzi żadnej.

– Wszystko zaczęło się od spotkania z trudnym klientem, które miało się odbyć o dziewiątej rano, ale skubaniec przyszedł wcześniej i nawet nie mogłem się przygotować. To znaczy byłem przygotowany, ale znasz mnie, potrzebowałem jeszcze przynajmniej kwadransa na wzbudzenie w sobie odpowiedniego nastawienia. I nic z tego. Musiałem improwizować, a wiesz, jak tego nie znoszę, no i nie wszystko poszło jak trzeba. To był poważny klient ze sporym kapitałem, szanse na to, że przeznaczy na kampanię naprawdę duże środki i że w końcu będę mógł zaszaleć przy projekcie, były spore, ale nasze wizje jego rozwoju zupełnie się nie pokrywały.

No proszę, to zupełnie jak w naszym małżeństwie.

– A zaraz po nim pojawił się u nas jakiś znajomy szefa i przyszedł prosto do mnie. Nic o nim nie wiem, nie mam pojęcia, z jakiej jest branży ani jakie środki chce przeznaczyć na kampanię, ani w ogóle czego ona ma dotyczyć. Pakuje się do mojego gabinetu i zaczyna nawijać, nawet nie dał mi zadać choć jednego pytania!

No proszę, to też brzmi znajomo. Zdaje się, że to ja chciałam mu o czymś powiedzieć, ale niby jak mam to zrobić? Przecież nie zacznę rodzić tylko po to, żeby się na chwilę zamknął.

– W pierwszym zdaniu powołał się na szefa, więc nie mogłem go tak po prostu wyrzucić. To jakiś szaleniec z małego wydawnictwa, twierdził, że właśnie wypuścił na rynek książkę bez żadnej promocji, a ta momentalnie okazała się bestsellerem.

No proszę, i to jakby znajome...

– I teraz chciałby zainwestować w jej promocję, żeby jeszcze bardziej podkreślić sprzedaż. Że to pierwsza powieść, że autorka pracuje nad kolejną książką i że koniecznie chce ją wypromować. I na koniec zapytał, co mogę mu zaoferować. Wyobrażasz to sobie?

Oj, tak, wyobrażam, i to całkiem dobrze.

– Musiałem mu delikatnie wytłumaczyć, że nie trwonię mego cennego czasu na początkujące pisareczki i ich powieścidla. Ale to w końcu znajomy – Wojtek spojrzał na mnie, przewrócił oczami i pokazał palcami znak cytatu – więc wymagało to ode mnie wspięcia się na wyżyny wirtuozerii. Udało mi się – dodał po chwili i uśmiechnął się – oczywiście jak zawsze.

Oczywiście. I cóż miałam zrobić? Bez słowa zabrałam moją córkę i początkującą pisareczkę wraz z jej powieścildem do łazienki. Bez słowa umyłam zęby i położyłam się spać. W pokoju Kacpra. Ostrożnie wsunęłam się pod kołdrę, nie chciałam obudzić małego, ale ten tylko cicho sapnął, przekręcił się na drugi bok i wtulił nos w mój brzuch. Usnęłam, wsłuchując się w ściszony telewizor za ścianą, ale zanim to się stało, odkryłam, że nie jestem wcale wściekła czy choćby zirytowana na męża. Nie, po prostu było mi już wszystko jedno. A z mojego poradnika o szczęśliwych związkach wiedziałam, że nie jest to dobry objaw.

Dwa lata temu pojechaliśmy ze znajomymi z pracy Wojtka na wakacje na Mazury. Kacper został wtedy u dziadków, bo na wyjeździe mieliśmy nie stronić od używek, seksu i hucznych balang do białego rana nad brzegiem jeziora. Taki cel przynajmniej wyznaczył Tomasz, ówczesny dyrektor kreatywny, którego z czasem zastąpił w firmie Wojtek. Skorzystaliśmy z jego zaproszenia i zabraliśmy się z nimi samochodem. Pierwsze *faux pas* strzeliłam, jeszcze zanim wrzuciłam plecak do bagażnika. Drugie, jak tylko przekręcił kluczyk w stacyjce. Potem postanowiłam się już nie odzywać, ale że podróż zajęła nam siedem godzin, nie wytrzymałam i po prostu przestałam liczyć kolejne wpadki. Skoro ja samą siebie akceptuję, to inni też powinni.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to nie jego żona? – zapytałam szeptem Wojtka, kiedy Tomasz zajęty był odrywaniem wzroku od zbyt krótkiej sukienki zbyt wysokiej, zbyt szczupłej i zbyt blond jak na mój gust dziewczyny. Byliśmy gdzieś w połowie trasy, więc zrobiliśmy sobie przerwę na kawę w przydrożnej knajpie. Małgosia pilnie studiowała atlas samochodowy i za każdym razem, kiedy pochylała się nad kartkami, Tomasz wraz z Wojtkiem nurkowali w głąb jej zbyt głębokiego jak na mój gust dekoltu. Nasunęłam na nos ciemne okulary i schowałam się w cień parasola, czekając cierpliwie, aż mój odkrywca uroków biustu panny Zbyt znów poświęci mi chwilę uwagi. Nie żebym przyjęła to z takim spokojem, z jakim wspominam całe tamte wakacje, po prostu zsunęłam klapki, położyłam nogi na krześle w plamie słońca i obiecałam sobie, że wykastruję go jeszcze tej samej nocy.

– A czy to ważne? – mruknął w odpowiedzi, kiedy Małgosia zamknęła wreszcie atlas. – Mogłaś się domyślić, w końcu nie wygląda jak...

– Jak ja?

– Jak żona. – Wojtek nie jest mistrzem w odczytywaniu sygnałów pozawerbalnych, ale tym razem chyba jednak prawidłowo zinterpretował moje lodowate spojrzenie zza okularów.

Aha, czyli jak ja. Na kastracji chyba się nie skończy, pomyślałam, zamawiając kolejną mrożoną kawę.

– W sumie jak już ci powiedział, że żona właśnie zwiedza Trójmiasto, nie musiałaś pytać go o to, czy pojechała tam z dziećmi, czy sama. – Wojtek wykorzystał chwilę zamieszania przy

sąsiednim stoliku i wysyczał mi to do ucha, zasłaniając się gazetą.

Fakt, ale po prostu nie mogłam się powstrzymać.

Przeszło mi dopiero gdzieś po dwustu kilometrach, kiedy uświadomiłam sobie, że jeśli teraz wypstrykam się ze wszystkich złości, to co pocznę przez cały tydzień, który mieliśmy spędzić razem w gospodarstwie agroturystycznym. Tak źle jednak nie było. Tomasz z panną Zbyt pojawiali się na chwilę na śniadaniu, po czym szli na krótką „drzemkę”, z której powracali w porze obiadowej, by zaraz po obiedzie zamknąć się w pokoju i oddać „słuchaniu muzyki” aż do godzin wieczornych, kiedy to wreszcie zdecydowali się spędzać czas z nami na zapowiadanych „hucznych balangach”. Pierwsza próba balangi zakończyła się dokładnie o dwudziestą drugą, gdy właścicielka w miłych, acz jednoznacznych słowach oznajmiła, że albo się zamkniemy i damy spać innym, albo będziemy kontynuować rozmowy na pomoście. Nad jezioro było zaledwie kilkanaście metrów, nie wzięliśmy jednak pod uwagę tego, że komary zdążą tam przed nami. Ściągnęły chyba z całych Mazur. Wycofaliśmy się pospiesznie, grzecznie wróciliśmy do domu i poszliśmy spać. To znaczy ja, bo Wojtek został z Tomaszem przed telewizorem. To był chyba pierwszy mecz w życiu mojego małżonka. Pierwszy i – jak nieraz miałam się o tym przekonać w ciągu tych dwóch lat – nie ostatni.

Ile razy słyszałyście od swoich matek, babek, ciotek i przyjaciółek, że mężczyźni się nie zmieniają? Że nie należy sobie wybierać uszkodzonych egzemplarzy i liczyć na zbawienny wpływ miłości i nasze pedagogiczne zapędy? No właśnie. Moja matka była nawet bardziej radykalna. Póki jeszcze paliła, za każdym razem, zapalając papierosa, powtarzała: „I pamiętaj dziecko, mężczyźni to w większości beznadziejne przypadki, nie warto ich naprawiać, bo to i tak bezcelowe. Więc daj sobie od razu spokój. No chyba że trafisz na takiego jak twój ojciec. Ale to niemożliwe, bo on jest jedyny w swoim rodzaju”. Od kiedy rzuciła, przestała wspominać jakoś o ojcu, a on beztrako udaje, że tego nie zauważa. Nic więc dziwnego, że od małego pozbawiona byłam jakichkolwiek złudzeń dotyczących męskiej natury i związków w ogóle. Nie oczekiwałam, że Wojtek się zmieni, wręcz przeciwnie – akceptowałam go takiego, jaki był, ze wszystkimi niedociągnięciami i wadami. I masz ci los, zmienił się.

Tamtej nocy nie słyszałam, kiedy wrócił do pokoju. Przy śniadaniu nie był zbyt rozmowny, całą swoją uwagę skupił na tym, żeby nie zasnąć nad filiżanką kawy. Dopiero kiedy na środku jeziora odłożył wiosła i wygodnie rozłożyliśmy się w łódce, a ja zdjęłam górę od kostiumu, skoncentrował się na tyle, by wyrzucić z siebie kilka słów o nocce zarwanej z powodu meczu. Mecz?! Wtedy jeszcze byłam zdumiona. Przecież on nawet nie wiedział o mundialu! Walcząc z plecakiem na wycieraczce, uśmiechnął się tylko szeroko w odpowiedzi na pytanie sąsiada, dokąd wyjeżdża, skoro za chwilę pierwszy mecz. Zaraz potem posłał mi spojrzenie z gatunku „O co mu chodzi?” i przypomniał sobie, że nie zakręcił gazu, więc popędził z powrotem do mieszkania. Wtedy na łódce poczułam się trochę nieswojo. Po pierwsze chłopcy z przecinającego jezioro kajaka głośno wiwatowali na widok mojego biustu, po drugie Wojtek wpatrzony w moją lewą pierś, zapytany o wieczorne plany, odparł, że zrobi wszystko, na co mam ochotę – po meczu. Zatkano mnie. W dodatku nie dało się wstać, wyjść i trzasnąć drzwiami. Zastosowałam więc jedyną znaną mi metodę komunikacji w długoletnim związku i przestałam się do niego odzywać.

– Ho, ho, ktoś tu ma humory, jak widzę. – Tomasz wyszczerzył się do mnie przy obiedzie. – Chyba się nie postarałeś, stary, tej nocy. – Mrugnął do Wojtka. – No, ale ja cię nie będę uczył, co należy robić z kobietą.

– Nie będziesz, chyba że pojedę do Trójmiasta. – Odwzajemniłam mu się szerokim

uśmiechem. Jestem bardzo tolerancyjną osobą, pełną empatii, radosnego nastawienia do świata i życzliwości do ludzi. Poza tym jestem psychologiem, zazwyczaj wiem, co ludzie chcą usłyszeć. Ale jeśli ktoś mnie wkurzy...

Drugiej nocy Wojtek, mimo wcześniejszych zapewnień, nie zdażył zrobić wszystkiego, na co miałabym ochotę. Tym razem słyszałam, o której wrócił do pokoju, ale udawałam, że śpię. Wtedy chyba po raz pierwszy układałam sobie w głowie listę rzeczy do podziału po rozwodzie, a może zaczęłam już znacznie wcześniej? Nie pamiętam dokładnie, dziś to już nieistotne. Teraz robię po kilka takich list dziennie i z każdą kolejną nabieram wprawy.

W sumie tamte wakacje wspominam całkiem nieźle. Miałam dużo wolnego czasu, słońca i świętego spokoju. Byłam też świadkiem narodzin nowego Wojciecha. Po trzeciej nocy, kiedy postanowiłam zakraść się do salonu i na własne oczy ujrzeć upadek inteligentnego bądź co bądź mężczyzny, już nic nie było mnie w stanie zdziwić. Wylegując się przez cały dzień w słońcu na pomoście obok zaspanego małżonka przygotowałam całą operację. Tuż przed kolacją zbolałym głosem oznajmiłam, że chyba dostałam udaru słonecznego i muszę się natychmiast położyć, po czym poszłam prosto do łóżka. Oczekałam, aż Wojtek zajrzy na chwilę, żeby sprawdzić, czy nie umarłam, wciągnęłam dres i na palcach zesłam do salonu, który sąsiadował z jadalnią. Oba pokoje dzieliła cienka ściana z przesuwanymi drzwiami. Ulokowałam się w ciemnej o tej porze jadalni w smudze światła padającego z salonu przez szparę w drzwiach. Po mojej lewej stronie stał telewizor, a dwie narożne kanapy i kilka foteli zajęte były przez kilkunastu mężczyzn. Większości z nich w ogóle tu wcześniej nie widziałam! Za to domyśliłam się wreszcie, skąd nad jeziorem tyle opalających się samotnych kobiet. Witamy w epoce mundialu. Mój mąż siedział między Tomaszem a rachitycznym młodzieńcem w okularach, któremu dałabym góra szesnaście lat, gdyby nie obrączka na palcu. W najbardziej emocjonujących momentach, kiedy reszta wrzeszczała: „No, dawaj, dawaj! Podaj do niego! Nie! Nie tam, ty idioto!!! Kretyn, co za kretyn, nie trafił z tej odległości! Sfaulował go, sfaulował! Widzieliście to? Trzeba być ślepym, żeby tego nie zobaczyć! I to ma być sędzia?!”, on tylko nerwowo obracał obrączkę. Kilka razy Wojtek ochlapał go piwem z puszki, ale on tego nawet nie zauważył, a kiedy chłopaki robiły falę, jako jedyny nie ruszył się z miejsca. Dzięki niemu mogłam w pełni docenić zaangażowanie reszty. Co to był za widok! Czasami odgrywam tamtą scenę przed Kacprem, jeśli nie chce akurat, żebym mu czytała przed snem. Nie przynosi to za dobrych efektów, bo mały zamiast spać, wyje pod kołdrą ze śmiechu, ale nie potrafię mu odmówić – za dobrze się wtedy bawię. Wcielałam się na chwilę w każdego z tych facetów, począwszy od gościa, który kiwał się w przód i w tył przez cały mecz, zaciskając pięści i zawodząc pod nosem przeciągłe: „Gooooooool!”, kiedy tylko piłka zbliżała się do bramki. Zaraz obok niego siedział mężczyzna koło sześćdziesiątki, który nie ruszał się ze swojego pokoju bez fularu i sztruksowej marynarki ze skórzanymi łatkami na łokciach. W ciągu dnia czarował nad jeziorem i na werandzie wszystkie kobiety bez względu na wiek, wygląd i stopień odkrycia ciała. Zamieniłam z nim zresztą później kilka słów, był szalenie inteligentnym i uroczym człowiekiem o subtelnym poczuciu humoru. Ale tamtej nocy zobaczyłam, jak rzuca ze złością fular na podłogę i skacze po nim, wykrzykując obelgi na przemian po polsku, włosku i francusku. Dwóch innych gości ujęło go pod ramiona i siłą posadziło z powrotem na kanapie w asyście okrzyków: „Siadaj wreszcie na dupie, zasłaniasz telewizor!” i „Ty, patrz, kurwa, jak elegancika poniosło”. Zachowanie kolejnego egzemplarza rozgryzłam dopiero po dziesięciu minutach porównywania jego przyśpiewki z sytuacją na ekranie. Po prostu za każdym razem kiedy tylko jego drużyna przejmowała piłkę,

podśpiewywał pod nosem:

Gdzie ci mężczyźni, prawdziwi tacy? Mmm, orły, sokoły, herosy?
Gdzie ci mężczyźni na miarę czasu? Gdzie te chłopcy?

i zupełnie na inną nutę, znacznie głośniej puentował:

Tu tu! Tu-tu-tu! Tu tu! Tu-tu-tu!.

Tomasz śmiał się i klepał w kolano własne oraz sąsiadów z jednej i drugiej strony zupełnie bez związku z wynikami gry. Prawdopodobnie radość czerpał z oglądania utyłanych w błocie gostków, rzucających się na siebie i turlających po murawie po każdej zdobytej bramce. Zaś Wojtek bił ich wszystkich na głowę w doradzaniu trenerowi i komentowaniu tego, co się działo na boisku. I tę właśnie część najbardziej uwielbiał Kacper: „Nie, nieeeeeeee, co on wyprawia? Ściągać z boiska w kluczowym momencie najlepiej rozgrywającego? To czyste samobójstwo! Nie pozwólcie mu na to! Fatalna rozgrywka! Nawet dziecko by to zauważyło, co z niego za trener? Gdzie on się uczył?! Zawracaj, zawracaj, nie ta bramka, kretynie! Weź siódemkę, zaklinam cię, siódemkę! I czemu ten bramkarz tak stoi? Nie płacą ci za stanie w jednym miejscu! Rusz się!”. Wojtek siedział jak w transie na samym brzegu kanapy, jakby przygotowywał się do skoku. Łokcie oparte miał na udach, palce splecione tak, że aż zbieleły mu kostki, wystukiwały nerwowy rytm. Nie spuszczał z oczu telewizora, nawet jeśli odzywał się do kogoś obok, nawet jeśli sięgał do stolika po piwo. Kiedy pomstował na zawodników albo trenera, niebezpiecznie podnosił mu się głos – dochodził do piskliwych rejestrów i nagle gwałtownie spadał do normalnego tonu. Przypominał wtedy trochę wadliwą kaczuszkę do kąpieli, która piszczy i buczy na przemian. Przyglądałam mu się z fascynacją, przynajmniej dopóki nie uświadomiłam sobie, że tak oto mój mężczyzna spędza noce naszych pierwszych wakacji bez Kacpra. To nie było fascynujące, to odrażające, tragiczne i...

– Smutne, prawda?

Obejrzałam się przestraszona, ale w jadalni było zbyt ciemno. Po chwili usłyszałam trzask zapalniczki i w kącie po drugiej stronie sali zobaczyłam płomień i żarzący się koniuszek papierosa.

– Tutaj chyba nie wolno palić – odezwałam się półgłosem, nie chciałam, by salonowe towarzystwo odkryło moją obecność.

– Jasne, że nie. Chcesz jednego? Trafiałaś na spotkanie jednoosobowego klubu wdówek futbolowych, ofiar euro czy tam mundialu i piłki nożnej w ogóle.

Właścicielką tajemniczego głosu okazała się kobieta, na którą zwróciłam uwagę, jak tylko weszliśmy do pensjonatu. Siedziała wtedy na werandzie, na kostium w duże czerwone kwiaty zarzucony miała tak cienki, że niemal przezroczysty szal, którego frędzle spływały z fotela. Twarz przysłaniało jej rondo ogromnego kapelusza i dopóki nie podniosła głowy, byłam przekonana, że jest koło trzydziestki. Tymczasem spod kapelusza spojrzała na mnie plus minus pięćdziesięcioletnia kobieta. Co one robią, że mają takie ciała, pomyślałam ze zdumieniem. Ile ja bym dała za taką talię i nogi! Nie wspominając o biuście. Z drugiej strony, co ja bym z nimi robiła? Grzechem byłoby ich nie wykorzystać, a ja i tak tkwię całymi dniami przed komputerem we własnych czterech ścianach i jedyni mężczyźni, z którymi mam na co dzień do czynienia, to mąż i syn. Twarz kobiety znów zasłonił kapelusz, a na jej stoliku zobaczyłam książkę i wysoką szklanekę czegoś, co wyglądało na alkohol. Z parasolką. No, to zupełnie co

innego. Tak to i ja bym mogła całymi dniami! Tego dnia nie ruszyła się z werandy aż do wieczora, za każdym razem kiedy tamtędy przechodziłam, widziałam ją z tą samą książką, tylko szkło się zmieniało. Na kolacji nawet się za nią rozglądałam, ciekawa, jak wygląda w ciuchach innych niż kostium kąpielowy, ale nie udało mi się jej wypatrzyć. Dopiero tamtego wieczora...

– Śmiało, wyglądasz na kobietę, której do twarzy z papierosem. Nie przejmuj się zakazami, do rana i tak wywietrzeje – odezwała się z kąta i dmuchnęła dymem w uchylone okno, zapalając jednocześnie do połowy wypaloną świeczkę.

Ostatni raz rzuciłam okiem do salonu i nie bez żalu oderwałam się od mundialowego spektaklu, chociaż – muszę przyznać – papierosy miała całkiem niezłe.

– Goździkowe. Od kiedy wprowadzili wszędzie zakaz palenia, smakują mi tylko te najbardziej cuchnące. – Na jej twarzy pojawił się grymas, który w tym wąłym świetle wzięłam za uśmiech.

– Dzisiaj ostatnia noc. Jutro rano wyjeżdżam. Ty też powinnaś, skoro – kiwnęła głową w stronę salonu – siedzisz tu po ciemku i przyglądasz się swojemu chłopu. Mam rację?

Odmruknęłam tylko w odpowiedzi, zaciągając się piekielnie mocnym papierosem. Od razu żołądek wywrócił mi się do góry nogami.

– A skoro to robisz, wnoszę, że albo to wasz pierwszy wyjazd, podczas którego on powinien cię nosić na rękach, a przynajmniej nie wypuszczać z łóżka, ale zapomniał o bożym świecie z powodu mundialu, albo kręci cię podglądanie gromady półgłówek oglądających gromadę półgłówek. Mam rację?

Powiedzmy, że pierwsza wersja by się mniej więcej zgadzała, nie miałabym nic przeciwko.

– Spakuj się, dziewczyno, jak najprędzej i wyjedź stąd w cholerę. Jeśli pierwszy raz wykręcił ci taki numer, nie licz, że się zmieni. W najlepszym wypadku, jak już skończy się ten mundialowy spektakl dla ubogich duchem, kupi ci bukiet kwiatów i bombonierkę w kształcie serca, którą potem sam zje. Oczywiście będzie się zaklinał, że to tylko sport i nic więcej, że tak naprawdę tylko ciebie kocha i za tobą szaleje, że jesteś na pierwszym miejscu w jego życiu, i inne tego typu bzdury. Nie ma co się do nich przywiązywać, bo za każdym razem będziesz je słyszała. Po dziesięciu latach znam je wszystkie na pamięć. Kiedyś mnie to – papierosem pokazała na salon – irytowało, potem zaczęłam się zastanawiać, co ze mną jest nie tak, skoro facet, który na co dzień za mną szaleje, na widok piłki dostaje erekcji. Ale wreszcie zrozumiałam, że to nie ma sensu, że bycie w związku z mężczyzną kłócącym się z komentatorem sportowym jest dla mnie upokarzające. Siedzimy tu od tygodnia i wypiliśmy już tyle, że zdecydowałam się wyjechać. Sama. On i tak zorientuje się dopiero, jak skończy się mundial, czyli mam jeszcze kilka dni na to, żeby wyczyścić mu konto. Za poniesione w ciągu tej dekady straty moralne. Poza tym ktoś musi płacić składki w klubie wdówek futbolowych. No przecież nie my.

Zza rozpinanego swetra wyjęła coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak piersiówka. Owszem, to była piersiówka. Z wiśniówką, jak się po chwili przekonałam.

– Za naszą młodość, urodę, inteligencję i mądrość życiową – wzniosła pierwszy toast i pociągnęła porządny łyk. Czy ona kiedykolwiek jest trzeźwa? Zanim przechyliłam buteleczkę, potrząsnęłam nią ostrożnie, żeby sprawdzić, czy cokolwiek jeszcze w ogóle zostało po jej toaście. Zachlupotało na samym dnie, a moja towarzyszka wrzuciła tylko ramionami i zaciągnęła się papierosem. Po chwili milczenia wypełnionego stłumionymi odgłosami z salonu spojrzała na mnie i powiedziała:

– Kiedyś też miałam tyle lat co ty, byłam zakochana i... No nie, przesadziłam, wtedy to już nie byłam zakochana. Żyłam w szczęśliwym związku, on po każdej kłótni przynosił mi kwiaty, ja wtedy udawałam, że w łóżku nie ma sobie równych. Było idealnie, no wiesz, dzieci, weekendy, wakacje, od czasu do czasu kolacja na mieście we dwoje, czego można chcieć więcej od małżeństwa? Potem córka zażyczyła sobie telewizora, żeby oglądać MTV, więc kupił plazmę, powiesił na ścianie i włączył. I oczywiście co pierwsze pojawiło się na ekranie? Korki. A nad nimi białe podkolanówki. A nad nimi granatowe szorty. Brudne. Reszty nie widziałam, bo zakryta była stosem innych korków, podkolanówek i szortów. Same kadłubki. I ten przeraźliwy wrzask, który trwał, dopóki nie uregulowaliśmy dźwięku – „goooooooooool!”... A wtedy okazało się, że mój mąż, który mecze oglądał od czasu do czasu w pubach albo u znajomych, ale tylko wtedy, gdy ja miałam własne plany, jest zapalonym kibicem. Wykupił wszystkie możliwe kanały sportowe z piłką nożną i oglądał ją od świtu do nocy z przerwami na pracę. Kupił sobie nawet składany blat do stawiania na oparciach fotela, żeby móc jednocześnie jeść obiad i oglądać mecz. A kiedy jadł – wzdrygnęła się – zupa ściekała mu z kącików ust. Patrzyłam na to przez dziesięć lat. Dzień po osiemnastych urodzinach córki postanowiłam ożywić nieco nasz związek. Sędzia była kobietą, rozwód dostałam od ręki. Na sali rozpraw obiecałam sobie „nigdy więcej kibica” i trafiłam na niego. – Skinęła głową w stronę salonu. – Był dużo młodszy od mojego eks, miał więcej włosów na głowie, ani jednej plazmy w domu, no i nie musiałam udawać, że jest niezrównany w łóżku. Na samym początku kazałam mu przysiąc, że nigdy nie obejrzy meczu piłki nożnej, i nasz pierwszy wspólny rok był... po prostu wspaniały. A potem była pierwsza rocznica, która wypadła akurat w dzień otwarcia mundialu. I wtedy usłyszałam, że mundial to nie zwykły mecz, że to MUNDIAL, a jego obietnica MUNDIALU przecież nie dotyczyła, więc o co chodzi. Poddałam się. Nie chce mi się znowu szukać. Poza tym jaką mam gwarancję, że trafię na normalnego? I tak co dwa lata lądujemy gdzieś, gdzie ja mam wystarczająco dużo słońca, książek i alkoholu, a on telewizor, żebyśmy oboje przetrwali ten czas.

– To czemu wyjeżdżasz?

Jej historia zaczynała mnie już nieco nużyć, może to z powodu papierosów goździkowych, a może tej resztki wiśniówki, ale ogarniała mnie senność i coraz trudniej było mi z nią walczyć. Nie miałabym nic przeciwko temu, by udać się prosto do łóżka i błogo przespać powrót Wojtka do pokoju.

– Bo umieram z nudów. A tak przynajmniej za tych kilka dni, kiedy to się skończy, a on zorientuje się, że wyjechałam i wyczyściłam mu konto, wzbudzę w nim poczucie winy, które stanie się motorem napędowym naszego związku na przynajmniej kolejne pół roku. No i zostałam członkinią klubu wdówek futbolowych, zastąpisz mnie.

Do dziś nie wiem, jak miała na imię, ale historia jej pierwszego małżeństwa jest nieustającą inspiracją dla mych przemyśleń rozwodowych.

Starajcie się o siebie. Jeśli będziesz spędzać wolne chwile w rozciągniętym dresie, z lakierem złączającym z paznokci, nie oczekuj, że on nagle na twój widok zacznie wciągać brzuch i przestanie drapać się po tyłku.

Żar lał się z nieba, chociaż była dopiero szósta rano. Poczułam go dopiero, kiedy spojrzałam przez okno na termometr – dokładnie dwadzieścia osiem stopni. Jak to możliwe, zapytacie? Nie pytajcie, po prostu omijajcie Kraków od maja do września, w sezonie letnim dzieją się tu ostatnio dziwne rzeczy. Sama nie dowierzałam termometrowi, więc otworzyłam po cichu balkonowe drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Było jeszcze goręcej! A to dopiero początek czerwca, przede mną jeszcze dwa miesiące coraz większego brzucha i coraz mniejszej tolerancji na upał. Cudownie. Gdyby natura była kobietą, a nie tylko rodzaju żeńskiego, ciąża wyglądałaby zupełnie inaczej. Nie byłoby puchnących nóg, zawrotów głowy i tej przeklętej bezsenności. To już kolejna zarwana noc. Budzę się codziennie między drugą a trzecią i gapię w sufit. Nie tylko ja nie śpię. Sąsiad zza ściany z prostatą też nie. Zdaje się, że oboje chodzimy do łazienki o tych samych porach, czyli średnio co kwadrans. Para, która mieszka nad nami, sypia, owszem, ale w ciągu dnia. W nocy zajęci są uprawianiem seksu i wydawaniem rżęzących okrzyków. Śmiało, krzyczcie głośniej, skończycie jak ja – przewracając się z trudem z boku na bok, kiedy córka boksuje moją wątrobę. Zazwyczaj koło czwartej zaczynam nienawidzić sąsiadów, a zwłaszcza tych kopulujących mi nad głową. Nienawidzę też wtedy mojego męża, który bezczelnie przesypia całą noc i budzi się wypoczęty jak jasna cholera. Okresowo nienawidzę również syna, gdy zabiera mi wentylator. I to by było na tyle, jeśli chodzi o praktykowanie wewnętrznej harmonii i przekazywanie dobrej energii dziecku. Ale próbowałam... Nie z własnej woli co prawda, ale zawsze coś.

Dwa miesiące temu, kiedy świat był lżejszy o jakieś dziesięć kilogramów, a ja wytrwale marudziłam, jak ciężko wejść na drugie piętro, Wojtek zasugerował, żebym poszła na zajęcia z jogi.

– Jak byłaś w ciąży z Kacprem, trudno cię było spotkać w domu. Od rana do wieczora chodziłaś na gimnastykę, basen, jogę, masaże, kursy oddychania, warsztaty z zarządzania energią i tai-chi. I chociaż biegałaś przez cały dzień, w nocy miałaś więcej siły niż ja. Z tego co pamiętam, nie zasypaliśmy tak od razu – zniżył głos do seksownego barytonu i spróbował mnie objąć.

Nie udało mu się. Moja córka, jak tylko poczuje na brzuchu jego dłoń, natychmiast zaczyna wierzczać. Tak, gdyby prenatalny Kacper obdarzony był choć połową temperamentu swojej siostry, nic by nie było z tamtych wieczorów. Pamiętam je doskonale. Padałam na nos ze zmęczenia, ale postanowiłam, że do samego końca będę najseksowniejszą i najbardziej pożądaną kobietą w ciąży. Raz nawet ucięłam sobie drzemkę w trakcie seksu. Wiecie, jak to jest, kiedy uprawia się miłość na łyżeczkę. Żadna inna pozycja nie wchodziła już w grę, Wojtkowi i tak było wszystko jedno – ochoczo zabrał się do dzieła, a ja tylko na chwilkę przymknęłam oczy... Otworzyłam je, kiedy wrócił z łazienki. Następnego dnia rano. Nic nie zauważył. Cóż, chyba nie miał orgazmu, bo kiedy ma, zawsze chce o tym porozmawiać. To była chyba moja jedyna wpadka, ale – przyznacie – doskonale zatuszowana. Poza tym wszystko było tak, jak to sobie wymyśliłam, zrealizowałam swój plan w stu procentach. Przybrałam wtedy na wadze może z pięć kilogramów, brzuch miałam tak mały, że do końca ciąży chodziłam w swoich normalnych ciuchach, jedynie ostatni miesiąc spędziłam

w przewiewnej sukience ze sklepu indyjskiego. Zawsze umalowana, z podkreślonymi włosami, pachnąca, zrelaksowana, uśmiechnięta, w pełni oddana synowi *in spe* i mężowi – cała ja sprzed ośmiu lat. Znajomi za każdym razem powtarzali, jak pięknie wyglądam, i robili to nawet bez przymusu, mężczyźni oglądali się za mną na ulicy, a Wojtek rozkładał swój pawie ogon i z samczą dumą kładł rękę na moim maleńkim brzuchu. Kobiety, z którymi spotykałam się na jodze albo na basenie, były ogromne, miały spuchnięte stopy, tłuste włosy i paskudne wypryski na twarzy. I nienawidziły mnie rzecz jasna. Zwłaszcza kiedy przychodzili po nie mężowie. Cóż, świat jest wystarczająco skomplikowany bez nas, kobiet, ale tak naprawdę to my stworzyłyśmy definicję słowa „skomplikować”. To jeszcze nic, tak naprawdę to my stworzyłyśmy świat. Widziałyście kiedyś mężczyznę w ciąży? Otóż to! Zapłodnić to żadna sztuka, wystarczy trochę spermy, ale już zrezygnować z własnej tożsamości na dziewięć miesięcy i zamienić się w przechowalnię, spiżarnię i dojrzewalnię w jednym, to dopiero sztuka. Nie dość, że musimy walczyć z własnym organizmem, stresować się wizją porodu, pierwszego tygodnia po powrocie ze szpitala, gojącym się pępkiem, połkniętą śrubką, wyrzynającym się zębem i ryzykiem przedwczesnego statusu babci, to jeszcze z kobiety w ciąży przeistoczyć się w czterech ścianach w nie tylko po prostu kobietę, ale w tę jedyną kobietę, w której zakochał się wasz mąż. To dopiero jest skomplikowane, czyż nie?

Kiedy więc mała kopnęła w brzuch, a Wojtek natychmiast zabrał dłoń, w jednej chwili stało mi przed oczami dziewięć miesięcy z Kacprem. I ja, niewyspana, rozdrażniona, ociężała, umęczona, przyznałam mu rację. I zapisałam się na jogę. Skończona idiotka.

– A teraz z głębokim wdechem przechodzimy do pozycji *purvottanasana*. Wasze ciało wypełnia się niebieskim światłem, które zaczyna rozgrzewać stopniowo wasze dłonie, kolana, pachwiny, brzuch, piersi, ramiona i koniuszki palców. Czujecie to? Teraz połóżcie dłonie na swoich brzuchach i przekazcie swoją energię waszym dzieciom. Niech spłynie na nie wasze niebieskie światło.

Moje niebieskie światło skoczyło – tylko na chwilę – do toalety godzinę temu i jeszcze nie wróciło. Ciekawe, czy kiedykolwiek wróci? Na szczęście znam inne sposoby na rozgrzewanie ciała, chociaż przy trzydziestu stopniach za oknem to głęboko niehumanitarne. Leżałam na macie cuchnącej potem i niedomytymi stopami wśród pięciu kobiet w ciąży. Wszystkie wykonywały płynne ruchy z zamkniętymi oczami, więc zignorowałam sugestie instruktorki, by wsłuchać się w siebie, dzięki czemu mogłam przynajmniej zgapić od innych i nadażać za jej poleceniami. Te dziewczyny trochę mnie przerażały, stawy miały chyba z gumy, bo nikt normalny nie wygina się w taki sposób, a co dopiero kobieta w ciąży! Pewnie podczas porodu napną się tylko minimalnie i dzieci same im wyskoczą, skapanie w niebieskim świetle oczywiście.

– Wykonujemy głęboki skłon z wydechem. Dobrze, teraz powoli proszę się wyprostować i stajemy w lekkim rozkroku. Prawą ręką dotykamy za plecami łokcia lewej ręki i naprężamy mięśnie prawego barku, a lewa ręka wędruje w tym czasie do prawego ucha. Zamykamy wewnętrzny obieg energii i pozwalamy, by swobodnie przepływała z jednej części naszego ciała do drugiej. Dobrze, teraz to samo, ale zaczynamy lewą ręką.

OK, jakim cudem mam dotknąć lewą ręką lewego łokcia? Mój obieg się już chyba zamknął na amen i odciął mi dopływ krwi do kończyn. Może jednak powinnam była wybrać basen? Unosiłabym się teraz na chłodnej wodzie jak pękata kaczka do kąpieli, zamiast wdychać

zapach potu, który wżarł się w ściany tej sali. Wystarczy, że na chwilę zamknę oczy i od razu przenoszę się do męskiej przebieralni z mojej podstawówki. Nie żebym tam w ogóle kiedykolwiek była! Po prostu mam bogatą wyobraźnię. Na tyle że chodzę dalej na te zajęcia ku wielkiej radości Wojtka, średnio raz na trymestr, ale o takich szczegółach mu nie mówię.

Szósta siedem. Cholera, jak ten czas wolno płynie. Nie mam co ze sobą zrobić, mąż śpi w jednym pokoju, syn w drugim, została mi tylko kuchnia. Siedzę w niej co rano, mniej więcej od piątej, kiedy już nie mogę wytrzymać w łóżku. Bezszelestne obracanie się z boku na bok żon w zaawansowanej ciąży to marzenie wszystkich próbujących spać mężów. Wojtek tylko stęka przez sen, ale chłop musi wstać rano do pracy, w końcu mnie utrzymuje, więc w moim interesie leży, by był wypoczęty. I tak wstaję każdej nocy, by kursować między kuchnią, gdzie parzę melisę, a łazienką, gdzie się jej pozbywam. I tak w nieskończoność. Szósta dziesięć. Za dwadzieścia minut w pokoju zadzwoni budzik i pracujący małżonek zaklnie, rzuci w niego poduszką, spuści jedną nogę, odczeka z pięć minut, spuści drugą, żeby po kolejnych pięciu minutach westchnąć z rezygnacją i zwlec się z łóżka. Dopiero wtedy włączę radio, pootwieram okna i wrzucę marchewki do sokowirówki. A kiedy jeden i drugi wreszcie wyjdą z domu, włączę netbooka i zasiądę do pracy. Każdego ranka odczytuję to, co napisałam do tej pory, zmieniam, kasuję i zaznaczam fragmenty do poprawienia, a potem piszę dalej, co każdego ranka kończy się tak samo, czyli po napisaniu dwóch akapitów ogarnia mnie długo oczekiwana senność. Po tym jak pracowałam, leżąc wygodnie na łóżku, i po chwili budziłam się koło komputera po czterech godzinach, przeniosłam się na fotel. Nie pomogło. Po prostu kiedy zabieram się do pracy, mój organizm zabiera się do spania i jakoś nie możemy się w tej sprawie porozumieć.

Szósta trzydzieści jeden. Co jest? Budzik nie dzwonił. Nie nastawił go? Może baterie wysiadły? Albo sprzęt odmówił posłuszeństwa w taki upał? Wystarczy, że lodówka przy takiej temperaturze ma problemy z tożsamością i zamienia się w piekarnik. Powinnam obudzić Wojtka. Mogłabym to zrobić na tysiąc sposobów: pocałować go, zaparzyć mu kawę, zrobić śniadanie do łóżka, delikatnie potrząsnąć nim za ramię, połaskotać w nos, wrzasnąć do ucha, że odeszły mi wody. Nie, tego ostatniego nie zrobiłabym mu drugi raz. Przetestowałam to w *prima aprilis* i naprawdę podziałało – wyskoczył z łóżka jak oparzony.

Istnieje wiele sposobów, żeby obudzić ukochanego mężczyznę, można się wykazać choćby w najbardziej banalnych momentach codziennego życia. Walcz z nudą i rutyną, a zachowasz wieczną miłość.

– Rusz tyłek! – wrzasnęłam z kuchni, przekrzykując radio i sokowirówkę. – Zaraz spóźnisz się do pracy!

Z pokoju dobiegł tylko jęk. Zaraz, może dziś sobota? Zerknęłam na kalendarz, żeby się upewnić, ale środek tygodnia dalej był środkiem tygodnia, nawet pomimo tych trzydziestu stopni. Przełałam do szklanki sok marchewkowy, jedyny napój, po którym nie mam zgagi, i poszłam do pokoju, żeby wyrzucić Wojtka z łóżka. Za piętnaście minut to samo będę musiała zrobić z Kacprem. A potem, alleluja, święty spokój, będę mogła pospać, to znaczy popracować.

– Pan hrabia raczy wreszcie wstać? – zapytałam, odsłaniając zasłony i wpuszczając do środka słońce, co nie było dobrym pomysłem, bo temperatura w pokoju momentalnie podskoczyła o jakieś dziesięć stopni.

– Zasłoń – wycharczał spod poduszki. – Przecież ci mówiłem, że od dziś mam urlop.

– Jaki znowu...

Ups, fakt. Przypomniałam sobie. To było wczoraj wieczorem.

Siedziałam właśnie w łazience, a właściwie to klęczałam przed sedesem, wpatrując się w smętne resztki pieczołowicie przygotowywanego przez pół dnia obiadu, gdy Wojtek wreszcie wrócił z pracy. Nie żeby mi się do niego spieszyło, po tylu wspólnych latach na małym metrażu kobieta czasami oddaje się marzeniom, że może po prostu któregoś dnia on nie wróci. Pójdzie po zapalki albo...

– Znowu masz mdłości? Nie powinny ci się skończyć jakieś cztery miesiące temu? Może idź do lekarza, co?

– Cięża to nie choroba – odmruknęłam pod nosem, wychodząc z łazienki. – Tak przynajmniej twierdzą mężczyźni, a do lekarza i tak idę w przyszłym tygodniu. Trudno się do niego umówić, terminy ma zajęte na miesiąc do przodu.

Minęłam Wojtka, jednocześnie zerkając znacząco na zegar i wciągając zapach jeszcze nie przetrawionego piwa, który roztaczał mój szanowny małżonek. Mój szanowny pracujący do późna małżonek.

– To idź do innego – powiedział do telewizora. A konkretniej do gościa prowadzącego program sportowy, który omawiał właśnie wczorajszy mecz.

Tym się różnią kobiety od mężczyzn – mogą jednocześnie gotować obiad, zwracać go w toalecie, rozmawiać z mężem, kłócić się z nim i wyśmiewać się w duchu z tego, co ogląda. Załóżcie się ze mną, że nie słuchał tego, co mówię?

– Co powiedziałaś?

– Yyyy, nooo, żebyś... no wiesz. Wow! Popatrz, jaka piękna zagrywka!

Nie zakładajcie się, za dobrze go znam.

– Co na obiad? – Chyba postanowił zmienić temat. Jedyna rzecz, w której jest naprawdę dobry.

Kiedy on nie docenia twojej pracy – bez względu na to, czy jest to praca zawodowa, czy też domowa – a ciebie to drażni, powiedz mu o tym. Masz prawo do szacunku i docenienia, nawet jeśli to „tylko” umyte okna czy ugotowany obiad. To praca jak każda inna. Nie irtuj się, policz w myśli do dziesięciu, a potem powiedz mu, jak się poczułaś. Zapomnij o ironii i sarkazmie – to nie jest klucz do porozumienia.

– Chcesz rzucisz okiem na wersję strawioną, czy jeszcze nie? Ta druga jest w kuchni. Na stole. Nakrytym dla nas obojga. Cztery godziny temu. Kiedy to miałaś wrócić z pracy.

– Jezu, znowu zaczynasz? Jakaś zrzędliva się ostatnio zrobiłaś, to pewnie przez te hormony – dodał po chwili i poklepał mnie z roztargnieniem po kolanie.

Moj mąż poklepał mnie po kolanie. PO KOLANIE. Chryste, tak właśnie rozpadają się małżeństwa. Chyba powinnam jednak wyrzucić z poradnika rozdział o miłości opartej na przyjaźni. To jakaś lipa. W sumie ten o potrzebie rozmawiania w związku też. I tak nikt w to nie uwierzy, no może oprócz zakochanych, ale oni nie czytają poradników. Zakochani w ogóle nie czytają, zakochani uprawiają seks. I nie klepią się po kolanach!

– Marta, będziesz to jeszcze jadła?

Nie zdążył nawet dokończyć pytania, a ja już z powrotem gnałam do łazienki. Moja córka najwyraźniej nie przepada za ravioli ze szpinakiem i gorgonzolą. Uwielbia za to galaretkę truskawkową, którą żywiłam się przez pierwszy trymestr ciąży. Ach, doprawdy, jak zwracać, to tylko po galaretkę truskawkowej. Szybko, gładko i bezboleśnie. Jak wyszłam dziesięć minut później, Wojtek siedział już na swoim ulubionym fotelu z wielkim talerzem na kolanach i połykał moje misterne, kunsztowne i zachwycające dzieła sztuki kulinarnej, jakby to były gotowane ziemniaki. Dwa ześlizgnęły mu się z łyżki i z pacnięciem spadły na podłogę. Oczywiście nie zauważył. Schyliłam się, żeby je podnieść, kiedy między jednym kęsem a drugim Wojtek rzucił:

– A, wziąłem kilka dni wolnego. Od jutra. Do niedzieli są najlepsze mecze, nie mogę ich przegapić.

O nie, gorzej już być nie może. Rozmyślałam się i zostawiłam mu te ravioli pod nogami. Może się na nich poślizgnie, skręci sobie kark, a ja dostanę odszkodowanie? Tylko nie pamiętam, czy się ubezpieczył na życie. A co tam! Zostawię!

Podniosłam je godzinę później. Razem z talerzem z zaschniętymi resztkami, o którym Wojtek zapewne, ojezuznowusięczepiaszprzecieżzapomniałemjużgozabieramno!, zapomniał. Wtedy też ujrzałam coś, co wypadło mu z kieszeni, a mnie zaraz przypomniało o wcześniejszym piwnym zapaszku i uświadomiło, że właśnie jestem na granicy eksplozji. Po czym eksplodowałam i lodowatym szeptem zapytałam, co podkładka do piwa robi pod fotelem. Podkładka, której wcześniej tu nie było, a już zdecydowanie na pewno nie było na niej numeru telefonu napisanego kobiecą ręką ze śladem szminki tuż obok imienia. Jej imienia.

– Co? – Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. – A, to. Oj, no wiesz, wyrwaliśmy się wcześniej z pracy i poszliśmy do pubu, wiesz, tego na rogu, mają porządną plazmę, idealną na mecz, bo dzisiaj grali...

Jego usta otwierały się i zamykały, zupełnie jakby był rybką w akwarium wciągającą pokarm rozsypany na powierzchni wody. Słyszałam tylko szum przewietrzacza pompującego tlen dla rybki i ciche pluskanie, po czym wzięłam siatkę, wyjęłam rybkę, rzuciłam na podłogę i ubiłam tę sukę. Ja, kobieta przed czterdziestką, w zaawansowanej ciąży, gospodyni domowa, matka i żona gotująca obiad dla męża, który zamiast wracać po pracy do domu i na kolanach dziękować za kolejny fantastyczny obiad w ciągu ich wieloletniego związku, siedzi z kolegami

w knajpie i zamiast gapić się na plazmę, siedzi z nosem w dekolcie jakiejś niecieężarnej i nieczterdziestoletniej uszmkowanej kobiety. I nagle zapragnęłam wyjechać w trasę autorską już teraz zaraz, najlepiej w tej sekundzie, tak jak stoję. I nie wracać.

Wtedy właśnie oznajmiłam mu, że świetnie się składa, bo wyjeżdżam, więc zajmie się Kacprem. Przypomniałam sobie o tym w błysku olśnienia, kiedy stałam nad zlewem i wpatrywałam się w strumień zimnej wody zalewający talerz. Pozostałości po ravioli uparcie trzymały się jego powierzchni, ja przyglądałam im się z rezygnacją, a Wojtek siedział przed telewizorem. Dzień jak co dzień. Co, brzmi znajomo? I o czym wtedy myślicie? Że jakbyście nagle się spakowały i wyszły, to on i tak by nie zauważył? Że gdyby nie dzieci, od razu byście go wyrzuciły z domu / zadźgały widelcem / zesłały do waszych matek / wykastrowały i wreszcie zaczęły żyć? Że nienawidzicie chama? Że na pewno gdzieś niedaleko jest ktoś, kto marzy, by poświęcić wam swój czas, powtarzać codziennie jak mantrę, że was kocha i że jesteście oszałamiająco piękne, jeśli nie najpiękniejsze? Dajcie spokój. Są inne sposoby, żeby zakręcić ten cholerny kran. Ja po prostu pacnęłam go dłonią i postawiłam czajnik na gazie, uśmiechając się z satysfakcją do swojego odbicia w oknie.

– Coś ci miałam powiedzieć, tylko nie pamiętam co... A, już mam, za trzy dni wyjeżdżam w trasę i nie będzie mnie gdzieś przez tydzień. Przedłuż więc sobie ten urlop o jeszcze kilka dni – odezwałam się słodkim głosem.

W pokoju zapadła cisza. Chyba ściszył telewizor. A może zasnął? Za oknem nerwowy spaniel z parteru wyprowadzał na spacer sąsiadkę. Biedna kobiecina, kiedy ona chce skrócić w lewo, ten ciągnie w prawo, co ona zbacza w stronę klatki, ten momentalnie odbija w stronę alei. Raz kupiła sobie „automatycznie zwijaną smycz – wie pani, taką jak automatyczny parasol. Wystarczy, że wcisnę, a moja psinka może spokojnie sobie biegać”, co mniej więcej oznaczało, że sąsiadka może sobie spokojnie iść, kiedy jej szatański pies zatacza wokół niej ósemki na długiej smyczy. Raczej mniej niż więcej, co pewnego razu ujrzałam na własne oczy. Jak już się wyśmiałam schowana bezpiecznie za firanką, zeszałam na dół, żeby jej pomóc wyplątać się z tej linki i wyciągnąć ją z krzaków. Po tamtym incydencie wróciła do tradycyjnej smyczy, zdecydowanie za krótkiej jak na temperament spaniela. Teraz zaopatrzona w latarkę, której światło wychwytywało wszystkie psie kupy czekające na chodniku, aż ktoś w nie wdepnie, wracała z wieczornego spaceru. Pomachałam jej nawet, kiedy na chwilę podniosła głowę, ale chyba jednak mnie nie zauważyła.

– Jak to wyjeżdżasz?

Aż podskoczyłam. Wojtek stał w drzwiach kuchni i wpatrywał się we mnie ze zdumieniem. Próbowалам wyczytać coś więcej z jego twarzy, ale gościło na niej czyste, pierwotne bezbrzeżne zdumienie.

– Zupełnie normalnie. 15 czerwca zaczynam trasę autorską i przez kilka dni nie będzie mnie w domu – wyjaśniłam takim tonem, jakbym wyjeżdżała średnio raz w tygodniu.

– Ale... Jaką znowu trasę? Dokąd?

Małżonek powoli zamieniał się w wielki znak zapytania. Jak przekrzywi jeszcze głowę o kilka stopni, grozi mu trwały uraz kręgosłupa. Zaczynał mnie już nieco irytować. Co to ma być? Przesłuchanie?

– W trasę autorską. Będę promować moją książkę, którą całkiem niedawno wydałam. Pamiętasz w ogóle?

Pokiwał machinalnie głową.

– Oczywiście, że nie pamiętasz! Jakżeby miało być inaczej?! Gdybym to wydrukowała

w gazetowym dodatku telewizyjnym, może coś zostałoby ci w głowie! Albo wykupiła czas reklamowy przed transmisją meczu! Ale skoro nie dotyczy to ciebie, tylko mnie, nie warto zaprzętać sobie tym uwagi, co? Owszem, wyjeżdżam! Tak się składa, że mam własne życie i nie wszystko się kręci wokół obiadków, które dla ciebie gotuję, a o których ty zapominasz! To że pracujesz, a ja zajmuję się domem i naszą rodziną, nie oznacza, że mam być na każde twoje zawołanie! Ja też mam prawo do czasu dla siebie, do zainteresowań, do sukcesu! I do szacunku, jasne?!

Hm, chyba trochę przesadziłam. Nieco mnie poniosło, przyznaję, ale nagle poczułam, że oto nadeszło moje pięć minut, w których muszę zmieścić wszystkie nasze nagromadzone wspólne lata. Nic tak nie oczyszcza atmosfery w związku, jak możliwość powrzeszczenia sobie na partnera. W końcu jestem psychologiem, wiem, co mówię. I od razu zrobiło mi się lepiej.

– Ale ja tylko pytałem dokąd... – odezwał się cichutko, wpatrując się we własne stopy.

Duży palec od lewej nogi podrygiwał mu nerwowo. Właśnie dlatego nigdy nie chodził na uniwersytecie w sandałach. Kiedy studenci doprowadzali go do szafu albo gość, z którym dzielił pokój, wyprowadzał go z równowagi samą swoją obecnością, kamienna twarz Wojtka nie zdradzała najłżejszej choćby irytacji. Ten jeden palec był jedynym organem, który nie poddawał się jego woli. Pewnie dlatego z porodu Kacpra pamiętam głównie palec lewej stopy małżonka. Siedział obok mnie na materacu, oparty plecami o drabinki, z których przed chwilą zwieszałam się za radą położnej, żeby zminimalizować ból wywołany skurczem i przyspieszyć całą akcję. Odpoczywałam wtedy pomiędzy coraz częstszymi skurczami, Wojtek kojącym głosem opowiadał, że zaraz wszystko się skończy i już w trójkę wrócimy do domu, gdzie na małego czeka łóżeczko. Ale jak ja mogłam mu zaufać, skoro dokładnie na wysokości moich oczu wielki paluch wznosił się i opadał w szaleńczym tempie?

Tego wieczora nie zamieniliśmy już ze sobą ani słowa. Żeby nie zostać posądzoną o zmienność nastroju pod wpływem hormonów, postanowiłam do końca czynić honory obrażonej pani domu, a Wojtek ze strachu zaszył się w fotelu. Do łazienki poszedł na palcach, dopiero kiedy zgasiłam lampkę nad łóżkiem.

Zaskakujcie się nawzajem. Weźcie sobie znienacka dzień urlopu i spędźcie ten dzień na luzie. Zjedzcie śniadanie w łóżku, poczytajcie razem gazety, poleniuchujcie, a poczujecie się jak na wakacjach. A wakacje to czas amorów – zalotów i seksu.

Szósta czterdzieści dwa. Wypiłam już chyba ze trzy kawy, zbożowe oczywiście. Moje ciśnienie nie potrzebuje kofeiny, wystarczy mu w zupełności nadprogramowy mąż w domu. I co ja teraz będę robić przez cały dzień? Potrzebuję przestrzeni, a nie faceta grzebiącego w lodówce, okupującego łazienkę, zajmującego pokój, włączającego radio, siedzącego przed telewizorem i pytającego, co na obiad. W życiu istnieją pewne zasady, naturalny porządek rzeczy wymusza zachowanie kolejności, kto nie przestrzega reguł, wypada z gry. Tak przynajmniej jest we wszechświecie. Tym uniwersalnym, bo w naszym własnym najwidoczniej jest odwrotnie: Wojtek nie przestrzega reguł i ja wypadam z gry. Zamierzałam popracować w spokoju, wziąć relaksującą kąpiel, pójść na zakupy, poszukać w sieci sklepów z odzieżą ciążową, bo kończą mi się już pomysły na wciśnięcie się w ostatnią sukienkę o rozmiarze XXL, i ugotować coś dobrego na obiad, co mogłabym później gładko zwrócić. I zdrzemnąć się, to przede wszystkim. Tymczasem siedzę przy kuchennym stole i gapię się w pusty kubek, zastanawiając się, kiedy odezwie się zgaga po trzech inkach. Może już czas obudzić małego? Nie, jeszcze chwilę niech sobie pośpi. Czeka go kilka ciężkich dni, będzie potrzebował siły, żeby jakoś przetrwać. Kiedy ostatnim razem zostawiłam go z Wojtkiem... Nie, zaraz, przecież ja nigdy dotąd nie zostawiałam go z nim samego! Niemożliwe. Od ośmiu lat nie wyjechałam sama z domu na dłużej niż jeden dzień? Boże, jak to się mogło stać?! I kiedy to minęło? Dopóki nie poznałam Wojtka, ciągle byłam w rozjazdach. Jakby tak zebrać do kupy wszystkich moich chłopaków i kolegów, i letnie wypady w tak zwany teren, okazałoby się, że przejechałam z nimi pół Europy. Zaraz po studiach cudem złapałam fuchę obwoźnego psychologa szkolnego. Miałam zajęcia w czterech szkołach, codziennie dyżur w innej – od wtorku do piątku, co po pierwsze oznaczało trzydniowe weekendy, a po drugie dwumiesięczny urlop. Potrafiłam wtedy wstać o świcie w sobotę, spakować mały plecak i ruszyć na dworzec, a tam przed rozkładem jazdy decydować, dokąd pojechać tym razem. Spało się wówczas w akademikach, hostelach i tanich pensjonatach albo w nocnych pośpiechach. W wakacje było więcej możliwości, a że dwa miesiące wolnego oznaczało brak wypłaty, pozostawało mi jedynie łapanie stopa. To były piękne czasy... Byłam młoda, niezależna, samodzielna, chudsza o dwójkę dzieci i non stop zakochana. A teraz? Teraz została mi tylko zgaga.

– Mamo, co robisz?

Przede mną stał Kacper w opadających spodniach od pidżamy i tarł kciukami oczy. Ziewnął rozdzierająco i klapnął na krzesło.

– Nie obudziłaś mnie – zauważył, kiedy w radiu o siódmej zaczęły się wiadomości. – Długo już tak siedzisz? Nie możesz spać przez ufoluda?

Tak pieśczośliwie nazywał swoją siostrę, od kiedy pokazałam mu zdjęcie małej z trzywymiarowego USG. I obraził się na mnie, bo powiedziałam, że też tak wyglądał w jej wieku.

– I co teraz? – zapytał zaspany, drapiąc się po głowie. Po chwili zajęczał: – Czemu jest tak gorąco?

– Teraz pójdziesz do łazienki i umyjesz się, ja ci przygotuję lodowaty sok z marchewki i kanapkę z przeraźliwie zimną sałatą. A potem zupełnie spokojnie spóźnisz się do szkoły. Co ty na to?

Kacper po namyśle skinął głową i zsunął się z krzesła. Ziewnął raz jeszcze i, podtrzymując jedną ręką opadające spodnie, ruszył do łazienki. Po dwóch sekundach jednak znów był w kuchni, tym razem wyglądał na całkiem obudzonego.

– Jakiś facet śpi w twoim łóżku, mammo.

– To nie facet, kochanie, to tata. Ma dziś wolne.

Kiedy myłam marchewki pod zimną wodą i modliłam się, żeby zgaga już się skończyła, dotarło do mnie, co przed chwilą powiedziałam. To nie facet... Jedna z marchewek wyslizgnęła mi się z dłoni, uderzyła o ścianę i wpadła pod szafkę. No pięknie, schylić się jeszcze potrafię, uklęknąć od biedy też, ale kto mnie wtedy podniesie? Mój filigranowy syn?

– Dobra, wygrałaś tę rundę – powiedziałam pod nosem i wyjęłam kolejną marchewkę z siatki. – Ale ty, moja droga, skończysz zaraz w sokowirówce.

I tak oto ja, zamiast wziąć chłodny prysznic, spryskać się perfumami i w seksownej koszulce obudzić mojego męża, stoję w jego największej koszuli z krótkim rękawem, w dodatku w paski, i gadam do warzywa. W sumie idea seksu w ciąży nie jest taka głupia, nie da się wpaść, choćby nie wiem, jak się starało. Ale, jednym ruchem odcięłam czubek marchewki, nikt mnie więcej na to nie namówi. O nie, dziękuję bardzo.

Kacper cmoknął mnie w policzek, co czynił wyłącznie, gdy byliśmy sami („nie przy ludziach, mammo”, po raz pierwszy odsunął się ode mnie, kiedy odprowadzałam go do przedszkola), i pobiegł do szkoły z usprawiedliwieniem wetkniętym do tylnej kieszeni spodni.

– Napisz mi coś, żeby się nie czepiali. – Podsunął mi kartkę pod nos, kończąc śniadanie.

– Ale co? Że zapomniałam cię obudzić?

– No nie, wymyśl coś lepszego, w końcu jesteś pisarką, nie?

Ach, mały cwaniak, wie, jak mnie podejść. Napisałam mu wreszcie całkiem zgrabną historyjkę, jak to musiał mnie odprowadzić do lekarza, gdyż ze względu na zbyt wysokie ciśnienie, niebezpieczne bądź co bądź dla kobiety w ciąży, nie powinnam była iść sama. Mój heroiczny syn z żalem zrezygnował z pierwszej lekcji, ale zdecydował się poświęcić swojej ukochanej mamie. Ostatecznie wykreśliłam ostatnie zdanie, nie będę go pograżać, i przepisałam na czysto. Rzucił szybko okiem, stwierdził, że ujdzie, cmoknął mnie w policzek i tyle go widziałam. Przynajmniej mam dla siebie jego pokój, gdzie nie muszę chodzić na palcach, żeby nie obudzić urlopowicza.

Położyłam się na niezasłanym łóżku Kacpra obok włączonego laptopa z mocnym postanowieniem napisania przynajmniej dziesięciu stron. Wyjątkowo nie chciało mi się spać, a obijać się ze względu na Wojtka nie za bardzo mogłam – jeszcze upadłby mit uginającej się pod brzemieniem obowiązków domowych kobiety, nad którym tyle pracowałam. No dobrze, weź się do pracy, pojutrze jedziesz i nie będziesz miała czasu na pisanie.

Kiedy zaczynacie odczuwać nudę, chwile, które wspólnie spędzacie, przestają was zaskakiwać radosną spontanicznością, a życie zaczyna przypominać codziennie odprawiany jeden i ten sam rytuał, to znaczy, że powinniście pomyśleć o dziecku.

Co za bzdury! Muszę chyba sobie zrobić przerwę, pomyślałam, zanim usunęłam ostatni akapit. I zrobiłam to, co robi każdy, kto musi skupić się nad robotą. Posłałam Kacprowi łóżko. Potem starłam kurze, zdjęłam firankę i nastawiłam pranie, zrobiłam dziecku porządek na biurku, a chwilę później i w biurku, spojrzałam krytycznym okiem na okna i, zaopatrzona w płyn do mycia szyb i rolkę ręcznika papierowego, zaczęłam je puć. Zdaje się, że ruch uspokajał małą, bo ilekroć opierałam się o ścianę, żeby złapać oddech, kopniakami domagała się, bym kontynuowała mycie. Wystarczyło wziąć ręcznik do ręki i momentalnie zasypiała. Może powinnam kłaść się wieczorem do łóżka z płynem w jednej, a rolką w drugiej ręce?

– Marta, na miłość boską! Zejdź z tego parapetu!

Gdybym choć przez chwilę stanęła na parapecie, od razu by się zerwał. Nie, nie tłumaczę się mężowi, tylko wam, żebyście przypadkiem nie pomyślały, że jestem nierozsądna i lekkomyślna. Wojtek usiłował pomóc mi zejść z łóżka i jednocześnie zakryć się przed zachwyconymi widokiem nagiego mężczyzny o poranku sąsiadkami z kamienicy naprzeciwko. Wreszcie wyrwał mi ręcznik papierowy z ręki, osłonił przyrodzenie, uklonił się takiej jednej z trzeciego piętra, co to całe dni spędza z biustem rozplaszczonym na parapecie, i pociągnął mnie za koszulę.

– Zejdź! – syknął. – Co ty wyprawiasz? Chcesz urodzić przed terminem? Nie pamiętasz, co mówili na szkole rodzenia?

Oczywiście, że pamiętam. Takich rzeczy się nie zapomina.

Wzajemne wsparcie i zaufanie to najważniejsze elementy scalające związek. Wydaje się wam, że możecie na sobie zawsze polegać? To dobrze, ale tak naprawdę przekonacie się o tym po raz pierwszy w szkole rodzenia. Czasami myślę, że zamiast kursów przedmałżeńskich, potencjalnych małżonków powinno się wysyłać do szkół rodzenia – tam się zdaje prawdziwy egzamin z zaufania, partnerstwa i odpowiedzialności za drugą osobę. Na sali porodowej bywa z tym różnie, ale dla waszego związku ważniejszy jest sam kurs.

Decyzję o pójściu do szkoły rodzenia podjęliśmy wspólnie, zaraz po tym jak zrobiłam wstępną listę rzeczy potrzebnych podczas porodu i tych niezbędnych dla niemowlaka i pokazałam ją znajomej, matce półrocznego smyka.

– Zwariowałaś? Te cztery punkty to ma być według ciebie lista? Rozumiem, że przez osiem lat można wiele zapomnieć, ale żeby aż tak?

Zerknęłam na swoją kartkę i wzruszyłam ramionami. Naprawdę nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Łóżeczko i wózek po Kacprze stały jeszcze gdzieś w piwnicy, więc największe zakupy mam już właściwie za sobą.

– Pieluchy, pajacyk, koszula nocna i suszarka do włosów – przeczytała na głos. – I to niby wszystko według ciebie?

Westchnęła ciężko na widok mojej miny, która nie wyrażała nic poza totalną ignorancją, po czym ołówkiem zaczęła dopisywać do listy kolejne rzeczy. Kiedy zapisała całą kartkę z obu stron i sięgnęła po kolejną, zaniepokoiłam się. Po trzeciej kartce postanowiłam skonsultować to z inną znajomą. Ostatecznie pokazałam listę Beacie, która choć dzieci nie ma i mieć nie chce, dysponuje sporą dawką rozsądku i równowagą umysłową.

– Spójrzmy: dwadzieścia bodziaków w rozmiarze 56 na początek, dziesięć w rozmiarze 62 (na wypadek, gdyby dziecko urodziło się nieco większe), dwadzieścia pajacyków i ta sama jazda z rozmiarami, potem piętnaście par śpiochów, pięć par rękawiczek niedrapek, skarpetki, rożek, łóżko, materac, kołdra i cztery razy pościel, sześć razy prześcieradło, ręcznik z kapturem, przewijak, wanienska, duże opakowanie pieluch *newborn* i duże opakowanie jedynek (gdyby dziecko było większe), oliwka, maści i kremy, puder, płyn do kąpieli, patyczki do uszu, spirytus do pępka, butelki, smoczki, laktator...

Jej monotony głos najpierw uspił moje dziecko, a następnie mnie. Obudziłam się gdzieś pomiędzy stanicami do karmienia a wkładkami laktacyjnymi. Poszłam do kuchni zaparzyć nam herbaty, przy okazji zrobiłam galaretkę truskawkową, bo znów byłam w nastroju do zwracania, i weszłam do pokoju akurat w momencie, kiedy odczytała ostatnią rzecz z listy – pozytywka nad łóżeczko.

– Na pewno chcesz usłyszeć moje zdanie? Zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mam zielonego pojęcia, do czego służy przewijak i czym się różni pajacyk od śpioszków? OK – wzięła głęboki oddech, kiedy w milczeniu skinęłam potwierdzająco głową – to jedziemy z tym koksem. Daj sobie spokój z rozmiarem 56 i skup się na 62. Nawet jeśli dziewczyna będzie mała, to i tak szybko urośnie, nie? Nie warto inwestować w ciuchy dobre tylko przez tydzień. I zapomnij o tych dwudziestu sztukach, kup sobie po pięć par tego, o czym tu wspomina. Pralkę masz, tak? Rodzisz w sierpniu, będzie słońce, na balkonie pranie wyschnie ci w ciągu godziny. A jak robi się chłodno, kupisz sobie grzejnik elektryczny. Poza tym w październiku i tak zaczynają grzać. Idziemy dalej. Rożek... Co to właściwie jest? Wyrzucamy. Po co ci kołdra w sierpniu? Toż dziewczyna się pod nią ugotuje. Kupisz dopiero, jak robi się zimno, a na początek wystarczy koc. To nam automatycznie kasuje pościel, poza prześcieradłami, ale ogranicz się do dwóch – jak jedno zasika, podłóżysz jej drugie, a tanto wypierzesz. Teraz

kosmetyki: oliwka może być, płyn do kąpieli też, ale reszta to przesada. Spirytus do pępka. W sensie że na pępkówkę? Ale żeby spirytus? Nie przesadzaj. Kupię jakieś porządne wino.

I tak z trzech kartek zapisanych drobnym pismem, lista skróciła się do jednej strony. Pokazałam ją Wojtkowi w przerwie meczu Węgrów z Estończykami, którą sędzia ogłosił z powodu burdy, jaką wszczęło dwóch zawodników z przeciwnych drużyn. Zdaje się, że jeden pokazał drugiemu jakiś gest, ale natychmiast się zmiętył i przeprosił, co drugi odebrał jako obelżywę insynuację. Cóż, różnorodność kulturowa i lingwistyczna ma swoje minusy. Nie przeszkodziło to bynajmniej mojemu mężowi tępo wpatrywać się w ekran telewizora, przynajmniej dopóki nie zasłoniłam go listą. Spojrzał na nią, chwilę podumał nad laktatorem i zasugerował, że może lepiej by było, gdybyśmy poszli na jakiś kurs obsługi niemowlaka.

W naszej dziesięcioosobowej grupie w szkole rodzenia byliśmy jedyną parą posiadającą już dziecko, co nieco skonfundowało psycholożkę i terapeutkę, która poprowadziła pierwsze zajęcia z „wsparcia psychicznego i fizycznego podczas porodu”. Mimo tego że oboje zapewnialiśmy ją, że niewiele pamiętamy z pierwszej akcji porodowej (co akurat prawdą nie było, ja nie zapomnę tego do końca życia), kobietka co chwila spoglądała na nas pytającym wzrokiem jak studentka na egzaminie. Na pierwszych zajęciach okazało się też, że przyszli ojcowie nie są w stanie rozmawiać o niczym innym niż piłka nożna. A to niespodzianka... I kiedy my wypisywałyśmy na tablicy wszystko, co kojarzy nam się z rodzeniem dziecka, oni zebrali się w kącie sali i z ożywieniem wymieniali uwagi na temat kadry polskiej. Jedna z dziewczyn z terminem na połowę czerwca modliła się o ciążę przenoszoną – „Niby jak mam rodzić w trakcie euro?! Do szpitala pewnie mnie jeszcze zawiezie, ale potem zadekuje się w sali z telewizorem i na tym się skończy poród rodzinny”. Pocieszałam ją wtedy, opowiadając o własnych doświadczeniach sprzed ośmiu lat, kiedy to Wojtek wspierał mnie i podtrzymywał na duchu dokładnie od momentu, w którym patrząc na kałużę wody pod stopami, oznajmiłam, że jedziemy do szpitala. Był wspaniały – zamówił taksówkę, pamiętał o torbie z rzeczami i dokumentach, a przez całą drogę trzymał mnie za rękę i powtarzał, że bym spokojnie oddychała. Kiedy już na miejscu zaczęły się skurcze, zadzwonił po naszą położną, dopilnował, że bym trafiła do sali ze wszystkimi gadżetami do porodu aktywnego. Siedział tam ze mną przez całe dziesięć godzin, masował plecy, podawał wodę, polewał prysznicem i liczył minuty między skurczami. A już pod sam koniec, kiedy klęczałam na materacu pod drabinkami i słuchając kojącego głosu mego męża, wpatrywałam się w nerwowo podrygujący wielki palec jego stopy, nagle się na niego wydarłam i kazałam mu natychmiast wyjść z sali. No właśnie, wywaliłam go za drzwi, używając do tego bardzo niecenzuralnych słów. A chwilę potem urodziłam Kacpra. Dziewczyny z kursu zazdrościły mi, że przynajmniej wiem, co mnie czeka, skoro jedną imprezę szpitalną mam już za sobą. Z bladymi uśmiechami powtarzały przez wszystkie zajęcia, że skoro zdecydowałam się na drugie dziecko, to znaczy, że poród nie jest taki znowu zły... Cóż, litościwie nie wyprowadziłam ich z błędu, a właściwie z dwóch – po pierwsze, że to nie decyzja, a wpadka, a po drugie, że nie ma mowy o żadnym porodzie. To właśnie po szkole rodzenia postanowiłam dać sobie spokój z rodzeniem i...

– Marta, zejdź wreszcie! I zasłoń to okno, bo zaraz zaczną mi robić zdjęcia!

A, rzeczywiście, zamyśliłam się. Ostatnio nie mogę się skupić, moje myśli żyją własnym, chaotycznym życiem. Zeszłam z łóżka, opierając się na ramieniu mego roznegliżowanego męża i przypominałam sobie, dlaczego nie powinnam myć okien.

– Uwierzcie mi, poród was nie zaskoczy. Nawet jeśli przeoczycie te wszystkie symptomy,

o których usłyszeliście na zajęciach, to na pewno nie umknie wam nagły przypływ sił zwiastujący rychłą akcją – zapewniała nas połoźna ostatniego dnia w szkole. – Jeśli nagle najdzie was nieodparta ochota na posprzątanie całego mieszkania, wyszorowanie fug w łazience albo umycie okien, to lepiej miejcie torbę szpitalną pod ręką.

Spokojnie, na razie nigdzie się nie wybieram, za to ty, owszem, mógłbyś, zamiast anektować moją przestrzeń za dnia, pomyślałam. A może by tak...

– Chyba żartujesz? Akurat niby dzisiaj mam się zająć szukaniem mieszkania? – Z oburzenia omal nie zadławił się kanapką, kiedy stojąc nad nim w kuchni i wpatrując się ze zgrozą w okruszki porozrzucone po całej podłodze, zasugerowałam, żeby zajrzał do kilku agencji nieruchomości. O większym mieszkaniu rozmawiamy od dawna, najpierw nie było nas stać na kredyt, potem kiedy Wojtek zmienił pracę, szanse na zadłużenie się w banku znacznie wzrosły, ale nic nam się nie podobało. No i wreszcie zaszłam w ciążę, co teoretycznie przynajmniej powinno nas zmobilizować do wzmożonych poszukiwań. Teoretycznie mój mąż wykazuje bowiem wiele chęci i zdaje sobie sprawę z tego, że powinien się tym wreszcie zająć, bo ja mam od kilku miesięcy co innego na głowie. Teoretycznie zaś ja, pełna dobrej woli i zrozumienia, czuwał, by nie wygasł w nim entuzjazm do działania. Co w przekładzie na język dnia powszedniego brzmi mniej więcej tak: „Czy ty wreszcie mógłbyś coś, do jasnej cholery, zrobić?! Każdą wolną chwilę spędzasz przed telewizorem, przyklejony do fotela! Może byś tak dla odmiany zaczął być mężem i ojcem?! Ja i tak robię wszystko w domu, gotuję, piorę, sprzątam, załatwiam zakupy, pamiętam o urodzinach twoich rodziców, wychowuję Kacpra, bawię się z nim, odrabiam z nim lekcje, chodzę na wywiady i zebrania wspólnoty mieszkaniowej, naprawiam piecyk gazowy, uszczelniam okna i pomiędzy tym wszystkim pracuję! Tobie zostaje tylko praca, bo poza tym nie robisz absolutnie nic!” oraz „Haruję całymi dniami, żebyś nie musiała siedzieć gdzieś na etacie osiem godzin dziennie, wracam zmęczony i chcę chwilę odpocząć, a ty jeździsz mi po głowie! Tę całą twoją pisaninę nazywasz pracą?! I ile niby zarabiasz? Nie przeżyłabyś beze mnie i moich ciężko zarobionych pieniędzy, które ty tylko wydajesz na pierdoły!”.

Dlatego właśnie ciągle mieszkamy we trójkę w dwupokojowym apartamencie, którego metraż po rozbiciu na każdego członka rodziny wynosi dokładnie dwanaście metrów kwadratowych. A jako że obecnie zajmuję miejsce za dwie osoby – dziewięć metrów. Przydałoby się coś większego, i to na przykład zanim przyniesiemy z piwnicy stare łóżeczko Kacpra. Z drugiej strony coś większego oznacza również więcej przestrzeni do brudzenia nożami utyłanymi w musztardzie, więcej brudnych kubków po herbacie, a co za tym idzie więcej osadu od herbaty, więcej sklejonych cukrem łyżeczek, zaschniętych plamek po ketchupie, talerzy z resztkami, że już nie wspomnę o samotnych skarpetkach. To może już lepiej zostanmy tutaj... Ale jak ja wytrzymam z Wojtkiem w domu całe dwa dni?!

– I nie sprzątaj tego. – Wziął mnie za rękę i wyprowadził z kuchni, kiedy zaczęłam zeskrobywać musztardę ze stołu. – Ja się tym zajmę, jak tylko skończy się mecz, który zaczyna się... – zerknął za zegar wiszący w przedpokoju – Boże, już się zaczął!

I zanim zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować, zniknął za drzwiami pokoju. No to przynajmniej mam go z głowy, skoro zamknie się z telewizorem na kilka godzin dziennie, będę mogła w spokoju popracować nad poradnikiem. A raczej będę musiała, bo co innego mi pozostaje?

Seks w długoletnim związku może być źródłem nie tylko rozkoszy, ale i nowych odkryć. Wydaje ci się, że znasz swojego partnera i nic nie zdoła cię zaskoczyć? To sama go zaskocz i wypróbuj w łóżku coś zupełnie nowego, a sama przekonasz się, że inwencja w seksie jest równie ważna jak...

Z zadumy nad ważnością inwencji w seksie wyrwało mnie stukanie w ścianę, a chwilę później głos małżonka przekrzykującego tłum skandujący niezrozumiałe hasła.

– Kochanie, nie wal tak głośno w klawiaturę, to mnie rozprasza.

A oddychać, jaśnie panie, mogę?

– I nie wzdychaj tak ciężko, euro w końcu odbywa się co cztery lata, chyba możesz to zrozumieć? A poza tym w niczym ci nie przeszkadzam.

Jasne, i pewnie zaraz jeszcze powiesz, że...

– I w dodatku zmywam za ciebie.

No właśnie! Muszę stąd wyjść, natychmiast, bo inaczej zaraz urodzę!

– A może byś poszła na jakiś spacer? Trochę ruchu dobrze ci zrobi.

O, niedoczekanie twoje! Chcesz, żebym padła w tym skwarze? Teraz jest już pewnie ze czterdzieści stopni. Wystaw sobie telewizor na balkon, mój drogi, to pogadamy.

– Marta? Kochanie? Śpisz?

I jak myślicie, opuści minutę bezcennego meczu, żeby przyjść i sprawdzić, czy dobrze się czuję? Ja stawiam, że nie. Minęły czasy, kiedy na jego liście priorytetów zajmowałam pierwsze miejsce. Teraz pewnie jestem gdzieś w drugiej dziesiątce, tej od końca. Spadłam na tę pozycję, kiedy wspomniałam mu, że zastanawiam się nad cięciem cesarskim. Wracaliśmy wtedy z ostatnich zajęć w szkole rodzenia, Wojtek pełen energii i przekonania, że sam tu i teraz mógłby odebrać każdy poród, ja całkowicie zdecydowana, że nie dam się więcej nabrać na haczyk natury. Zjednoczona z siłami kosmosu już raz byłam, łączenie się z matką-naturą mam za sobą, powrót do głębokich korzeni kobiecej mądrości też odfajkowany, a wsłuchiwanie się w pulsujące źródło życia, czyli płynącą w żyłach krew i tak odpada, bo na widok krwi mdleję, i to momentalnie. Trochę głupia sprawa z tą krwią. Nikomu się nie przyznałam do tego, że jak ujrzałam na rękach położnej mojego syna skąpanego w śluzie, zrobiło mi się słabo ze wzruszenia, za to kiedy chwilę później urodziłam łożysko i zobaczyłam to coś pode mną – naprawdę urwał mi się film. Facetom to się bezustannie zdarza na porodówkach, ale żeby zemdleć na własnym porodzie, to już, przyznacie, lekka przesada. Nie, nie podzieliłam się tymi doświadczeniami z grupą w szkole rodzenia. Co więcej, na końcowe pytanie prowadzącej o to, jaki poród wybieramy, byłam jedyną, która odrzekła bez wahania, że oczywiście rodzinny, aktywny i ze znieczuleniem. Cała reszta kobiet heroicznie wyparła się tego ostatniego elementu, „żeby w pełni połączyć się z własnym bólem i odczuć każdy najmniejszy ruch wychodzącego na świat dziecka”. Ja zamierzałam się łączyć wyłącznie z moim anestezjologiem, żeby omówić szczegóły znieczulenia przy cesarce. Nie kłamałam – to w końcu poród rodzinny, Wojtek pojedzie ze mną i przetnie pępowinę, no a że aktywny, to chyba nie macie wątpliwości. Wiecie, ile trzeba się nachodzić, żeby znaleźć takie miejsce, w którym bez kręcenia nosem robią cesarkę? Kiedy więc powiedziałam Wojtkowi, że „zastanawiam się nad taką opcją”, spojrzał na mnie jak zraniona łania i nie skomentował tego ani słowem. W milczeniu przesunął mnie na końcową pozycję na liście. A do tematu wrócił jakiś tydzień później. Każde z nas przedstawiło swoje argumenty, wśród których dominowały: „Skoro tak bardzo chcesz rodzić, to sam sobie ródź”, „Ciekawy jestem, jak niby chcesz

zapłacić za tę fanaberię” oraz „To moje ciało i moje dziecko, twoja była tylko sperma”, po czym nastąpił tydzień komunikacji pozawerbalnej oraz przez osobę trzecią. Kacper miał ubaw po pachy, biegając z wiadomościami od jednego do drugiego. Nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, co się dzieje, a poza tym, nie da się ukryć, z boku nasze rozgrywki małżeńskie wyglądały po prostu... zabawnie. No i bawił się w najlepsze. On też zakończył tamtą kłótnię, kiedy stanął zdyszany przed Wojtkiem i krzyknął: „Mamie odeszły wody, szybko!”. Przysięgam, że to nie ja go do tego namówiłam. Żart powtórzony przestaje być śmieszny. Po tamtej awanturze otworzyłam sobie nowe konto „porodowe”, na które zaczęłam przelewać honoraria za teksty. Trochę mi jeszcze brakuje, ale może jak pogadam z wydawcą, żeby przyspieszył wypłatę za książkę, to zdążę zbierać.

– Marta?

Drzwi do pokoju uchyliły się cicho. No proszę, a jednak zajrzał. Spod przymkniętych powiek patrzyłam na mojego męża na urlopie – nieogolonego, we wczorajszej koszulce, poplamionych musztardą bokserkach z dziurą na tyłku i w rozdeptanych klapkach.

– Śpisz?

Nie spałam, ale dokładnie w tym momencie zasnęłam.

Śniło mi się, że wszystkie egzemplarze mojej książki wróciły z księgarń do magazynu, a stamtąd trafiły do mnie. Kurierzy przez cały dzień przywozili paczki. Nie dało się ruszyć w mieszkaniu, więc wyrzuciłam wszystkie meble i zaczęłam robić nowe – z książek. Kiedy zastanawiałam się, jak stworzyć szczebelki do łóżeczka małej, obudziłam się i od razu sięgnęłam po telefon. Uświadomiłam sobie bowiem, że nie mam pojęcia, dokąd właściwie jadę. Pojutrze, spakowana na kilka dni, powinnam być gotowa do wyjazdu, a tymczasem nie wiem, co mam ze sobą zabrać, bo jeśli hotele będą miały jedną z gwiazdek odpowiedzialnych za ręcznik i szampon, to automatycznie zwalnia mi się pół walizki. Drugie pół i tak jest puste, ponieważ jedyny ciuch, w jaki się obecnie mieszczę, będę miała na sobie.

Marek nie odbierał telefonu, więc zadzwoniłam bezpośrednio do redakcji.

– Wydawnictwo Zaulek Literatów, w czym mogę pomóc? – Zaspany damski głos sprawiał wrażenie, że jego właścicielka przepięła ostatnią noc w wesołym towarzystwie. Albo jest w ciąży i cierpi na bezsenność.

– Dzień dobry, mówi Marta Roztoczyn.

Nie wiem sama, czego oczekiwałam, ale prawdopodobnie czegoś na kształt: „Dzień dobry! Witam serdecznie! Jak miło słyszeć naszą ulubioną autorkę! Zapewne chciałaby pani, pani Marto, rozmawiać z szefem. Już go szukam”. Albo na przykład gorączkowych szeptów po drugiej stronie zasłoniętej dłonią słuchawki: „Tak, to Marta Roztoczyn. TA Roztoczyn!”. Albo...

– Chwileczkę – i w tle: – Dla mnie sok grejpfrutowy. No. Czekaj, lepiej dwa. Ledwo żyję, a tu wciąż mi dzwonią i marudzą. Tak, słucham?

Nie, to jednak nie kwestia bezsenności ciążowej. Raczej to pierwsze.

– Z tej strony Marta Roztoczyn.

Cisza. Długa cisza. Może przerwało nam połączenie?

– No i w czym mogę pani pomóc?

Może nie dosłyszała mojego nazwiska? Może odebrała jakąś stażystka, która nie ma bladego pojęcia o autorach? Może nadmiar wypitego alkoholu uszkodził jej pamięć.

– Chciałabym rozmawiać z szefem. Próbowałam go złapać na komórkę, ale Marek nie odbiera.

Z tych dwóch zdań powinna odebrać dwa sygnały: że znam osobiście szefa, a więc nie jestem pierwszym lepszym petentem, i że nie interesuje mnie rozmowa z jakąś marną redaktoreczką, czyli mogę być znaną autorką!

– Przykro mi, szef jest teraz zajęty. Ma właśnie spotkanie z autorem. – Ostatnie słowo wypowiedziała z godnością niezbyt licującą z jej kacem.

– Rozumiem – nie, nie rozumiałam, to ja jestem jego autorką! – w takim razie proszę z Marianem... – No ładnie, nie pamiętam jego nazwiska. – Redaktorem mojej...

– Mariaaaaan!!! – Wrzask omal nie wytrącił mi komórki z dłoni. – Do ciebie. Nie wiem kto, poczekaj. Halo? Czy mogłaby pani powtórzyć nazwisko?

– Roztoczyn – warknęłam. – Jak ta autorka waszego bestsellera.

– Pani Marto, jak miło panią słyszeć. – Głęboki baryton nie tylko zdradzał tożsamość jego właściciela, ale i pewne zmęczenie organizmu, wywołane albo głęboką depresją egzystencjalną albo kacem. Mężczyzna takiej postury musi mieć kondycję alkoholową matki karmiącej – pięćdziesiątka wiśniówki może go zwalić z nóg.

– Dzwonię w sprawie trasy, w którą mamy zdaje się ruszyć oboje 15 czerwca.

– Szef wspominał, że nie jest pani specjalnie zachwycona wyjazdem, więc choć wszystko już mamy zaplanowane i dopięte na ostatni guzik, możemy oczywiście odwołać...

Hejże, jak to odwołać? Chcecie mnie skazać na sto sześćdziesiąt osiem godzin z rządu towarzystwa mojego męża w za małym mieszkaniu?! To barbarzyństwo! Ja nie jestem zachwycona? Ja tryskam entuzjazmem! Mogę jechać choćby zaraz.

– Marek musiał mnie źle zrozumieć. – Staralam się brzmieć przekonująco. – Już wszystko sobie tak zorganizowałam, żeby bez problemu pojechać.

Proszę, proszę, nie róbcie mi tego...

– No dobrze, w takim razie nie odwołujemy pani trasy. – Czyżbym się przesłyszała, czy usłyszałam w jego głosie wyraźną nutę żalu? – I tak już zrezygnowaliśmy z samolotu – ciężkie westchnięcie – bo z uwagi na pani stan lepiej nie ryzykować. Pojedziemy zatem – kolejne ciężkie westchnięcie – pociągiem.

Teraz to ja ciężko westchnęłam. Po ostatniej podróży obiecałam sobie, że nigdy więcej nie wsiądę do pociągu, ale jakoś zniosę tych kilka godzin.

– Pierwsze spotkania zaplanowane są na szesnastego – w Szczecinie.

O matko, jęknęłam, nie kilka, ale kilkanaście godzin.

– Stamtąd następnego dnia jedziemy do Gdyni, gdzie przed południem umówiona jest pani na wywiad w radiu i lokalnej telewizji, a po południu na czytanie fragmentów książki w księgarni. Trzeciego dnia jedziemy do Radomia, a potem Katowice i...

Już zaczynam żałować. Może jednak tydzień z Wojtkiem byłby rozsądniejszym rozwiązaniem niż tydzień z PKP. I z Marianem.

– ... i to już koniec. Stamtąd wracamy prosto do Krakowa. Zaraz podeślę Pani mailem dokładną rozpiskę razem z moim numerem telefonu. Pociąg mamy o dziewiętnastej z minutami, spotkajmy się więc na dworcu punktualnie o siódmej. Ale gdyby – dodał po chwili – coś się wydarzyło, źle by się pani poczuła – czyżbym się przesłyszała, czy usłyszałam w jego głosie wyraźną nutę nadziei? – czy po prostu straciła chęć, proszę się zupełnie nie przejmować i natychmiast do mnie dzwonić. Po prostu odwołamy tę wyprawę i nic złego się nie stanie.

Nic z tego, choćbym miała zacząć rodzić – na pewno nie zostanę w domu!

Na koniec zapytałam jeszcze o Marka, chciałam z nim zamienić kilka słów na temat przedterminowej wypłaty mojego honorarium. Dopóki nie zobaczę tych pieniędzy na własnym koncie, nie uwierzę, że książka dobrze się sprzedaje. Szefa jednak nie było.

– Co, spotkanie z autorem? – Pozwoliłam sobie na współczująco-żartobliwy ton, że niby wiem, jak to z tymi autorami jest, nic tylko fochy i przekonanie o własnym geniuszu, że oczywiście mnie to nie dotyczy, że stoję po stronie wydawcy i że kim ja tam w ogóle jestem, pyłkiem na półce w księgarni...

– Nie, skądże. Wziął urlop i pojechał na euro. Ponoć ma wrócić za cztery dni, ale nie byłbym tego pewien.

Czy ktoś w ogóle w tym kraju jeszcze pracuje, zamiast od świtu do nocy oglądać mecze? Oczywiście oprócz kobiet... OK, i redaktorów.

Kupiłaś sobie nowy ciuch, w którym wyglądasz oszalamiająco, a on nawet tego nie zauważył? Nie irytuj się, to zupełnie normalne i nie ma nic wspólnego z brakiem zainteresowania tobą. Po prostu mężczyznom brakuje niektórych synaps, nie działają odpowiednie połączenia między lewą a prawą półkulą mózgową – ot, i cała tajemnica. Nie denerwuj się więc, tylko powiedz mu, co chciałabyś od niego usłyszeć.

Słyszałyście kiedykolwiek większą bzdurę? Czy jest coś bardziej upokarzającego niż wystrojenie się dla mężczyzny w seksowną czerwoną kieckę bez pleców i perły bez jakiegokolwiek reakcji z jego strony? Chyba tylko wprost sformułowane pytanie: „No jak wyglądałam w tej seksownej czerwonej sukience bez pleców i w perłach?” i jego odpowiedź: „Ach tak, rzeczywiście. Ładnie”. W dawnych złotych czasach młodości zdarzało mi się wkładać seksowne czerwone sukienki bez pleców, za perłami nigdy nie przepadałam, i zazwyczaj mężczyźni reagowali prawidłowo. Teraz pozostaje mi wierzyć w to, że kiedyś znów nadejdzie ten dzień, kiedy włożę na siebie coś takiego. I wiecie co, zrobię to wyłącznie dla siebie. I będę miała głęboko gdzieś, co o tym sądzą faceci.

Spojrzałam właśnie w lustro. I kogo ja próbuję oszukać? Już nigdy nie zdejmę z siebie koszuli Wojtka. I oddam wszystko za chamski, seksistowski, samczy gwizd podziwu na widok mojego tyłka w obcisłej sukience. Ale i tak jedyne, co mogę teraz zrobić, to kupić kolejną kieckę, której przód niczym nie różni się od tyłu, bo uszyta jest według kroju wóra na ziemniaki. Jeśli los będzie miłosierny, trafi mi się coś bez różowych kwiatków albo niebieskich kropeczek i będzie to już ostatnia kiecka ciężowa. Ile jeszcze mogę przytyć? Stałam bokiem, ale brzuch nie mieścił się już w lustrze i wyłaził poza ramę. Zaczynam podejrzewać, że te wszystkie kobiety z pięknie zaokrąglonymi brzuskami, które spotykam nieustannie na spacerach, tak naprawdę nie są w ciąży, ale symulują. Pod obcisłe bluzki wpychają piłki i kpią sobie w żywe oczy z nas, ukrywających dodatkowe trzydzieści kilo pod sukienkami z zasłon.

Zasłona czy worek na ziemniaki, wszystko jedno, bylebym się tylko zmieściła, postanowiłam zaraz po przekroczeniu progu mieszkania. Na klatce schodowej panował miły chłód, co jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że upał mi niestraszny, zakupy będą błyskawiczne i najdalej w drugim sklepie znajdę dokładnie to, czego potrzebuję. A na koniec zrobię niespodziankę Kacprowi, poczekam na niego pod szkołą i w drodze powrotnej zabiorę na lody. I co, sądzicie, że po wyjściu z kamienicy zmieniłam zdanie i wróciłam do domu? Przyznaję, że idea natychmiastowego powrotu pojawiła się i zabłysła na moment, kiedy weszłam w lepkie gęste powietrze czerwcowego miasta. Ale znikła równie szybko, gdy za naszymi oknami ujrzałam wymachującego rękami Wojtka. Najwyraźniej coś śpiewał, zza uchylonego okna balkonowego dochodziły jednak tylko strzępki słów: „...olska...biało...ewoni...olska...”. Zmobilizowałam więc siły, zacisnęłam zęby, wzięłam się w garść – ostatecznie udało mi się nie zemdlec pod bramą i poturlałam się w stronę galerii handlowej. Nie było jeszcze południa, ale smażyło jak w godzinach szczytu na Grodzkiej. Na szczęście, żeby się dostać od nas do galerii, wystarczy przejść przez most. Mieszkanie po drugiej stronie rzeki ma swoje plusy, nie jest to już ściśle centrum miasta, ale wszędzie blisko, a odkąd pojawiła się kładka, nawet jeszcze bliżej. Plac Bohaterów Getta może i nie jest najlepszą okolicą w tym mieście, zwłaszcza dla nowych mieszkańców, jednak dobrej lokalizacji trudno mu odmówić. Zanim wypije się brudzia z miejscowymi, trzeba przejść sąsiedzki chrzest

bojowy, za to potem wchodzi się do lokalnej rodziny – jeśli komuś zginie rower sprzed drzwi, następnego dnia odnajduje się dokładnie w tym samym miejscu z karteczką z ręcznie nabazgrołonymi przeprosinami. Raz sąsiadce z ostatniego piętra ukradli wózek dziecięcy przypięty do balustrady schodów. Być może to właśnie przypięcie kogoś zmyliło, stojącego wolno z pewnością by nie ruszyli. W każdym razie wózek wrócił po trzech dniach razem z panem o fioletowym oku, który denaturatowym chuchem tłumaczył się sąsiadce, że pijany był, to i nie pamięta, czemu zabrał. Ale dbał jak o własny, za co zaręcza. Kiedy się tu wprowadziłam ładnych piętnaście lat temu, okolica wyglądała nieco inaczej. Z jednej strony Zabłocie, gdzie czasami chodziliśmy się poszwendać ze znajomymi, robiliśmy zdjęcia rozwalającym się magazynom, stróżom wygrażającym nam ręką zza płotów i wychudzonym psom ujadającym na krótkich łańcuchach. Z drugiej Kazimierz, który wówczas jeszcze był żulernią pierwszej klasy. Z trzeciej ciemne uliczki wokół cuchnącego szczykami dworca w Płaszowie. Ach, kto jeszcze pamięta te stare dobre czasy? Teraz nastąpiła era niespóźniających się tramwajów, sterylnych galerii handlowych i podświetlonych mostów. Nie żeby mi to przeszkadzało, dobrze jest umówić się na kawę po jednej albo drugiej stronie kładki, można nawet pod – na barce, ale czasami tęsknota zżera człowieka. Ciekawe, jak będzie wyglądało to miasto, kiedy moja córka osiągnie pełnoletniość. Cóż, możliwe, że tego nie dożyję, więc nie ma się nad czym zastanawiać. Nagle zdałam sobie sprawę, że coś mi tu nie pasuje. Byłam już na środku mostu, ale nikogo po drodze nie spotkałam. Sklep spożywczy, który wcześniej mijałam, był zamknięty na cztery spusty, przystanki tramwajowe świeciły pustkami, na bulwarze nikogo, nie licząc samotnych łabędzi i kilku mew unoszących się leniwie nad wodą. I żadnego samochodu, co pomimo środka tygodnia i przedpołudniowej godziny nigdy się w Krakowie nie zdarza. Było nienaturalnie cicho, jakby miasto po prostu wymarło. Dzięki Bogu, ktoś tu jednak żyje – z naprzeciwna nadjeżdżał tramwaj. Wyłaniał się z falującego od upału powietrza jak w tanim horrorze klasy B. Zaśmiałam się nerwowo pod nosem, kiedy gołąb siedzący na balustradzie nagle zeszywniał i runął do wody – jeden mniej, ale uśmiech zamarł mi na ustach, bo tramwaj, który właśnie przetoczył się po moście, był całkiem pusty. Widmo. Spojrzałam na gęsią skórę na ramieniu i pomyślałam, że to na pewno jeden z tych koszmarnych snów nawiedzających kobiety w ciąży. Od miesiąca nieustannie śni mi się, że rodzę szczenięta i muszę w śpiochach wycinać dodatkowy otwór na ogon albo że moje dziecko zamienia się w wampira i zagryza mnie pierwszej nocy po powrocie ze szpitala. Już się zdążyłam do tego przyzwyczaić, ale to... Uszczypnęłam się i przyspieszyłam kroku. Skoro to nie sen, mam początki udaru słonecznego. Do galerii dotarłam po pięciu minutach z lekką zadyszką, ale i uśpioną przyspieszonym kołysaniem córką. Wokół ani żywego ducha, jeśli okaże się, że w środku też jest pusto, zacznę krzyczeć albo zadzwonię po karetkę. O ile ktoś w ogóle odbierze...

Na szczęście obeszło się bez telefonów pod 112. Pierwszym człowiekiem, którego zobaczyłam, była kelnerka ze słuchawkami na uszach. Do kawiarni weszłam nerwowym krokiem, po tym gdy zajrzałam do kilku kompletnie pustych sklepów, i wreszcie odetchnęłam. Nie zwariowałam, nie mam udaru, cięża nie rzuciła mi się na mózg. Kelnerka aż podskoczyła na mój widok i szybko zdjęła słuchawki.

– Przepraszam, nie zauważyłam pani. Od rana nikogo tu jeszcze nie było – dodała przepaszająco i zaprosiła na kawę na koszt firmy.

Poklepałam się tylko po brzuchu i poprosiłam o zimny sok – po kofeinie moja córka zachowuje się jak nastolatki po amfie. Kelnerka okazała się gadatliwym dziewczęciem na

próżno starającym się zamaskować przerażenie na widok mojego gigantycznego brzucha.

– To bliźniaki? – raczej stwierdziła niż zapytała, przynosząc mi kolejną szklankę soku.

Przez grzeczność nie zaprzeczyłam, co ją będę straszyć, jeszcze się rozmyśli, nie zajdzie w ciążę i nie pozna tych wszystkich urokliwych chwil.

– Moja siostra sześć lat temu urodziła bliźniaki i nigdy nie wróciła do formy.

Oh, naprawdę uwielbiam te inspirujące rozmowy. Zaczęły się, kiedy byłam w drugim miesiącu – sąsiadka dzień po dniu z przejściem zdawała mi relację z samopoczucia córki jej znajomych, która poroniła przed końcem pierwszego trymestru. W poczekalni u ginekologa nasłuchiwałam się historii o hemoroidach i nietrzymaniu moczu. Na spacerach w parku Bednarskiego o dwudziestosześciodzinnych porodach. Zaś od kiedy w szaleńczym tempie zaczęłam przybierać na wadze, najczęściej dostaję porady dotyczące diet i ćwiczeń, „które i tak nic nie dają, bo wie pani, z mojej synowej to nigdy chucherko nie było, a po trzecim dziecku to już w ogóle... no ale przy pani wygląda jakby chudziej, a zresztą w tym wieku to i co kobiecie po wyglądzie”.

– Czemu tu tak pusto? – zmieniłam temat, nie czekając na szczegółowy opis wyglądu siostry.

– Nie wie pani? Dzisiaj nasi grają. No, euro – dodała na widok mojej zdziwionej miny. – Dlatego mój chłopak wyłączył telefon. Rozmowny to on nigdy nie był, ale teraz to już w ogóle nie sposób się z nim dogadać. Nic, tylko przesiaduje w pubie z kumplami, cały boży dzień.

– No to po co zawracać sobie nim głowę? Wart jest tego? – Spojrzałam na dziewczynę ze sceptycznym uśmiechem, myśląc o własnym ślubnym. – Nie lepiej sobie odpuścić?

Kelnerka nagle się najeżyła i niemal ze złością fuknęła na mnie:

– Ale ja go kocham! – I zniknęła za barem.

Miłość, wielkie mi rzeczy. Istnieje tylko w słowniku kobiet i zazwyczaj kryje w sobie wiele sprzecznych definicji. W wydaniu męskim to przejrzyste i stabilne SMDRR: seks, małżeństwo, dzieci, romans, rozwód, czyli plan dziesięcioletni.

Drugą szklankę soku wypić zaczęłam już w samotności, dziewczę zdecydowało się nie przekraczać linii frontowej przebiegającej wzdłuż lady, a nikt nowy w kawiarni się nie pojawił. Galeria wyglądała jak cmentarzysko, klimatyzacja zapewne pochłonęła całe zasoby energii, bo wyłączono większość lamp wewnątrz sklepów. Bardziej rozebrane niż ubrane manekiny straszyły w półmroku, każdy krok roznosił się echem po korytarzu, o dziwo, po raz pierwszy panowała tu cisza. Najbardziej jednak przerażające były rozbiegane oczy sprzedawców, którzy bezszelestnie wyłaniali się zza wieszaków z ubraniami.

– Kupi coś pani? – w haemowskim dziale dla kobiet w ciąży znajdującym się, co nad wyraz irytujące, tuż koło działu z wielkimi rozmiarami, przestraszonym głosem zapytała mnie dziewczynka o wielkich oczach fretki. – Dziś mój pierwszy dzień w pracy, muszę coś sprzedać – dodała szeptem, rozejrzawszy się wcześniej dookoła.

Żal mi się zrobiło tego dziecka, wybrałam pierwszą lepszą rzecz, jaka wpadła mi w ręce, i pospiesznie wyszłam ze sklepu. Na korytarzu, w świetle jarzeniówek, okazało się, że to biała tunika haftowana w delikatne kwiaty. Nie jest źle, jak na razie zgodnie z planem, pomyślałam i w nagrodę za optymistyczny stosunek do życia kupiłam sobie lody. Miałam je co prawda zjeść dopiero z Kacprem, ale kto mnie podkabluję?

Pół godziny później opuściłam galerię obładowana zakupami – wszystko, czego potrzebowałam, znalazłam w drugim sklepie, do jakiego zajrzałam. Jeszcze nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Nikogo w przymierzalni, żadnych kolejek do kasy i wszyscy sprzedawcy biegają tylko wokół mnie. Nie tylko głupi mają szczęście. Ciężarne też. Dzięki Ci, Boże, za

euro!

Przeciwieństwa się przyciągają – cóż, możliwe, ale to raczej cechy wspólne sprawiają, że związki tygodniowe zamieniają się w kilkumiesięczne, a te w kilkudziesięcioletnie. Tym, co naprawdę ci się w nim spodobało, jest twój brat bliźniak.

W domu przywitała mnie cisza. Ta z kategorii grobowych. Rzuciłam siatki na ziemię i bez słowa ruszyłam do kuchni. Marzyłam o wysokiej, oszronionej szklance pełnej lodowatej wody. Z lodem oczywiście. I paczce migdałów. Na zagę po skonsumowanych lodach. Ale o jednym i drugim zapomniałam, kiedy stanęłam w drzwiach. To był dokładnie ten moment, kiedy kobieta musi zadać sobie trzy niewygodne pytania:

- Kim jest ten facet w samych bokserkach leżący na moim stole?
- Dlaczego właściwie ja za niego wyszłam?
- I gdzie jest moje dziecko?

O ile dwa pierwsze pytania, na szczęście dla Wojtka, były retoryczne, o tyle trzecie przyprawiło mnie o chwilowy atak paniki. Zapomniałam pójść po Kacpra! Nie zdarzyło się to pierwszy raz – mniej więcej od początku drugiego trymestru nieustannie zapominam o wielu rzeczach. Nawet o własnych urodzinach. Dacie wiarę? Cóż, Wojtek też o nich zapomniał, w co do dziś trudno mi uwierzyć. Wpatrując się w niego, jak leży na blacie z nosem koło płamy po musztardzie, próbowałam sobie przypomnieć, czy umówiłam się z Kacprem pod szkołą, czy też chciałam zrobić mu niespodziankę. Zważywszy na to, że nie miałam już absolutnie sił na kolejne wyjście z domu, zdecydowałam, że druga opcja jest bardziej prawdopodobna.

- Długo już tak leżysz?

To nie było pytanie zadane z ciekawości, ale rewelacyjny sposób na szybkie pozbycie się gniewu z organizmu. Odrobina jadu i człowiekowi od razu lepiej. Małżonek w odpowiedzi tylko zaburczał pod nosem. Ludzkim głosem odezwał się dopiero, kiedy wrzuciłam z impetem do zlewu talerz po jego śniadaniu. Sposób na uzewnętrznienie się numer dwa – polecam.

– Przegrali – zajęczał żałośnie. – Przegrali! A tak na nich liczyłem. Powinienem wiedzieć, że znów przegrają, powinienem, ale byłem dobrej myśli. Zaufałem im, a oni to spieprzyli. Tyle niewykorzystanych sytuacji, tyle beznadziejnych zagrań. To przecież gra zespołowa! Czy ktoś im to w ogóle przed meczem powiedział? Przegrali...

– To teraz pod „ja” podstaw mnie, pod „ich” siebie i idź to sobie przeanalizuj gdzieś z dala ode mnie.

Zewłok małżeński dalej jednak tkwił przyklejony do stołu.

Trzy godziny później, po kwadransie intensywnej pracy nad poradnikiem, która polegała na włączeniu komputera i kontemplowaniu ekranu, dwóch godzinach regeneracyjnej drzemki przerwanej przez powrót dziecka ze szkoły i ponadczterdziestominutowym poskramianiu małego stwora, wypychającego piętę przez mój brzuch, zewłok dalej okupował kuchnię. Czas widocznie zaleczył świeże wciąż rany, bo mimo spojrzenia pełnego rozpaczony mówił już normalnym głosem. A na mój widok nawet odkleił twarz od blatu.

- Pozmywałem – obwieścił z dumą.

Ta-dam! Brawo, oklaski dla jaśnie pana! Pokusił się o zrobienie czegoś, do czego sam się zobowiązał kilka godzin temu, a co ja robię ze dwadzieścia razy dziennie, sto czterdzieści razy

w tygodniu, pięćset sześćdziesiąt w miesiącu, sześć tysięcy siedemset dwadzieścia w roku, a skoro małżeństwem jesteśmy od dwunastu lat... Zrobiło mi się słabo. Eh, mogłam się nie zgodzić, co mi po jednym, w dodatku niedokończonym, zmywaniu, skoro tym samym wytrącił mi oręż z rąk? Teraz przez najbliższy rok za każdym razem kiedy będę wyliczać mu, czego w domu nie robi, oburzy się i zaznaczy, że przecież zmywa. To samo było po urodzinach Kacpra. Jeszcze w szpitalu, na widok pełnej pieluchy, oznajmił, że będzie robił przy dziecku wszystko – wszystko oprócz przewijania. I faktycznie, nie przewinął go ani razu. Podobnie jak i nie nakarmił, nie wykąpał, nie ubrał i nie utulił do snu, ale poza tym robił wszystko. „Czyli właściwie co?” – zapytałam go któregoś dnia. Wbrew intencjom do pytania wkradł mi się cień złościwości. Tak naprawdę marzyłam wówczas o zrobieniu karczemnej awantury i wywaleniu go z domu, ale żeby tak od razu robić z Kacpra dziecko wychowujące się w rozbitej rodzinie? Wojtek ma wyczulony radar na moją złościwość, więc natychmiast się obraził i nie udało mi się wyciągnąć z niego odpowiedzi.

– Świetnie, to może byś jeszcze oderwał od stołu tę łyżeczkę i zeszkrobał musztardę, a ja zrobię obiad, hm?

Grunt to zbilansowane pełnowartościowe pożywienie, które i matce, i dziecku dostarczy wszystkich niezbędnych składników. Powtarzam to jak mantrę każdego dnia, zanim otworzę lodówkę i zacznę zastanawiać się nad obiadem. Zawsze uwielbiałam gotować, potrafiłam spędzić kilka godzin, szukając odpowiedniego przepisu albo eksperymentując z tymi starymi. Obsesyjnie kupowałam książki kucharskie i śledziłam blogi kulinarne. Na szczęście Beata ma wyrafinowany gust i niekończący się żołądek, bo na uznanie Wojtka nie mam co liczyć. On nie widzi różnicy między ciastem francuskim nadziewanym brzoskwiniami z delikatnym sorbetem z mango a drożdżówką w celofanie ze sklepu. A Beata na wspólnych kolacjach, podczas których Wojtek dyskutuje z jej Maćkiem o problemach komunikacji albo innych pierdołach, konsumuje moje dania z przymkniętymi oczami i wyrazem błogostanu na twarzy. I właśnie po to warto się starać, bo stwierdzenie „całkiem niezła ta paciara” o pasztecie z cieciorci zapiekany z grillowanymi warzywami i parmezanem jest, przyznacie same, odrobinę demotywuujące.

Nic jednak tak nie demotywuje jak godziny spędzone na klęczkach przed sedesem. Dlatego od kilku miesięcy spełniam się kulinarnie w odgrzewaniu mrożonek, ewentualnie mieszaniu ich z puszkami. Zerknęłam do lodówki w poszukiwaniu zbilansowanego jedzenia i niezbędnych składników. Skończyło się na zapiekance ze szpinaku i tuńczyka, łatwej, prostej w obsłudze i gładko przechodzącej przez przełyk – w obie strony. Tym razem jednak wystarczył mi sam zapach z piekarnika.

Z łazienki wyczołgałam się dopiero późnym wieczorem. Wojtek w ramach leczenia się z traumy pourazowej wyłączył telewizor, oznajmiając, że nie interesują go już żadne mecze i woli ten wieczór spędzić z najbliższymi. No i spędził. Wisiał na skypie przez półtorej godziny, omawiając z kumplami mecz, którego właśnie nie oglądał.

Na kłopoty małżeńskie najlepsza jest zawsze przyjaciółka – twoja, nie jego. Jest tańsza od terapeuty, łatwo dostępna i zawsze stanie po twojej stronie. O ile oczywiście nie romansuje z twoim mężczyzną.

– Będziemy mieli dziecko.

Dziewiąta trzynaście, siedzę na balkonie odgradzona od słońca suszącym się prześcieradłem i piję kawę. Czekam, aż Wojtek wreszcie zwolni łazienkę. A, i rozmawiam z Beatą przez telefon. Przynajmniej rozmawiałam, dopóki komórka nie wypadła mi z ręki i nie pofrunęła za balustradę. Prosto na ulicę. O czym myśli człowiek, patrząc na spadającą z balkonu rzecz? W dzisiejszych czasach, o ile nie było to dziecko albo kot, przede wszystkim o procesie za uszkodzenie ciała i trwałą uszczerbek na zdrowiu. Wstrzymałam oddech i spojrzałam w dół – na szczęście komórka leżała na wąskim trawniku oddzielającym chodnik od ulicy w przeciwieństwie do potencjalnego staruszka albo matki z dzieckiem – bo jak już trafić kogoś telefonem w głowę, to nie ma co skąpić. Kolejna myśl, jaka zaświtała mi w głowie, kiedy schodziłam po schodach: żeby tylko się nie uszkodziła. Jutro wyjeżdżam i muszę mieć sprawny telefon. Jak inaczej sprawdzę, czy Wojtek nie zagłodził mi syna? I trzecia, już ostatnia, gdy odetchnęłam z ulgą na widok całego aparatu: że też musiałam trafić w sam środek psiej kupy! Zanim udało mi się przykucnąć i chwycić go w dwa palce, zanim zmusiłam wszystkie mięśnie do ścisłej współpracy z ośrodkiem równowagi i z powrotem się podniosłam, usłyszałam słaby głos Beaty:

– Halo, jesteś tam? Marta?

I dopiero wtedy to jedno krótkie zdanie, które usłyszałam przed incydem z telefonem w roli głównej, naprawdę do mnie dotarło. I znów upuściłam komórkę. Szlag!

Zadzwoniłam do niej kwadrans później z łazienki, kiedy już dotarłam do mieszkania i wyczyściłam aparat. Przekrzywiłam przed lustrem głowę, żeby się upewnić, czy na pewno telefon, który trzymam właśnie przy uchu, jest czysty...

– Co ty przed chwilą powiedziałaś?

– Że będziemy mieli dziecko.

– Ale...

Ale przecież Beata nigdy nie chciała dzieci. Tolerowała cudze, dopóki wracały grzecznie do domu ze swoimi rodzicami, a ona z ulgą zamykała za nimi drzwi. Z Kacprem zaczęła się dogadywać dopiero niedawno, do siódmego roku życia mieścił się u niej w kategorii dziecka raczkującego. Po kilku nieudanych związkach przez dłuższy czas była sama, co zresztą świetnie jej służyło, a jeszcze lepiej mnie – miała wtedy mnóstwo czasu. A potem pojawił się Maciek. Poznała go na jednej z tych beznadziejnych imprez integracyjnych, które organizuje dla firm. W ostatniej chwili zachorowała jej dziewczyna obsługująca weekendowy wyjazd jednego z banków, a że Beata jest profesjonalistką i nie znosi półśrodków, z miejsca się spakowała i pojechała zamiast pracownicy. Zarząd banku, a zwłaszcza jeden z jego członków, był zachwycony, że zajmuje się nimi sama szefowa. Ta to wie, na kogo trafić. Potem wszystko potoczyło się lawinowo – zanim w ogóle o nim usłyszałam, już z nią zamieszkał. Spędziłam u niej pewne sobotnie popołudnie, a kiedy następnego wieczora zajrzałam, żeby podrzucić jej książkę, o której wcześniej rozmawialiśmy, drzwi otworzył mi wysoki gość w japonkach. Nie, nie był w samych kłapkach, miał na sobie oprócz tego koszulkę i spodnie, ale właśnie te

japonki w jednej chwili powiedziały mi wszystko. Po pierwsze, były to japonki ewidentnie domowe, w których nie przychodzi się z wizytą, tym bardziej jednorazową. Po drugie, jeden rzut oka na stopy wystarczył, by stwierdzić, że to zadbany facet, który wie, do czego służą nożyczki do paznokci. Po trzecie, jako że japonki były markowe, miałam do czynienia z gościem, który wie, jak zarobić pieniądze i jak je wydać. Po czwarte wreszcie, kiedy zostałam przedstawiona i posadzona w fotelu, oznajmił, że skoczy tylko po wino, po czym zsunął japonki, zostawiając je tuż koło butów Beaty, i zamienił je na sandały. I nie włożył do nich skarpet.

– Jeszcze powiedz, że zmywa po sobie – jęknęłam z zachwytem, gdyż już zamknęły się za nim drzwi.

Beata najpierw zaprzeczyła, jakoby miała dla niego stracić głowę, następnie przyznała, że jest lepiej, niż bywało zazwyczaj, a przyparta do muru, zeznała, że prawdopodobnie się zakochała.

– Jak to „prawdopodobnie”? Albo jesteś zakochana, albo nie, nie ma stanu pośredniego.

Przyznaję, nie znałam jej wtedy jeszcze od tej strony – za mojej kadencji nie zaliczyła żadnego poważnego związku, a ja poznałam raptem jednego z jej chwilowych chłopaków. Reszta, jak wyznała tego samego dnia, kiedy się z nim rozstała, nie była warta przedstawiania. Dlatego nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby zamieszkać z gościem po tygodniu znajomości bez jego pisemnego oświadczenia, że nie jest w związku małżeńskim i bez aktualnych wyników badań na choroby weneryczne, AIDS i HPV. Każdego ze swoich tymczasowych partnerów zmuszała do badań, dzięki czemu ze trzy znajomości zakończyła, zanim je właściwie zaczęła. Moja przyjaciółka jest istotą myślącą, której nie da się zawrócić w głowie, więc o co tu chodzi? Zerknęłam jeszcze raz na japonki ustawione równo pod drzwiami – może dlatego?

– Daj spokój, on nie jest idealny, a ja już dawno wyrosłam z wieku, w którym zamiast spać, po nocach wzdycha się z miłości. Nie mam zbyt wielu wymagań, lata lecą, faceci pojawiają się i znikają, więc nie ma co się przywiązywać. Ale – uśmiechnęła się jakby zawstydzona – jestem otwarta. Jeśli będzie chciał zostać, nie mam nic przeciwko.

Od tamtej rozmowy minął rok, jak łatwo się domyślić, chciał zostać, bo Beata dalej żyje w zaskakująco szczęśliwym związku. Nie żebym nie wierzyła w istnienie takowych, ale to dopiero rok... Pewnie dopiero niedawno skończyła im się faza zarwanych nocy i wspólnych wypadów weekendowych i przeszli do kolejnej – „Znam już na pamięć wszystkie twoje anegdoty, ale na spotkaniach ze znajomymi nie przerywam ci i wciąż śmieszają mnie twoje żarty”.

Pogadajmy za dziesięć lat, o ile będzie wtedy jeszcze o czym rozmawiać.

– Jesteś w ciąży???

Wydawało mi się, że się przesłyszałam. Beata i decyzja o dziecku? Nie, to...

– Ja...

– Niemożliwe – od razu jej przerwałam. – Może zaczęła ci się menopauza? Wiesz, niektórym kobietom zdarza się to szybciej. Ale jak to w ciąży? Robiłaś test? Byłaś u lekarza? Bo wiesz, te zwykłe testy są omylne i nie ma co im ufać.

Właśnie, dlatego ja kilka miesięcy temu zrobiłam ich z dziesięć, zanim dotarło do mnie, że mogę być w ciąży.

– Ale kiedy...

– Nie, daj sobie spokój z tymi testami, umów się od razu na wizytę i zrób badania z krwi.

Albo lepiej od razu USG, przynajmniej od razu przekonasz się, że wcale nie jesteś w ciąży, tylko hormony ci skaczą i tyle.

– Tylko że...

– Co? Że niby jednak chcesz dziecko? Przestań, za dobrze cię znam.

Tydzień przed czterdziestymi urodzinami Maćka Beata zapytała go, co chciałby dostać w prezencie. Ten oczywiście wcisnął jej gładki kit, że skoro ma ją, to ma już wszystko i niczego więcej nie potrzebuje, ale że Beata drażyła dalej, udało jej się wreszcie wyciągnąć z niego jeden mały konkret. „Chciałbym poczuć się jak najszcześniejszy człowiek pod słońcem, więc moje urodziny musisz spędzić ze mną, najlepiej w łóżku”. Dlatego właśnie po przyjemnym poranku spędzonym pod kołdrą Beata oparła się wygodnie na poduszce, sięgnęła po szklankę z wodą, upiła łyk i powiedziała z uśmiechem: „Jestem w ciąży”. Potem poczekała, aż wróci z toalety, gdzie na próżno próbował nad umywalką splukać trupią bladość z twarzy. Kiedy przestały mu się już trząść ręce i słabym głosem zapewnił ją, że bardzo się cieszy, parsknęła śmiechem: „Żartowałam! Przecież już o tym rozmawialiśmy i wyjaśniliśmy sobie, że nie chcemy dzieci”. Najpierw się obraził, ale nie trwało to długo – po kwadransie pojął, że czuje się jak nowo narodzony, jak najszcześniejszy człowiek pod słońcem. „Najlepszego, kochanie”, szepnęła mu do ucha, ale on nie słyszał, był zajęty czym innym.

Czy za wiele seksu może prowadzić do problemów z pamięcią krótkotrwałą?

– To Maciek, prawda? Chce mieć potomka, z którym będzie pokazowo kopał piłkę na trawniku przed domem. Jeśli ma kryzys wieku średniego, to niech sobie kupi nowy samochód. Wystrzałowej laski i tak nie potrzebuje, bo ma ciebie. Ale żeby od razu dziecko? Chyba nie pozwolisz mu decydować za siebie, co?

– Nie, to nie do końca tak...

– O Jezu, wpadłaś?! Halo, wpadają szesnastki, ale nie kobiety w naszym wieku! Dziewczyno, chyba wiesz, do czego służą gumki i tabletki, że już nie wspomnę o całej reszcie tego błogosławionego wynalazku?!

Eh, i kto to mówi...

– Zamknij się choć na chwilę i daj mi coś powie...

– Przecież nic nie mówię, ja tylko...

– Marta!

No dobra, zamknęłam się wreszcie. Jeszcze jeden uspokajający rzut oka do lustra i usiadłam w kuchni z komórką przyciśniętą do ucha, starając się zapomnieć, z czego ją przed chwilą wyczyściłam. Pięć minut później gratulowałam sobie, że siedzę. Po wyznaniu mojej najlepszej przyjaciółki sądziłam, że nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć, ale to, co usłyszałam od niej chwilę później, dosłownie odebrało mi mowę.

– Halo, Marta? Jesteś tam? – zapytała z niepokojem w głosie, kiedy od dobrych trzech minut nie odezwałam się ani słowem.

– Jestem – otrząsnęłam się w końcu i wydusiłam z siebie: – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś wcześniej?

– Dowiedziałam się wczoraj i potrzebowałam czasu, żeby to spokojnie przemyśleć.

Znacie jeszcze jakąś kobietę, której wystarczy jedna noc na przemyślenie sytuacji, w której jej mężczyzna oświadcza, że...

– „Byłam z nią góra miesiąc. Poza łóżkiem nie mieliśmy właściwie o czym rozmawiać. Wtedy mi to nie przeszkadzało, ale zaraz potem poznałem ciebie, no i wszystko się zmieniło. Od tamtej pory nie kontaktowała się ze mną, zadzwoniła dopiero miesiąc temu z informacją, że

najwyższy czas zainteresować się dzieckiem” – Beata wyrecytowała na wydechu. – Miałam do wyboru albo mu uwierzyć, albo wyrzucić go z domu. Zdecydowałam się na jedno i drugie, przynajmniej połowicznie. Wysłuchałam całej historii i poprosiłam, by spędził noc w hotelu i dał mi czas. Ale przedtem wzięłam od niego jej numer telefonu.

– Rozmawiałaś z nią? – Nie widziałam się z Beatą zaledwie jeden dzień, a tyle już zdążyło się wydarzyć. – I co?

Zanim podjęła decyzję, postanowiła zweryfikować jego wersję wydarzeń. Nikt jednak nie odebrał telefonu.

– Nagrałam się, przedstawiłam, zwięźle wyjaśniłam, o co chodzi, i poprosiłam o oddzwonienie. Zadzwoiła do mnie jakąś godzinę później, jak już wykąpała i położyła spać syna. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Maciek nie potrafił się z nią kiedyś dogadać – to całkiem konkretna i rzeczowa babka. Powiedziała, że nie chce nam komplikować życia, że nie dzwoniła wcześniej do Maćka, bo wszystko układało jej się tak, jak chciała. Urodziła syna i wychowywała go sama, ale kiedy po urlopie wychowawczym postanowiła wrócić do firmy, okazało się, że już tam nie pracuje. Ma jeszcze jakieś oszczędności, ale pewnie zanim znajdzie nową pracę, minie trochę czasu. Musiała wreszcie przyznać się sama przed sobą, że potrzebuje pomocy, przynajmniej dopóki znów nie stanie na nogi. Założyła, że Maciek od razu jej nie uwierzy, sama więc zaproponowała mu test na ojcostwo. Dlatego czekał prawie miesiąc, zanim mi o tym powiedział.

Próbowałam nadażyć za jej słowotokiem, ale kobiety w ciąży myślą wolniej i są zdekoncentrowane. Tak się przynajmniej tłumaczą. Gdyby były w pełni władz umysłowych, oszalałyby ze strachu przed tym, co je czeka.

– Ale skąd masz pewność, że to jego dziecko?

Kacper apatycznie wylawiając łyżeczką płatki z miski z mlekiem, posłał mi skonsternowane spojrzenie, a potem długo przyglądał się swojemu mlecznemu odbiciu.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Zrobił test, to jego syn.

Pokiwałam w zadumie głową, zastanawiając się, jak długo przyjdzie mi pocieszać Beatę, zanim znów wróci do siebie po kolejnym zerwanym związku. Kątem oka widziałam Kacpra porównującego zdjęcie Wojtka z dowodu ze swoim portretem wetkniętym w koszyk z reklamówkami pizzerii.

– No i co teraz?

Właściwie to nie oczekiwałam odpowiedzi, po prostu dałam jej szansę rozplakania się, porzucania kurwami przez telefon albo obrobienia mu tyłka – wiecie, taki tam całodobowy serwis przyjaciółki.

– Będziemy mieli dziecko.

– Taaak, wspominałaś już. Tylko co tak naprawdę masz na myśli, kiedy mówisz...

– To, że we trójkę ustaliliśmy grafik Kuby. Tydzień będzie spędzał u mamy, tydzień u nas, jak już oczywiście się z nami zapozna i zaakceptuje. Ma dopiero rok, trzeba dać mu chwilę na dostosowanie się do nowej sytuacji.

Aha.

Po raz drugi tego dnia mnie zamurowało.

Aha.

Beata coś jeszcze opowiadała, ale jedyne, co zapamiętałam, zanim się rozłączyła, to prośba o szybkie wprowadzenie w tematykę dziecięcą. Chodziło jej z grubsza o wszystko – ciuchy, jedzenie, zabawki, książki, muzykę, gry i przemeblowanie jej całego domu na potrzeby

jednolatka. Pokiwałam w milczeniu głową i dopiero po chwili, przypomniawszy sobie, że rozmawiamy przez telefon, chrząknęłam potakująco. A potem jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w komórkę. Gdzieś na dnie pamięci kołatało mi się wrażenie, że coś z nią było nie tak, ale nie potrafiłam zidentyfikować wątego zapachu, jaki z niej emanował.

– Mamo, a tak właściwie – Kacper stanął przede mną z dowodem Wojtka w prawej dłoni i przyłożył go sobie do twarzy, spoglądając na mnie wyczekująco – to skąd wiesz, że...

Dźgnęłam go palcem wskazującym i rzuciłam ostrze-
gawcze:

– Przestań!

Kryzys jest naturalnym skutkiem ubocznym każdego związku. Właściwie to nie ma związku bez kryzysu, tak jak nie ma rozwoju bez kryzysu. Słowa „związek” można używać zamiennie z „rozwój”, bo tak naprawdę znaczą to samo.

Wpatruję się w monitor i sama nie do końca rozumiem, o co mi chodzi. Że niby kryzys jest normalny? Pokrętnie tłumaczenie kobiety z dwunastoletnim stażem małżeńskim. Jeśli związek jest faktycznie rozwojem, jak sugerują liczne książki akademickie i popularnonaukowe, które zostały mi z czasów studenckich, to my w takim razie rozwijamy się w tempie ślimaczym. Jedna drobna zmiana na dekadę – pierwszą zaliczył Wojtek, odkrywając telewizor, druga należy do mnie. Mam w sumie jeszcze osiem lat, ale chyba nie będę aż tyle czekać. Z drugiej strony trochę głupio się rozwodzić z wielkim brzuchem, i tak pewnie nikt nie potraktowałby mnie poważnie, wiadomo, hormony... A tak zaraz po porodzie to nie będzie mi się chciało. Zanim wreszcie się wyśpię, zanim odpocznę i zbiorę myśli na tyle, żeby składnie wypowiedzieć jedno dłuższe zdanie, minie pewnie z siedem lat. I w ten sposób zdążę przed dwudziestą rocznicą ślubu. Akurat będę miała trochę czasu, żeby sobie jakoś poukładać życie. Honorarium pomoże mi stanąć na nogi, ale trzeba będzie wreszcie znaleźć sobie jakieś stałe zajęcie. Etat... Hm, a może istnieje jakiś inny sposób, żeby zostawić wszystko tak jak jest, ale usunąć jeden element niepasujący do obrazka – Wojtka? No przecież go nie zamorduję, Kacper by mi nie wybaczył. Eh, mogłam kiedyś posłuchać matki i znaleźć sobie stałą pracę. Wszystkie moje zlecenia, prace dorywcze, teksty na zamówienie traktuje jak dziecięcą wymówkę. Prawdopodobnie w jej oczach nigdy nie dorosłam, to nic że mam ośmioletniego syna, że zaraz urodzę córkę, że napisałam i wydałam książkę, że mam trzydzieści osiem lat – dla niej zostałam dziewczynką, która staje przed lustrem w maminych pantoflach i sztucznych perłach. Znacie ten gest matki, która poślinionym palcem ściera brud z policzka dziecka? Ohyda, zawsze się wzdragam na ten widok, być może dlatego, że moja mama dalej to robi. Cztery lata temu Kacper zdecydowanie jej tego zabronił, a kiedy zapomniała się na placu zabaw i już miała go dotknąć mokrym paluchem, wydarł się tak, że musiały go uspokajać wszystkie matki okupujące piaskownicę. Tylko ja dalej nie potrafię się jej postawić. Kiedyś w przebłytku samoświadomości wpadłam na to, dlaczego nie potrafię znaleźć sobie stałej pracy, ale jak tylko odkryłam, że ma to jakiś związek z moją mamą, z uzależnieniem i lękiem przed podejmowaniem decyzji, natychmiast wyparłam tę myśl. Cztery lata psychologii na coś się przydały – wiem, jak skutecznie nie myśleć o przyczynie własnych problemów. Teraz na przykład jako dojrzała i samodzielna psychicznie kobieta powinnam zastanowić się nad moim związkiem i zadecydować, czy chcę go dalej ciągnąć, czy też dać sobie spokój. Każda z tych decyzji pociąga za sobą inne, to dwie ścieżki w zupełnie przeciwnych kierunkach, tymczasem ja dalej drepczę w miejscu. A raczej kręcę się w kółko od paru lat. Czy gdyby nie mała, już bylibyśmy z Wojtkiem po rozwodzie? Może poznałabym kogoś, może znów po dwunastu latach bym się zakochała, a może po prostu żyłabym swoim życiem bez Wojtka w pokoju obok? Kiedy Kacper w pierwszej klasie poszedł na pierwszą w życiu imprezę urodzinową i po południu odbieraliśmy go z mieszkania jubilata, zrobił nam po drodze do domu awanturę. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego wstydził się tego, że zjawiliśmy się tam oboje. Uświadomiła mnie dopiero jego wychowawczyni, z którą rozmawiałam po wywiadówce. Okazało się, że Kacper był jedynym dzieckiem w klasie mieszkającym z mamą i tatą. Na dwadzieścia pięcioro

dzieciaków zaledwie jedno nie miało rozwiedzionych rodziców. To mi dało do myślenia. Jestem cholernym wyjątkiem.

– Mamoooooooo!

– Synku, nie musisz się tak drzeć, kiedy siedzę obok ciebie, a zwłaszcza wtedy, kiedy pracuję obok ciebie. – Otworzyłam jedno oko i rzuciłam mu spojrzenie z gatunku: „Mamusia jest teraz bardzo zajęta”. Znowu przysnęłam nad robotą. Ja chyba nigdy nie skończę tego poradnika. Może lepiej było zacząć pisać rozwodnik? Przynajmniej bym skorzystała.

– Sorki, mam, zapomniałem, że śpisz, yyy, znaczy pracujesz w moim pokoju. Pomożesz mi z tym zadaniem?

Wyglądał, jakby był gotów rozplakać mi się przed nosem i rozplaszczyc się na biurku w akcie desperacji. Swoją drogą to chyba trochę niehumanitarne katować ośmiolatka pracą domową, kiedy koniec roku już właściwie za pasem. Te ostatnie dwa tygodnie to okres przedwakacyjny, dzieciaki powinny spakowane siedzieć w pociągach i rezerwować sobie miejsca, a nie... Robić drzewo genealogiczne???

– Kacper, na kiedy masz to zrobić? – Cień podejrzenia padł na biurko i jeszcze bardziej rozplaszczonego na nim chłopca.

– Na jutro – wydusił z siebie po chwili zastanowienia.

– Na jutro, aha. I niby dzisiaj twój nauczyciel kazał zrobić drzewo genealogiczne całej naszej rodziny na jutro?!

Mój syn jest szalenie inteligentnym ośmiolatkiem. Mądrym, opanowanym, obdarzonym poczuciem humoru i czasami niewyparzonym jęzorem – mam za co go kochać, pomijając te najbardziej oczywiste powody. Ale dlaczego za każdym razem zachowuje się dokładnie według tego samego scenariusza? Już tyle razy obiecywałam sobie, że to koniec, nigdy więcej mu nie pomogę, dostanie wreszcie burę od nauczyciela, położy uszy po sobie i przestanie robić wszystko na ostatnią chwilę. To znaczy przestanie prosić mnie w ostatniej chwili o zrobienie tego za niego.

– Pokaż mi to. – Westchnęłam ciężko i wyciągnęłam rękę po zeszyt. To już ostatni raz!

– Beata, nie, nie dzwonię, żeby sprawdzić, czy się rozmyśliłaś. Tak, obiecuję zrobić ci prezentację w PowerPoincie na temat wychowywania dzieci. Co lepsze kawałki zanotuję nawet na fiszkach, żebyś mogła nimi wytapetować sobie ściany. Tylko przyklejaj je minimalnie półtora metra nad podłogą, bo roczniaki niszczą wszystko, co napotkają na swojej drodze. Nie, skądże, żartuję, ale może lepiej nie trzymaj tych swoich drogocennych albumów fotograficznych na najniższej półce.

Beata kompulsywnie kupowała albumy. Nigdy w życiu nie zrobiła ani jednego zdjęcia, ale uwielbia je oglądać. Te książki, a właściwie księgi, są pięknie wydane i zazwyczaj niedostępne w księgarniach, więc kupuje je przez Internet. Średnio raz w tygodniu zagląda do niej kurier i z wymownym milczeniem podaje jej kilkukilogramowe paczki. Dokładnie ten sam kurier, który spóźnił się z moją przesyłką siedem miesięcy temu. Straciłam do niego zaufanie. Już chyba wolę pocztę.

– Możesz mi wymyślić kilka historyjek rodzinnych? Muszę pomóc Kacprowi ułożyć drzewo genealogiczne i przydałoby się kilku znaczących przodków, tak powiedzmy od pierwszej wojny światowej. Nasza rodzina słynie z normalnych jednostek stroniących od historii. Osobiście popieram taką postawę, ale jak oni będą wyglądać na drzewie Kacpra? Teść

pochodzi co prawda z Gdańska, ale nigdy nie był choćby pod stoczną, a co dopiero w środku. Musimy trochę podkolorować tu i ówdzie, a skończyły mi się już pomysły.

Czterdzieści minut później przyszedł mail od Beaty.

– Ciocia przybywa z odsieczą – zameldowałam z satysfakcją i otworzyłam załącznik.

Dwie strony tekstu, nieźle. Rzuciłam pobieżnie okiem na kilka wyboldowanych nazwisk i zmarszczyłam brew. Cóż, wzięła sobie do serca moją uwagę o albumach i najwyraźniej od razu wykorzystwała cały sektor z fotografią polską. Nie wiem jakim cudem udało jej się w historię rodziny mojej i Wojtka wpleść Zofię Rydet, Krzysztofa Pruszkowskiego i Tomasza Tomaszewskiego. Pięknie, brakuje chyba tylko... O, nie, Ryszarda Horowitza znalazłam na drugiej stronie. Dobrze, że nie zasugerowałam jej użycia książek Daviesa, fotografików jakoś upchniemy, z generałami byłby problem. Kacper zerkał mi przez ramię, kiedy wprowadzałam poprawki do tekstu Beaty.

– Synek, idź może do kuchni albo zobacz, co robi tata, hm? Rozpraszasz mnie.

Kiedy dotarłam już do najniższej gałęzi, przy swoim nazwisku po chwili namysłu dopisałam „pisarka”. Nie, bez sensu, jaka tam ze mnie... Wykasowałam. Ale wcześniej wyglądało lepiej. Kto wie, w czyje ręce trafi kiedyś ten zeszyt? Może przetrwa dłużej niż ja? Cofnęłam kasowanie. Teraz jest zdecydowanie lepiej.

– Tata chyba nie czuje się zbyt dobrze – usłyszałam od progu niepewny głos Kacpra.

Spojrzałam na niego zdziwiona, ale on tylko wzruszył ramionami, zerknął za siebie, po czym narysował palcem wskazującym kółko na czole. Hm, ciekawa diagnoza... Nie powiem, żebym czegoś nie podejrzewała przez te wszystkie lata, ale jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby tak po prostu... Posłałam dziecko do kąpieli, popołudnie niepostrzeżenie zamieniło się w wieczór, a jutro Kacper ma basen o siódmej rano. Na który zresztą zawsze odwozi go Wojtek. Czas najwyższy przywrócić we wszechświecie porządek. Podniosłam się z trudem z krzesła i oparłam dłoń na wierzgającym brzuchu. „Myszko – szepnęłam – poczekaj chwilę, dobrze? Najpierw muszę zająć się twoim ojcem”.

– Kochanie... – zaczęłam, jak tylko szerzej uchyliłam drzwi do pokoju, ale widok mojego męża klęczącego na dywanie przed szafką odebrał mi mowę. Nabożnie złożone dłonie i głowa pochylona w skupieniu nieco wytrąciły mnie z równowagi, chrząknęłam głośno, ale i tak się nie odwrócił, nawet nie drgnął. Pokój tonął w półmroku, tylko postać Wojtka była podświetlona migoczącym światłem telewizora. Za otwartymi na oścież oknami słychać było kwilenie jaskółek, powietrze niemal stało w miejscu.

– Chyba zanosi się na burzę – odezwałam się spokojnym głosem, nie spuszczać go z oka. Dalej zero reakcji. Wspaniale, jeszcze jeden dzień przed telewizorem ze wzrokiem utkwionym w piłce, a zaczniesz ganiać za nami z siekierą. Zrobiłam jeden krok w prawo i namacałam włącznik lampy stojącej obok fotela. W pełnym świetle osobnik klęczący na środku pokoju już bardziej przypominał mojego męża – mojego męża ze słuchawkami na uszach, przykutego kabelkiem do telewizora. Teraz dopiero zobaczyłam, że bezgłośnie porusza ustami, zupełnie jakby był zatopiony w modlitwie. Może podczas meczów podprogowo nawraca się ludzi? Kruczata XXI wieku. Cóż, niejeden z pewnością stracił wiarę w trakcie euro, więc równie dobrze może ją odzyskać. Postanowiłam go trochę poobserwować i przysiadłam na oparciu fotela. Wystarczyły mi cztery minuty, żeby porównać sytuację na boisku z częstotliwością słów wyszeptywanych przez małżonka. Im większe zamieszanie na murawie, większa kotłownina wokół gościa z piłką, tym modlitwa Wojtka stawała się bardziej gorączkowa. Milkł tylko na chwilę, kiedy kamera łapała jednego z trenerów – trener drapie się po głowie, mąż zastyga

w bezruchu, trener wygraża pięścią, mężowi drgają kąciaki ust, trener wykrzywia twarz w grymasie wściekłości, mąż promienieje. Ale potem kamera znów wracała na boisko, a mąż do modlitwy. Fascynujące. Gdyby choć minimalną część tej uwagi poświęcał swojej żonie, stanowilibyśmy najszczęśliwszą parę pod słońcem. Gdyby choć minimalną część tej uwagi poświęcał swojej żonie, nie przecięłabym kabla od telewizora. Zmusił mnie do tego.

– Poważnie?! Ale jak to zrobiłaś? Przecięłaś na jego oczach? Jak to przyjął?

– Tak, normalnie, nie, normalnie – odpowiedziałam od razu na wszystkie pytania Beaty, kiedy wieczorem wyszłyśmy na spacer po Kazimierzu. Wreszcie zrobiło się w miarę przyjemnie, temperatura spadła do w pełni akceptowalnych dwudziestu trzech stopni, nawet komary dały sobie spokój i dało się wyjść z domu bez aromatu offa. Już po drugiej stronie Wisły zdecydowałyśmy, że wstąpimy gdzieś na szybką lemoniadę, spacer spacerem, ale czasami człowiek musi usiąść. Za synagogą skręciłyśmy w uliczkę z samymi knajpami i nagle znalazłyśmy się w samym środku tłumu. Był środek tygodnia na miłość Boską, czas na...

I goooooooooool!!!!

Z dachów kamienic zerwały się gołębie, spod nóg pierzchnął mi przerażony dachowiec, a Beata pokręciła tylko w zdumieniu głową. Tłum przed nami falował w ekstazie, raz napierał na stoliki przed Singerem, raz obmywał stragany wokół placu Nowego, wciskał się do środka Alchemii i wylewał z Kolanka. Z knajp z telewizorami płynął strumień przerażających dźwięków – piszczałek, skandowanych haseł, trąbek, wrzasków kibiców i głosu rozemocjonowanego prowadzącego – na które żywo reagował tłum na ulicy. Spojrzałam na Beatę i skręciłyśmy w inną ulicę, gdzie – jak okazało się po kilku krokach – było jeszcze gorzej. Jeśli dało się już wejść do jakiegokolwiek pubu, przedrzeć się do baru, przekrzykując ludzi, to już na pewno można było zapomnieć o miejscach do siedzenia. Albo kibice złaknieni meczu, albo kobiety kibiców złaknione niekibicowego towarzystwa, albo jedno i drugie pod tym samym dachem. Obeszłyśmy kilkanaście knajp i zrezygnowane zawróciłyśmy do domu, tym razem rozmawiając o zabezpieczeniach kontaktów. Cóż chcecie, jedna matka z drugą matką...

– Po pierwsze, idziesz do jakiegokolwiek sklepu z artykułami domowymi, takiego z wiertarkami, kłódkami, zlewami i panelami. Tam albo zgrywasz idiotkę i pytasz pana z obsługi o zaślepki do kontaktu, albo szukasz działu dziecięcego. Łatwo go znajdziesz, różowo-niebieskie firanki w misie, tapety z samochodami i lampy w kształcie księżycy. A, i kup sobie od razu zabezpieczenia na kanty – rogi stołu, biurka i tej niskiej komody. Dziecko z rozciętym łukiem brwiowym to nie najlepszy widok, zwłaszcza kiedy się mdleje na widok krwi.

Wystarczyło, że o tym pomyślałam, i nagle zrobiło mi się tak jakoś miękko w kolanach, więc szybko zmieniłam temat.

– A wracając do kabla: poczekałam do przerwy i kiedy Wojtek poszedł do łazienki, na szczęście każdy kibic musi kiedyś iść do łazienki, wzięłam kombinerki i po sprawie.

– Kombinerki? – W głosie Beaty wychwyciłam nutę niedowierzania. No jak się nie odkłada na miejsce przecinaka do kabli, to kombinerki muszą wystarczyć.

– Łatwo nie było, właściwie raczej zmiażdżyłam ten kabel, ale dzięki temu mogłam wszystko zwalić na kota. Na upartego jakby się przyjrzeć, nawet widać ślady zębów.

– Ale wy nie macie kota...

Racja. Na szczęście sąsiadka ma. Mógł przecież przeleźć przez balkon, nie?

– Nie czepiaj się, kot przegryzł i tyle. Zdarza się.

– No dobra, a jak Wojtek to przyjął?

I tu właśnie dochodzimy do momentu rzeczywistości, z którego nie jestem zbyt dumna. Otóż małżonek zareagował zupełnie normalnie. Poniekąd wcale nie zareagował. Zupełnie jakby się nic nie stało.

Bo załatwiłam nie ten kabel.

A skoro obok telewizyjnego był tylko kabel od dvd...

Szlag!

Ciche dni – zhora wszystkich małżeństw. U jednych polegają na trzaskaniu drzwiami, u innych na rozbijaniu talerzy czy mrożących krew w żyłach chłodnych uprzeżmościach. Na początku ciężko się do nich przyzwyczaić, ale z czasem człowiek odkrywa, że w ciche dni po prostu się odpoczywa. Drobną chwilą przyjemności sam na sam ze sobą.

Uwielbiam nasze ciche dni! Można wreszcie na chwilę dać sobie spokój i przestać się starać. Żadnych kłótni, złościwości, tłumaczenia się. Nie trzeba go nakłaniać, żeby przeprosił pierwszy, rozpoczynać każdego zdania od: „Wydaje mi się, że...” i „Moim zdaniem to...” albo: „Irytuje mnie, kiedy zachowujesz się jak...”, nie trzeba też golić sobie wieczorem nóg, żeby w nocy przypadkiem nie smyrnął o zarośniętą łydkę. Nasze ciche dni są bowiem naprawdę ciche, nawet więcej – są całkowicie przezroczyste. Ja nie widzę jego, on nie widzi mnie. Że niby niemożliwe na naszych kilku metrach kwadratowych? Im mniejsza przestrzeń, tym fajniejsza zabawa. Niestety od siedmiu miesięcy ciche dni zmieniły nieco swoją formułę – ja jestem wściekła, ale Wojtek patrzy na mnie pokornym wzrokiem i za wszelką cenę unika kontaktu wzrokowego, dopóki mi nie przejdzie. Zapewne nie chce narażać dziecka na złe wibracje i w związku z tym wycofuje się do swojej skorupki, tyłem, ostrożnie, nie spuszczać mnie z oka. Dobrze, że zostały tylko dwa miesiące, bo jestem bliska uduszenia się od nadmiaru słów, których i tak bym nie wypowiedziała – przynajmniej nie na głos. Za to ile można wyrazić samą miną, nerwowym uderzaniem palca o stół, wymijaniem się w drzwiach do łazienki! Ale kiedy Wojtek przemyka jak cień między pokojami, udaje, że nie słyszy moich westchnień i bębnienia palcami o blat i kładzie uszy po sobie, jak tylko przypadkowo spotkają się nasze spojrzenia, to – same przyznacie – żadna zabawa. A przynajmniej było tak do momentu, kiedy odkrył kabelek...

– Marta – odezwał się nagle lodowatym tonem, wybudzając mnie z drzemki, która już za chwilę miała przemienić się w cudowny, głęboki sen.

Otworzyłam oczy i podniosłam głowę z poduszki, ale nigdzie go nie było. Dopiero po chwili usłyszałam stłumione przekleństwo z za telewizora i od razu domyśliłam się, o co chodzi. Aż mi się humor poprawił.

– Czy możesz mi powiedzieć, do czego były ci potrzebne te kombinerki?

Ups... Jednak nie o to mu chodzi.

– Jakie...

Udawanie niewiniątka to ostatnia deska ratunku, jakiej się chwytam w chwilach wyjątkowej desperacji. Mniej zaawansowanym w długoletnich związkach wyjaśniam: tak naprawdę nic to nie daje, oprócz czasu. Można w ten sposób kupić sobie dwie do trzech minut i poświęcić je na przygotowanie planu B.

– Te, do cholery, kombinerki!

Oho, pan się zdenerwował. W dodatku wymachuje tymi, do cholery, kombinerkami, jakby to był dowód zbrodni. Zabawnie wygląda schowany do połowy za telewizorem, zaplątany w firankę, którą szarpie przeciąg wywołany nocnym i, zaraz, chyba naprawdę burzowym! – nareszcie! – wiatrem. Zamknęłam na chwilę oczy i skupiłam się na wspomnieniach o porodzie Kacpra – to zawsze odbiera mi chęć do śmiechu. Poskutkowało i tym razem – żadnego niekontrolowanego chichotu, nie drgnęły mi nawet kąciki warg, całkowita powaga. Za to na ten jeden moment się zdekoncentrowałam.

– Oj, nie wiem, daj mi spokój, może kot je przyniósł.

Ziewnęłam i opadłam z powrotem na poduszkę. Już miałam zapaść ponownie w drzemkę,

kiedy uświadomiłam sobie, że pomyliłam kwestie. I to właśnie mnie rozjuszyło. Pięć minut później krzyczałam na niego, że...

– Nic innego nie robisz, tylko siedzisz przed telewizorem i oglądasz mecz! Jak nie jeden, to drugi albo piąty, nie wiem, już się pogubiłam. A jak nie przed telewizorem w domu, to przed plazmą w knajpie! Albo z nosem w komputerze, przeglądając te twoje ekstra srekstra klasy! Nie można na ciebie liczyć! Wszystko muszę robić sama! Może byś tak się zainteresował od czasu do czasu swoim synem, co?!

Gwoli wyjaśnienia: krzyki małżeńskie późną nocą to specyficzna odmiana tak zwanego cichego wrzasku. Używa się jej w sytuacjach, kiedy nie chce się obudzić śpiącego za ścianą dziecka. I zawsze należy ubiec partnera w dyskusji i użyć przed nim argumentu nie do podważenia, czyli śpiącego za ścianą dziecka. Kto pierwszy, ten wygrywa.

– I co? Naprawdę nie stać cię na nic lepszego?! W pierwszym prymitywnym odruchu musiałaś zniszczyć sprzęt?!

Po pierwsze nie był to pierwszy odruch, a na pewno nie prymitywny. Narzędzia stały się podwaliną cywilizacji i kultury. To, że umiemy się nimi posługiwać, odróżnia nas od zwierząt. A właśnie...

– Przynajmniej wiem, do czego służą narzędzia – syknęłam.

Aż się zapowietrzył. Zawsze tak robi, kiedy uderzę w jego czuły punkt. Wojtek bowiem, początkowo jako student, a następnie wykładowca filozofii, do wszelkich tak zwanych męskich spraw podchodził z iście filozoficznym spokojem. To znaczy kontemplował widok mnie wbijającej gwoździe w ścianę, składającej łóżko Kacpra, odykającej zapchany zlew i rozkręcającej bęben pralki. Przeszkadzało mi to tylko na początku, ale jak już się z kimś żyje pod jednym dachem, człowiek uczy się akceptować najdziwniejsze rzeczy. Chyba lepiej, że ma dwie lewe ręce, niż żeby przebierał się w moje ciuchy, nie sądzicie? Najzabawniejsze jednak w tym wszystkim jest to, że Wojtek jest głęboko przekonany o swej umiejętności obchodzenia się z młotkiem. Dlatego ilekroć trzeba wywiercić dziurę w ścianie, poprawić obluźowany kołek albo rozkręcić spłuczkę, mój wspaniały mąż wydiera mi z rąk narzędzia i patrząc na mnie z politowaniem, zasiada do pracy. Co oznacza, że potrzebuję kolejnych trzech godzin na:

- a) posprzątanie syfu, jakiego narobi,
- b) poprawienie po nim roboty ewentualnie wezwanie specjalisty,
- c) wskrzeszenie urażonej męskiej dumy.

Przy czym ostatni punkt zajmuje najwięcej czasu. Najprościej wykonać wszystkie prace techniczne, kiedy nie ma go w domu – przynajmniej nie muszę patrzeć na jego czerwoną ze wstydu twarz, kiedy myli klucz francuski z żabką.

– Ale kabli najwyraźniej nie rozróżniasz – odparował z mściwą satysfakcją, kiedy już uregulował oddech, i podniósł oba kable, żeby pomachać mi nimi znad telewizora. I właśnie wtedy usłyszeliśmy ciche „pyk” i ekran zamienił się w czarną bezdenną nicość. Zaśmiałam się pod nosem, podniosłam kciuk do góry i pogratulowałam małżonkowi sabotażu na tyłach nie tego wroga, co trzeba.

Dwie godziny później, do tego też już zdążyłam się przyzwyczaić, obudziłam się z przekonaniem, że przespałam całą noc, i rześka i wypoczęta wstałam z łóżka. Wojtek leżał w pozycji embrionalnej na dywanie przed telewizorem, z kabelkiem od słuchawek niczym pępownią oplecionym wokół szyi. No proszę, udało mu się naprawić. Na ekranie trzech smutnych panów w marynarkach w telewizyjnym studio śledziło powtórki meczu na monitorze. Niezbyt przekonująco gestykulowali, naprawdę żał zrobiło mi się dopiero wtedy, kiedy jeden

złapał się w rozpaczy za głowę. Przez chwilę patrzyłam, jak bezgłośnie poruszają wargami, i sięgnęłam po pilota, żeby skrócić ich męki. Wojtek dalej spał na dywanie. Ominęłam go w drodze do łazienki, a potem siedząc w kuchni nad kubkiem melisy, przypominałam sobie pewien eksperyment małżeński związany z komunikacją werbalną i wpływem literatury na codzienne życie. Byliśmy już wówczas od kilku lat małżeństwem, mieliśmy za sobą kilka wzlotów i upadków, przed sobą, jak się później okazało, zdecydowanie więcej upadków, i zaczynaliśmy się właśnie rozsmakowywać w praktykowaniu cichych dni. Być może działa się to, kiedy pisałam książkę, bo zdaje się, że byłam wtedy nieustannie podenerwowana – wystarczyła iskra, żebym zapaliła się płomieniem, który momentalnie obejmował całą rodzinę. Poza tym uczyłam się od najlepszych i w wolnych chwilach czytałam *Sto lat samotności*, co miało dość bezpośredni wpływ na moje relacje z Wojtkiem. Jedną z bohaterek, zapewne ją pamiętacie, ale ja nie mogę przypomnieć sobie jej imienia, w ramach zemsty na swym mężczyźnie na wszelkie jego pytania ze stoickim spokojem odpowiadała „nie wiem”. W literaturze jak w życiu, postanowiłam więc przy najbliższej okazji wypróbować ten sposób. Okazja wręcz czyhała za rogiem – Wojtek uczył wtedy jeszcze studentów i zaangażował się w jakiś projekt międzyuczelniany, który tak absorbował jego uwagę, że poza nim nic dla niego nie istniało. Wracał późno i od razu siadał z nosem w papierach albo stukał godzinami w klawiaturę. Przez pierwszy tydzień zamieniliśmy dokładnie czterdzieści dwa słowa – raz dziennie: „Cześć”, „Co na obiad?” i „Położysz Kacpra?”. Ba, nawet wypowiedaliśmy je mniej więcej w tych samych porach. Po tygodniu zastrajkowałam i przestałam się w ogóle do niego odzywać, a na pytania dotyczące obiadu niezmiennie odpowiadałam „nie wiem”. Po dwóch dniach małżonek do dziennego repertuaru dołączył kilka innych pytań, na przykład: „Kupić coś na obiad?” albo „Może kupię kurczaka i zjemy go z frytkami?”, ale odpowiedź za każdym razem otrzymywał tę samą. Tak upłynął nam drugi tydzień, z końcem którego Wojtek, zakończywszy projekt, wrócił do świata żywych, wracając do domu z winem i kwiatami. Wieczorem, na stoliku przy łóżku butelka i dwie lampki, świeczka i bukiet w wazonie, my w łóżku, ubrania pod łóżkiem, ja pytam:

– Kochanie, czy zauważyłeś ostatnio jakąś zmianę w naszym życiu?

A kochanie, zamrugawszy nerwowo powiekami, na to:

– Nieee...

A widząc wyraz mej twarzy, szybko dodało:

– No, znudziło ci się chyba gotowanie obiadów, tak?

Wstałam, ubrałam się, opróżniłam jednym łykiem lampkę wina i zapytałam z niedowierzaniem w głosie:

– A tego, że poza „nie wiem” nie odezwałam się do ciebie przez ten czas ani razu, nie spojrzałam na ciebie, nie dotknęłam cię nawet w przelocie ani nie westchnęłam znacząco, nie zauważyłeś?

Nie musiał odpowiadać. Miał to wypisane na twarzy. Zdmuchnęłam świeczkę, wzięłam butelkę i poszłam do kuchni. A bukiet wywaliłam za okno. Pamiętam to doskonale, bo od tamtej pory Wojtek nie kupił mi kwiatów.

Zapatrzyłam się w starą boazerię na ścianie pod oknem. Zdaje się, że planuję ją zerwać od dnia ślubu, ale wciąż mi to nie wychodzi. Gdyby tak w związkach było to równie łatwe – zrywasz stare dechy i malujesz ścianę na fioletowo, szast-prast i po sprawie. Niby to samo, ale jednak inaczej, nie wyprowadziłaś się, ale otoczenie jakby nowe. Tak właśnie czuję się od dwóch miesięcy, kiedy staję przed lustrem – niby ja, ale jakby nie ja. Każdego dnia staję się

coraz bardziej obła, skóra na moim brzuchu coraz bardziej trzeszczy, niebezpiecznie się napina, rozciąga. Gdzieś musi być kres, a przede mną kolejne dwa miesiące!

Nic tak nie fascynuje jak tajemnica związana z drugą osobą. Początki w związkach są takie cudowne nie tylko z powodu stanu permanentnego zakochania i niekończących się orgazmów, ale przede wszystkim tajemnicy, którą za wszelką cenę chce się poznać. Początki jednak szybko się kończą, mniej więcej też wtedy tajemnice zaczynają oznaczać, że albo ty go zdradzasz, albo on ciebie.

Nasz początek zakończył się tamtego dnia, kiedy...

– Mamoooo! Nie mogę znaleźć skarpetki!

Wystraszone wrzaskiem Kacpra gołębnie zerwały się, obsrywając wdzięcznie balustradę balkonu. Znowu. Gdybym nie przesunęła w lewo stopy, dostałabym rykoszetem. Dobrze, że rano zdjęłam z linki pościel, bo gołębich pozostałości nie da się sprać. Poprawka: krakowskich gołębich pozostałości. A przecież nie wyrzucę trzeciej zmiany w tym miesiącu! Odstawiłam w cień nagrany od słońca netbook i zanurzyłam się w chłód mieszkania. Syn zapamiętał szukał skarpetki w sieci. Być może jedną ma rzeczywistą, a drugą wirtualną.

– A szukałeś chociaż?

– Noooo – rzucił bez przekonania, nie odrywając oczu od komputera. Jakbym to już gdzieś widziała.

– Kochanie, albo w tej chwili podejdziesz do komody, otworzysz drugą szufladę od góry i wyjmiesz stamtąd swoją skarpetkę, albo wyłączę ci komputer, a zaraz potem sprzedam go na Allegro.

A jeszcze nie tak dawno temu obiecywałam sobie, że nie będę wychowywać syna metodą gróźb. Sęk w tym, że to działa! Dlatego teraz odpuściłam sobie wszelkie obietnice – będzie jak będzie. A jeśli po narodzinach okaże się, że mała obdarzona jest choć częścią temperamentu, jaki przejawia od kilku miesięcy – z pewnością będzie się działo... Po co więc się nastawiać? Tych parę lat z moim pierwotnym przekonano, że to całkiem osobny człowiek i tylko jego pępek świadczy o tym, że kiedyś był ode mnie zależny. W przeciwieństwie do jego ojca.

– Nie ma. – Kacper stał przed komodą, z jedną ręką ostentacyjnie zanurzoną między zwiniętymi w kłębki skarpetkami.

– Jak to nie ma?

Zirytowana tym klasycznym męskim zachowaniem w wydaniu ośmiolatka (mężczyźni prawdopodobnie mają dodatkowy chromosom odpowiedzialny za bezradność w zakresie poszukiwań zaginionych skarpetek), wyrzuciłam na łóżko całą zawartość szuflady. No i nie było. I jak w takiej sytuacji zachować twarz?

– Jest gorąco, weź sandały.

Kacper mruknął pod nosem, że tylko baby noszą sandały, ja udałam, że nie słyszę i zajęłam się pakowaniem rzeczy z powrotem do komody. Między jednym a drugim kłębkiem znalazłam zgięte na pół zdjęcie – ślubne zdjęcie! – które nie wiadomo jak trafiło między skarpetki naszego syna. Krecha zgięcia z odchodzącymi od niej prostopadle zmarszczkami przebiegała zgodnie z geometrią rozwodową – pomiędzy mną a Wojtkiem. Dwanaście lat temu wyglądaliśmy całkiem jak dobrana para z wykupionym pakietem przytulank na ogniskach, trzymania się za ręce w kinie, picia kawy z jednego kubka na górskich szlakach i zestawu dla trojaczków. Nie wspominając o psie. Dwanaście lat temu miałam krótkie włosy, w które fryzjerka na próżno starała się wpiąć kwiatki, na sobie pierwszy i ostatni raz białą sukienkę, no i jakieś dwanaście kilo mniej. Nie licząc oczywiście tych ciężowych. Na zdjęciu, zrobionym przed kościołem, stoimy w drzwiach, a właściwie wychodzimy – to jest dokładnie

moment między zakończeniem mszy a deszczem ryżu, jaki zaraz na nas spadnie. Wojtek wygląda tu jak rozpromieniony pracownik, który dostał szczękoscisku od ciągłego uśmiechania się do pracodawcy. Trzyma mnie za rękę i wpatruje się w czekający na nas tłum gości. Mojej twarzy tak do końca nie widać, bo patrzę w prawą stronę – na Wojtka, a jej lewą część przesłania na pół przezroczysty welon. Właściwie to dobrze, że ten, kto robił fotkę, nie uchwycił wyrazu twarzy, bo właśnie wtedy, kiedy przekroczyliśmy próg kościoła, zdałam sobie sprawę, że to JUŻ. Że właśnie w tym momencie zaczęło się „i że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Czy się przestraszyłam? Nie. Czy żałowałam? Też nie. Po prostu nagle uświadomiłam sobie, że zaczęłam wieść ustabilizowany żywot i że nic mnie już w nim nie zaskoczy. Że właśnie podpisaliśmy się pod planem zagospodarowania reszty życia, trafiony-zatopiony. Ale to nie był jeszcze koniec naszego początku, ten nastąpił w dniu...

– Mamoooo! A gdzie są sandały?

Kacper siedział po turecku na środku przedpokoju i nawet nie trudził się, żeby zajrzeć pod szafę, gdzie stoją wszystkie aktualnie używane buty. Reszta grzecznie czeka na swoją porę upchnięta na pawlaczu. Oto uroki małych mieszkań.

– Mamooooo! Sandały!

Chryste!, kiedy on zdążył zamienić się w kopię Wojtka?

– Niech zgadnę, pewnie tam, gdzie je ostatnio zostawiłeś – odparłam, policzywszy najpierw w myślach do pięciu. Raz. Kocham bezgranicznie mojego syna. Dwa. To ja go wychowałam. Trzy. W końcu ma dopiero osiem lat. Cztery. Jeszcze sporo przed nim. Pięć.

– A konkretniej?

Wyszczekany gówniarz. I po kim on to ma?

– Mamo, nooo... Bo się spóźnię do szkoły.

W porządku, kocham go, ale żeby było jasne – w wychowaniu maczał też palce ojciec. To by wiele wyjaśniało. Na przykład to, że zwlokłam się teraz z łóżka, jęknęłam, kiedy znów coś strzeliło mi w kręgosłupie, rozmasowałam łydkę, w której znów chwycił mnie skurcz i przykuśtykałam – gdyż w jednej stopie znów mrowiło – do przedpokoju. Sandały Kacpra stały oczywiście pod szafą, a konkretniej wystawały spod niej, tak że nie sposób ich nie... A zresztą.

– Tu są, myszko, a teraz leć na lekcje.

Mały skrzywił się, usłyszawszy to „myszko”. Nie znosi tego, pamiętam dobrze, od co najmniej trzech lat, ale jakoś nie mogę się oduczyć. Jeszcze nie tak dawno temu piszczał z radości i wyciągał do mnie ręce, kiedy wołałam do niego „myszko”. Nie tak dawno temu zasypiał zaraz po kąpieli. Nie tak dawno temu bał się gdziekolwiek ruszyć beze mnie. A teraz został mi jedynie przedwczesny syndrom opuszczonego gniazda. Kacper otworzył drzwi i wyszedł na klatkę schodową. Na wycieracze zawahał się przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy zawrócić, i nagle błyskawicznie przytulił się do mojego gigantycznego brzucha. Trwało to może pół sekundy, nawet nie zdążyłam zareagować, bo zaraz zbiegł pędem po schodach. Moja mała myszka.

– Przeciąg! Zamknij wreszcie te drzwi!

Oh, pan i władca raczył się wreszcie obudzić. Czyżby przewiało mu poranną erekcję? To gorsze niż wstawanie lewą nogą. Nic tak nie psuje im nastroju, zauważyłyście? Prawdopodobnie dopiero problemy z prostatą zagłuszają w mężczyznach codzienną potrzebę obnoszenia się o świecie z efektami krążenia. I dopóki w glorii testosteronowej chwały nie wkroczą do łazienki, dopóki nie wcisną spłuczki, dopóty są jurnymi juhasami, greckimi

bogami o naoliwionych ciałach, aktorami niemieckich pornoli z lat osiemdziesiątych. I jak co rano za zamkniętymi drzwiami łazienki doznają przemiany, i znów zaczyna się kolejny dzień. Dzień jak co dzień.

Wróciłam do pokoju Kacpra, gdzie na łóżku leżało zdjęcie. A właściwie dwa zdjęcia. Kiedy się podnosiłam, musiałam o nie zahaczyć, bo rozdarło się idealnie wzdłuż zgięcia. Po jednej stronie ja. Po drugiej on. No i po rozwodzie.

Wpatrywałam się w obie fotografie. Każde z nas z osobna wygląda na szczęśliwego człowieka, na kogoś, kto zachłystnął się możliwościami, kto ma milion pomysłów na życie, kto dopiero zaczyna. Ale wystarczy, że zbliżam do siebie obie połówki i momentalnie opada z nas zauroczenie światem, ulatnia się cała energia, a szanse kurczą się do rozmiaru obrączki. Może to był właśnie koniec naszego początku, tylko sami o tym wtedy nie wiedzieliśmy? A może jednak początek końca zaczął się w dniu, w którym Wojtek złapał bakcyła futbolowego, podczas tamtych wakacji na Mazurach?

– Marta, nie ma ciepłej wody! – głos Wojtka zadudnił wewnątrz kabiny prysznicowej, przebił się przez szum prysznica i choć doleciał do mnie nieco niewyraźny, to jednak z dostrzegalną nutą oburzenia. Że niby co ja mam na to poradzić? To pewnie znowu piecyk gazowy, przy którym, owszem, mogłam grzebać, ale zanim zaszłam w ciążę. Teraz radź sobie sam. A zresztą po co mu ciepła woda? Jest ze czterdzieści stopni w cieniu, najrozsądniej byłoby napełnić wannę kostkami lodu i przesiedzieć w niej, dopóki słońce nie zajdzie. A potem położyć się od razu do łóżka i przespać, choć raz przespać całą noc.

Nic z tego. Przede mną dzień na przygotowanie mieszkania i Kacpra na przetrwanie beze mnie kilku dni, spakowanie małej walizki, a wieczorem – na dworzec. Przydałaby mi się jakaś książka na podróż i może netbook do pracy... Szlag, netbook! Poderwałam się i poleciałam na balkon z nadzieją, że komputer jeszcze się tam nie rozpuścił. „Poderwałam się i poleciałam” w wersji kobiety w siódmym miesiącu ciąży wygląda mnie więcej tak: zsunęłam się na krawędź łóżka, opuściłam stopy na chłodną podłogę i odczekałam, aż krew znów zacznie w nich krążyć, potem cały ciężar ciała oparłam na lewej dłoni, prawą wypchnęłam plecy na wysokości korzonków i dźwignęłam nasze dwa ciała i przelewającą się toń wód płodowych. Kiedy już udało mi się wyprostować, westchnęłam i przytrzymując się ręką ściany, popęzłam w stronę drugiego pokoju. Na balkon dotarłam pięć mrozących krew w żyłach okrzyków Wojtka później. Lodowaty prysznic to znacznie lepsze rozwiązanie, niż rozgrzany do czerwoności netbook, pomyślałam, kiedy chwyciłam go przez suszące się prześcieradło i wciągnęłam do mieszkania.

Podobno wasze relacje małżeńskie są wypadkową relacji waszych rodziców. Oznacza to mniej więcej tyle, że bez względu na to, jak bardzo chciałabyś zachować się w danej sytuacji inaczej niż twoja matka, zawsze powielisz znany ci schemat. Straszne? Gorzej będzie, gdy pierwszy raz usłyszysz od niego, że wdalaś się w mamusię. Dlatego uprzedź go i znokautuj stwierdzeniem, że zachowuje się dokładnie jak jego ojciec. Nieważne, że nie wiesz do końca, o co chodzi. Ważne, że trafiłaś w czuły punkt!

– Jak to jedziesz? Dokąd? Po co? Kiedy? Z kim? Musisz? Na jak długo? Zwariowałaś?! Zostawiasz Kacpra samego?

Poznajcie moją mamę – kobietę, która wyrzuca z siebie więcej słów na minutę niż gwiazdy rapu. Nie zdążyłam odpowiedzieć na ani jedno jej pytanie, bo już zasypała mnie kolejnymi. To zdumiewające, że po trzydziestu ośmiu latach wciąż mnie zadziwia, w przeciwieństwie do ojca nie zdążyłam się jeszcze do tego przyzwyczaić. Opracowałam swój własny sposób na komunikację z mamą – po prostu cierpliwie przeczekuję pierwszy kwadrans jej monologu, czytając książkę albo odpisując na maile. Ona sama daje sygnał, że gotowa jest już ze mną porozmawiać, milknąc na dwie do pięciu sekund, jak teraz.

– Mamo, przecież mówiłam ci o książce, pamiętasz? Taki wyjazd jest czymś zupełnie normalnym dla pisarza, którego książka świetnie się sprzedaje.

Zauważyłyście? Jedno zdanie, w którym przemyciłam dwie istotne informacje – po pierwsze, że jestem pisarką, po drugie – bestsellerową pisarką! W dodatku uczyniłam to, wcale się nie chwając, chociaż mogłabym, skoro jestem jedynaczką.

– Jakiej książce? Ach, tej, co mi przysłałaś? Jeszcze nie skończyłam, wiesz, tyle mam teraz na głowie. Dzisiaj rano twój ojciec...

Nie zauważyła, może jednak powinnam zachować się jak na jedynaczkę przystało? Przez kolejne dziesięć minut słuchałam opowieści o tym, jak tata zatruwa jej życie, oduczając się zatruwać swoje. Biedak, ostatnio znów rzucił palenie – tym razem dla wnuczki – w czym rzekomo ma mu pomóc e-papieros. Kibicuję mu w rzucaniu od pół roku, od kiedy sama nie palę, ale wcześniej, podczas odwiedzin u rodziców, nieraz sama paliłam z nim ukradkiem za żywopłotem. Na koniec obiecałam mamie, że będę dzwonić z podróży, a Kacper będzie jej telefonicznie zdawał raporty z tego, co i o której jadł. Chciałam jeszcze wspomnieć o Beacie i dziecku, ale zdążyła już odłożyć słuchawkę.

Mój wewnętrzny magister psychologii zapewnił mnie, jak zresztą czyni to po każdej rozmowie z mamą, że tak naprawdę jest ze mnie dumna, ale nie potrafi wyrazić tego wprost. Od kiedy skończyłam studia, relacje matka – córka znacznie nam się poprawiły. Może teraz powinnam iść na kolejne, tym razem ze względu na relacje małżeńskie?

– Chcesz kawy? – Wojtek zajrzał do pokoju, szczelnie opatulony szlafrokiem. – Tak zmarzłem pod prysznicem, że muszę się rozgrzać. Trzeba coś w końcu zrobić z piecykiem! Tak dalej przecież być nie może! Boże, jak mi zimno. Wyjdę na chwilę na balkon. Przypilnuj kawiarki, co?

Oto jak gładko przechodzi się od „Chcesz kawy?” do „Przypilnuj kawiarki”. Do tego niepotrzebne są żadne studia, wystarczy być mężczyzną.

Na słońcu małżonek wytrzymał niecałą minutę. Minęliśmy się w drzwiach kuchni – on szlafrokiem trzymany w ręku ocierał skronie z potu, ja zakrywając sobie usta dłonią, biegłam do łazienki, byle dalej od zapachu gotującej się kawy. Czasami udaje mi się ją wypić, czasami nawet utrzymać w żołądku, ale kawa bez papierosa to żadna frajda. Dlatego uzależniłam się od inki, podobnie zresztą jak od piwa bezalkoholowego, które wciąż – ku zgrozie Wojtka – piję.

Od kiedy przeczytał uważnie etykietę, a na niej informację „może zawierać do 0,05% alkoholu”, patrzy na mnie potępiająco i każdy łyk staje mi w gardle. Jakoś sobie jednak z tym radzę, w końcu jestem już dużą dziewczynką. Dużą, większą, coraz starszą dziewczynką, która bawi się w późne macierzyństwo. Jako czterdziestodwulatka będę siedziała całymi godzinami w piaskownicy, przesypując piasek z dwudziestoletnimi babeczkami, a kiedy mała powie do mnie głośno: „mamo”, na chwilę w gronie matek i opiekunek zapadnie krępująca cisza, bo wszystkie będą próbowały sobie przypomnieć, czy nie nazwały mnie przypadkiem doskonale zakonserwowaną babcią. Kiedy moja córka zacznie umawiać się na pierwsze randki, ja będę pewnie przechodzić klimakterium, podczas gdy ona będzie przejmować się trądzikiem, ja zmarszczkami i siwym odrostem, ona pierwszy raz się zakocha, a ja... Tylko nie mówcie mi, że dzieci to cudowne remedium na nudę i starość i że nic tak nie odmładza człowieka. Cóż, człowieka może i tak, ale nie kobietę. Nas odmładza tylko miłość, spa i krem liftingujący, na który nas nie stać. Zamiast miłości mamy jednak zakupy i gotowanie obiadu, zamiast spa wannę z obłazącą emalią, no i krem, na który nas stać.

Och, krem! Znów o nim zapomniałam. Przynajmniej częste wizyty w łazience na coś się przydają. Ilekroć wpadam tu, by na chwilę zamknąć w objęciach sedes, moje spojrzenie błędzi po półkach z kosmetykami, gdzie w pierwszym rzędzie, najbliższej krawędzi, wyeksponowany tak, bym o nim nie zapomniała, stoi krem przeciw rozstępom. Święty Graal wszystkich ciężarnych, przy którym błędnie nawet obietnica życia wiecznego. Gdyby Faust był kobietą, diabeł miałby znacznie mniej pracy – wieczna młodość, modelowa figura, zero cellulitu i rozstępów i umowa klepnięta. I gwarantuję, że żadna by się nie rozmyśliła. Swoją drogą ciekawe, jak będę wyglądać, kiedy mała wreszcie opuści moją macicę... Nie, to jednak nie będzie ciekawe. Lepiej zmieńmy temat.

Kiedy już powiększycie swoją rodzinę, pamiętaj, by nie zawłaszczyć sobie dziecka. Wszystkie świetnie wiemy, że tylko matka odpowiednio zadba o niemowlę, ubierze je tak, by nie zmarzło i zarazem wyglądało po ludzku, nakarmi tym, co trzeba i o której trzeba, i uśpi w porze drzemek. Ale tę wiedzę zachowaj dla siebie – niech ojciec robi wszystko to co ty. Nieważne, że zamiast pajacyka ubierze dziecko w śpioszki, zapomni podać mu kaszkę albo pomyli pory snu. Ważne, że przynajmniej pozornie będzie uczestniczył w życiu waszego dziecka.

Na kuchennym stole, tuż obok termosu i podróżnego kubka, leży pusta kartka papieru. Wyrwałam ją z notesu jakiś kwadrans temu i od tego czasu wpatruję się w nią bez przekonania. Powinnam spisać Wojtkowi listę rzeczy, o których musi pamiętać przez tych kilka dni mojej nieobecności, wiecie, o takich drobiazgach jak na przykład obiad dla Kacpra albo obudzenie go rano do szkoły. Oczywiście mogłabym założyć, że skoro jest inteligentnym mężczyzną, to skojarzy moją nieobecność z brakiem jedzenia w lodówce. Od dawna jednak nie testowałam jego inteligencji i mam do niej dość ograniczone zaufanie. Zbyt dobrze za to pamiętam telefon, który zaczynał dzwonić, kiedy tylko zamykałam za sobą cicho drzwi – na tyle cicho, by nie obudzić śpiącego dziecka – i szłam do sklepu spożywczego. Nie, nie były to wyprawy na drugi koniec miasta do supermarketu, które zajmowałyby mi trzy godziny. Mówię o piętnastominutowej nieobecności, w przerwie między jednym a drugim karmieniem Kacpra, gdy ten najedzony i przewinięty spał beztroskim snem niemowlęcia. Wojtek radził sobie ze wszystkim, pod warunkiem że byłam w pobliżu. Problem zaczynał się, gdy zniktałam mu z pola widzenia. Mały jęknął przez sen – telefon, ułało mu się – telefon, marudził – telefon. Odbierałam od razu i grzecznie wracałam prosto do domu, co zazwyczaj wymagało po prostu wejścia z powrotem na górę, bo na ogół nie zdążałam nawet wyjść z klatki. No ale to w końcu niemowlę, każdy byłby na początku spanikowany, gdyby został z nim sam na sam, powiecie? Jasne, rozumiem. Ale co, gdy małżonek nie może znaleźć sera żółtego? Tego samego, który leży na pierwszej półce w lodówce? Bo zasłonił go ketchup? Albo kiedy lodówka nagle się psuje, bo przecież żaróweczka nie świeci? Ta sama, którą wykręcił pół roku wcześniej, żeby przełożyć do nocnej lampki? Być może jego wysokie IQ jest uzależnione od mojej obecności w domu? A być może męska inteligencja nie uwzględnia podstawowych czynności życiowych? Same pytania i zero odpowiedzi. Być może dlatego, że my kobiety jesteśmy zbyt mądre, by ich udzielać? Po kilku relacjach damsko-męskich, latach obserwacji środowiskowej i doświadczeniu małżeńskim doszłam do wniosku, że całkowicie fałszywe jest założenie, że każdy mężczyzna poznający kobietę myśli tylko o zaciągnięciu jej do łóżka. Seks nie jest celem samym w sobie, tylko środkiem do osiągnięcia właściwego celu – przetrwania. I nie mam na myśli przetrwania gatunku ani uwarunkowań biologicznych, tylko zwykłego przetrwania kolejnego dnia, tygodnia, miesiąca... Gdybym to, co wiem teraz, wiedziała kilkanaście lat wcześniej...

– Tobym na pewno nie zaszła w ciążę – dokończyłam półgłosem, przykrywając dłonią dwie małe stopy wyłazące mi z lewej strony brzucha. Wstałam na chwilę i zakręciłam się w miejscu, przytrzymując się ręką stołu. Stara dobra szkoła mojej mamy, wysmiana przez położne i w pierwszej, i w drugiej szkole rodzenia. Nie ma prawa działać, ale jeszcze nigdy mnie nie zawiodła – mała momentalnie się uspokaja. Przynajmniej na chwilę, a tej właśnie potrzebuję, żeby zrobić osobną listę dla Kacpra – rzeczy zakazanych, o których nawet nie wolno mu pomyśleć. Na dobrą sprawę powinnam też zrobić zakupy i ugotować im obiady na tydzień, a potem upchnąć w zamrażarce w odpowiedniej kolejności. I wyszorować mieszkanie, żeby kolejne warstwy brudu, jakie tu narosną, nie wrosły w ściany. I wiecie co,

zrobiłabym to wszystko, dokładnie w tej kolejności, gdyby moja córka znów się nie ożywiła i nie wypchała mi tym razem paluchów przez skórę. Materiał tuniki napięty na brzuchu wybrzuszył się nagle, a ja mogłabym przysiąc, że mała pokazuje środkowy paluszek w ramach solidarności ze swoją matką. Masz rację, pomyślałam, chrzanię to. Kacper jest na tyle duży, że bez problemu zadzwoni do pizzerii, więc z głodu mi nie padnie. A jeśli będzie na tyle dobry, że zamówi coś i dla ojca, Wojtek też nie padnie z głodu. Najwyższy czas, żeby wreszcie zajęli się sobą!

– Marta, a co z łóżkiem? – głos Beaty, dotąd zawsze spokojny, jeśli nawet nie nieco anemiczny, zabrzmiał teraz nerwowo. Powiedziałabym nawet „histerycznie”, gdybym jej tak dobrze nie знаła.

– Nie wiem, to zależy, co masz na myśli – odparłam, przyciskając telefon policzkiem do ramienia. W jednym ręku trzymałam pędzelek do lakieru do paznokci, a drugą machałam z dala od twarzy, żeby dziecko nie nawdychało się oparów. W tym upale lakier wbrew zapewnieniom na etykiecie zamiast błyskawicznie schnąć, zastygał w nierówne pasma. Wokół dłoni z pomalowanymi paznokciami zaczęła wirować muszka owocówka. Pewnie zaraz mi się przyklei i będę musiała potem udawać, że to takie ekstrawaganckie zdobienie.

– Jakie mam kupić? Takie ze szczebelkami czy od razu tapczanik? A może sofę narożną, żeby miał więcej miejsca? A jak się przekręci w nocy i spadnie z łóżka? Boże! To może lepiej taki kojec, co?

Tak właśnie kończy każda normalna kobieta, która ma odpowiednio poukładane priorytety i wie, że spokojne życie – wystarczy zostać matką, a wszystko staje na głowie. Wyobraziłam sobie nagle, że odtąd nasze rozmowy będą dotyczyć tylko i wyłącznie dzieci: pieluch, kup, drzemek, czkawek, sklepów z ekologiczną żywnością, wywiadówek, kolonii, matury – i się rozłączyłam. A raczej rozłączyłabym się, gdyby to nie była moja najlepsza przyjaciółka. Takie rzeczy można robić mężom, ale nie przyjaciółkom.

– Przecież z Kuby jest już stary koń, w zupełności wystarczy mu ten tapczanik, który stoi w najmniejszym pokoju. Po prostu dosuń go do ściany, a przy nim postaw jakiś niski stolik albo kufer i obłóż poduchami. Nawet jakby się bardzo starał, nie spadnie, a przesuwający się nocą kufer z pewnością cię obudzi.

Powinłam prowadzić porady: „Jak zostać idealną matką w jeden tydzień, czyli wszystko, co powinnaś wiedzieć, zanim odstawisz tabletki”. Może nawet o tym będzie moja kolejna książka, na której zbiję kolosalny majątek i dzięki temu kupię sobie mieszkanie zaraz po tym, jak już się rozwiodę z Wojtkiem? Wtedy nawet stać mnie będzie na całodobową nianię i znów poczuję się przede wszystkim jak kobieta, a nie jak żona, matka i macica.

– Wiem, nie powinnam panikować, w końcu wszystkie sobie z tym jakoś radzimy. Na szczęście udało mi się uniknąć okresu, kiedy mały barbarzyńca na zmianę tylko śpi, je, krzyczy i brudzi pieluchy. Roczny dzieciak przynajmniej jest już odchowany, ucywilizowany i wie, do czego służy nocnik. I taki bardziej kontaktowy, nie ślini się i nie wydziera bez powodu jak...

– Nie kończ, proszę cię. Rozmawiasz z kobietą, która jest w siódmym miesiącu ciąży – trochę wrażliwości! Poza tym nie byłabym taka pewna, czy łatwiejszy w obsłudze jest dzieciak ośmiodniowy, ośmioletni, czy osiemnastoletni. Powiem ci, jak wrócę. Przez ten tydzień nabiorę dystansu do Kacpra i Wojtka i być może nawet za nimi zatęsknię.

Ostatni raz machnęłam ręką i przyjrzałam się paznokciom. Jeśli mam wyglądać jak pisarka,

kobieta sukcesu, będą wymagały jeszcze jednej warstwy lakieru. Zanurzyłam pędzelek w buteleczce. Okazało się, że muszka, która zniknęła mi wcześniej z oczu, poszła na całość i popełniła samobójstwo w lakierze. Teraz właśnie powoli zasychała na moim paznokciu. Przy odrobinie szczęścia do buteleczki wpadnie jeszcze dziewięć owocówek – po każdej na jeden palec. Spojrzałam krytycznie na niepomalowane paznokcie lewej stopy, którą w przeciwieństwie do prawej wciąż jeszcze dało się zauważyć, a to i tak tylko dlatego, że siedziałam z jedną nogą opartą o dosunięte krzesło. Podniesienie drugiej przekraczało moje możliwości. Do tej pory do malowania paznokci stóp wynajmowałam Kacpra – kto wie, być może dzięki temu zostanie światowej sławy pedikiurzystą i będzie mnie utrzymywał na stare lata?

– Racja, wyjeżdżasz dziś, żeby wieść światowe życie w blasku kamer. Odezwij się, jak już dojedziesz na miejsce, albo lepiej ja zadzwonię do ciebie. Nie wyłączaj tam telefonu, co? Mogę cię potrzebować. No i powodzenia, to znaczy złam nogę czy coś w ten deseń.

To miłe – wiedzieć, że ktoś mnie potrzebuje. Kacper jest coraz bardziej niezależny, Wojtek ma po prostu dwie lewe ręce i potrzebuje mojej prawej, żeby przetrwać, rodzice już dawno wypuścili mnie ze swojego gniazda i bez reszty poświęcili się psu. Mogłabym w tej sytuacji poczuć się zbędna, gdyby nie jeden drobny fakt schowany w moim brzuchu. Rozczuliłam się na jedną zdradziecką chwilę, która wpuściła z powrotem poczucie obowiązku, jakiego nabywa się wraz z urodzeniem dziecka, i znów spojrzałam na pustą kartkę, która miała mnie zastąpić przez tych kilka dni. Najpierw spisałam siedmiopunktową listę zestawów obiadowych, następnie każdy z nich szczegółowo opisałam – gdzie, co, kiedy i za ile kupić, a potem dodałam appendiks ze sposobem przyrządzenia. Po namyśle zweryfikowałam ostatnią część i rozbudowałam ją o uwagi w stylu: „Dwie torebki ryżu wsadź do garnka z niebieską rączką, zalej zimną wodą z połową łyżeczki soli, przykryj pokrywką, ale nie całkowicie, i wstaw na mały gaz; od momentu zagotowania wody trzymaj na gazie przez dwadzieścia minut; wyłącz palnik, wyjmij torebki z ryżem, żeby odciekły w zlewie, odetnij róg nożyczkami i przesyp ryż na talerze; umyj garnek”. Przez moment zawahałam się, czy nie przykleić na karton z ryżem karteczki samoprzylepnej z informacją, że jest to ryż, a nie na przykład kasza, ale dałam sobie spokój. Nawet jeśli się pomyli, i tak nie zauważą różnicy, dopóki będą przekonani, że jedzą ryż. Męskie podniebienia funkcjonują specyficznie, nie kierują się smakiem, ale informacją – powiesz mu, że dziś na obiad pulpeciki krabowe z zupą tajską, a ogłosi strajk głodowy albo będzie podejrzliwie oglądał każdą łyżkę, zanim trafi nią do ust, a kiedy już trafi, skrzywi się niemiłosiernie. Ale wystarczy oznajmić, że zrobiłaś mu mielone z jarzynową – wciągnie wszystko bez mrugnięcia okiem. Zwłaszcza kiedy po powrocie z pracy bez zbędnego „cześć, dzień dobry, pocałuj mnie w...” od razu zasiada przed komputerem i przez pięć wieczorów w tygodniu zajmuje się typowaniem ligi, podczas gdy weekendy zostawia sobie na marzenia o wygranej bilecie na euro. A to – uwierzcie albo nie – zaczęło się w marcu 2010 roku.

Kropla potu wędrująca od dłuższej chwili wzdłuż linii włosów oderwała mi się od skroni i pacnęła w kartkę, rozmazując ostatnie słowo ze zdania o zmywaniu po obiadach. Upał wzrastał, pozostaje tylko znów przytulić się do wiatraka, który zostawiłam chyba w sypialni.

– Nie za gorąco ci? Może włączę? – Małżonek w samych gaciach, z odcisniętą poduszką na policzku stał przede mną z wiatrakiem w ręku.

Są takie momenty, kiedy doceniam jego obecność. Naprawdę.

Wojtek podrapał się po brzuchu, ziewnął i zanurkował pod stół, żeby dostać się do kontaktu. Przez chwilę widziałam tylko jego tyłek wystający spod blatu, tyłek w rozciągniętych

bokserkach w kotki, tyłek, na którym tuż nad linią gaci zauważyłam – poważnie! – cellulit. Matka natura jednak bywa sprawiedliwa, chociaż nieco przesadziła z moimi rozstępami. Jak tak dalej pójdzie, moja skóra będzie się składać wyłącznie z rozstępów. Ale mój mąż ma cellulit! Od razu mi lepiej.

– Z agentem spotykasz się dzisiaj czy jutro? – zapytałam niewinnym tonem i pierwsze, co usłyszałam, to soczyste „kurwa!”, kiedy wyrzwał głową w stół.

– Jakim agentem? – Wojtek wynurzył się spod blatu i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Nastawił wiatrak na największe obroty i stał się cud. Powietrze wreszcie drgnęło, poruszyło się i popłynęło niczym prawie chłodny powiew w stronę mojej twarzy. Cudownie!

– Nieruchomości. Przecież rozmawialiśmy o tym i uzgodniliśmy, że przez tych kilka dni urlopu poszukasz mieszkania.

To nadużycie z mojej strony, ja to wiem, wy to wiecie, ale Wojtek niekoniecznie. Jako klasyczny przedstawiciel płci męskiej nie ma podzielnej uwagi – wystarczy, że skoncentruje się na jednym, a reszta rozplywa się we mgle. Kiedy wykorzysta się odpowiedni moment, na przykład ten przed telewizorem w trakcie meczu, można wmówić mu wszystko. Teraz właśnie powinien gorączkowo próbować sobie przypomnieć, czy rzeczywiście to uzgodniliśmy. Zmarszczka na czole świadczy o tym, że pamięta o rozmowie o mieszkaniu, ale nie potrafi podać jej szczegółów, a co dopiero konkluzji. I tu cię mam, kochanie!

– To w końcu jutro czy dzisiaj, bo nie pamiętam?

Ze szkoleń i treningów, w jakie bawiliśmy się na studiach, zapamiętałam głównie technikę pytań zamkniętych. Umiejętnie zadane, sprawokują oczekiwaną odpowiedź.

– Jutro – wydusił z siebie, pocierając palcami nieogolony policzek. Mąż niekorporacyjny momentalnie wskakuje w wakacyjny wizerunek – rozciągnięte gacie, zarost i ziewanie bez zasłaniania ust. I jeszcze kilka innych rzeczy, które przez delikatność przemilczę, a które na pewno świetnie znacie.

– W takim razie zadzwonię jutro ze Szczecina i opowiesz mi, co oglądałeś. Kto wie, może nawet uda ci się od razu coś kupić, a przynajmniej zarezerwować? Zabawnie byłoby wrócić z podróży i udać się prosto do nowego mieszkania.

Nie, to wcale nie byłoby zabawne, chyba że ktoś odwaliłby za mnie całą brudną robotę, począwszy od opisania każdego kartonu z książkami, przez zdjęcie z regału płyt dokładnie w takiej kolejności, w jakiej je tam umieściłam, aż po zawinięcie w gazetę każdej lampki do wina. Jedną przeprowadzkę mam już za sobą. Pięć albo sześć lat temu, nie pamiętam dokładnie, Beata kupiła swoje obecne mieszkanie i dokładnie na tydzień przed oddaniem kluczy przez poprzednich właścicieli skręciła nogę w kostce. Dobrze, że tylko skręciła, zważywszy na to, że miała wypadek na quadzie podczas jednej z imprez integracyjnych. Wtedy zajęłam się organizacją jej przeprowadzki i całkiem nieźle mi poszło. Wynajęłam kilku chuderlawych studentów, którzy choć niezbyt mocni, okazali się jednak wytrzymali. Uginali się co prawda pod ciężarem kartonów i wypchanych toreb ikeowskich, ale nie zrobili sobie ani jednej przerwy, dopóki nie znieśli wszystkiego do ciężarówki. Wskoczyłam na miejsce obok kierowcy i pilotowałam go przez pół Krakowa, a chłopców zapakowałam do taksówki. Chciałam nawet wezwać dwie, ale oni tylko machnęli ręką i zapewnili, że zmieszczą się do jednej. I zmieścili! W sześciu! Jednak student krakowski w tamtych czasach miał skromniejsze rozmiary niż obecnie. Nic się po drodze nie zagubiło, nic nie zniszczyło i raz tylko odstąpiłam od rozrysowanego przez Beatę planu zagospodarowania mieszkania – kiedy okazało się, że na

rysunku nie uwzględniła jednej ściany, a konkretniej jej braku. Na końcu studenciaki pomogły wspiąć się po schodach świeżo upieczonej właścicielce mieszkania na czwartym piętrze, gdzie czekała na nią czerwona wstęga przymocowana do futryny. Chciałabym, żeby ktoś teraz odwalił za mnie całą robotę – znalazł nowe lokum i zajął się logistyką przeprowadzki, ale gdzie ja znajdę kogoś takiego? Obawiam się, że jestem unikatowa.

Kiedy musisz przez chwilę zająć się sobą, nie przejmuj się i po prostu to zrób. Świat się nie zawali, jeśli przez moment nie będziesz się skupiać ani na nim, ani na twoim partnerze. Twój związek tym bardziej nie.

Wieczorem, wyściskawszy Kacpra, który aż do ostatniej chwili udawał twardziela i kiedy przytulałam go na pożegnanie, machał tylko ręką, jakby odganiał się od muchy, cmoknąwszy małżonka w nadstawiony policzek, wsiadłam do taksówki i pojechałam prosto na dworzec. Właśnie zaczęła się moja podróż do sławy, kariery literackiej i pieniędzy, pomyślałam, a taksówkarz, patrząc sceptycznie na mój brzuch, przesunął do przodu fotel pasażera. Wojtek zatrzasnął klapę bagażnika, zamykając w środku cały mój tygodniowy ekwipunek, jaki bez problemu upchnęłam w walizce, i żegnajcie, obsrane krzeselka na placu! Żegnaj, obsikane przez miejscowych przejście podziemne! Żegnajcie, ekshibicjoniści nadwiślańscy! Żegnajcie, Cracovio i Wisło opatrzone wszelkimi przymiotnikami świata! Witaj, wielki świecie!

– Na dworzec poproszę.

Odpowiedziało mi tylko zdumione spojrzenie kierowcy w lusterku wstecznym.

– Na główny – dodałam, ale taksówkarz dalej wlepił we mnie zdziwiony wzrok.

Dopiero kiedy ruszył po chwili, nie odrywając oczu od mojego odbicia, a mimo to bezbłędnie omijając dziury, odezwał się:

– A nie do szpitala? Bo myślałem, że na porodówkę jedziemy.

Na moment mnie zatkało. Wiem, że jestem gruba, wiem, że jestem aż tak gruba, ale żeby tak człowiekowi prosto w twarz, bez przygotowania?

– A nie sądzi pan, że jakbym jechała na porodówkę, to mąż nie pożegnałby mnie przed domem, tylko jechał ze mną? – Uśmiechnęłam się, nie z sympatii do kierowcy, ale na samą myśl o tym, że miałabym kiedykolwiek znów jechać na porodówkę, i to z mężem. Nie, dziękuję bardzo. Jak tylko się umówię na konkretny termin w prywatnej klinice, poproszę Beatę, żeby mnie odwiozła.

– E, proszę pani, nie takie rzeczy ja w tym samochodzie widziałem.

I zaczęło się. Postanowiłam słuchać go do momentu, w którym dojdzie do tego, jak to własnymi rękami odebrał poród na tylnym siedzeniu, „o czym świadczy, o, tu niech pani sama spojrzy, plama krwi, co to się nie sprąła z tapicerki, ja wiedziałem, że tak będzie, pożałowałem tego kursu, jak tylko zobaczyłem tę parę na ulicy, nawet chciałem ich wyminąć i podesłać innego frajera, ale nie dało się, gość, wie pani, normalnie na maskę mi wskoczył, aż wycieraczka potem nie chciała chodzić, no i kiedyśmy w połowie trasy byli, słyszę z tyłu...”

Moment o odbieraniu porodu nastąpił zdecydowanie szybciej, niż zakładałam, przestałam go słuchać, zanim zjechaliśmy z mostu. Na ulicach było cicho i spokojnie, upał wreszcie odpuścił i przez uchyloną szybę wpadało do środka rześkie powietrze. W świetle lamp wisały słupy komarów, młodzi obściskiwali się pod drzewami, a nad Wisłą dwie cierpiące na bezsenność staruszki karmiły chlebem łabędzie. Za ławeczką, na granicy mroku i światła padającego z lamp na moście, stał jakiś biedny gość w płaszczu. Liczył chyba jedynie na dwie stare kobiety, ale te najwyraźniej niezbyt dobrze widziały po zmroku, bo ukłoniły mu się tylko uprzejmie. Zjechaliśmy z mostu, prosto w pustą ulicę i rząd kamienic o otwartych oknach. Na parapetach siedziały dzieciaki, w ciemnościach żarzyły się końcówki papierosów, a w tle migotała niebieska poświata telewizorów. Nad co drugim sklepem całodobowym z alkoholem

wisiał logo euro albo przynajmniej flaga z napisem: ekstraliga-ekstraklasa. Na ławce na przystanku leżało trzech wtulonych w siebie mężczyzn splecionych jednym szalikiem w barwach Cracovii albo Wisły, albo czegoś tam innego. Porzucone papierowe piszczałki i plastikowe gwizdki spływały ulicami z wodą, którą dozorca wylewał z węża prosto na chodnik przed kamienicą. Kiedy stanęliśmy na światłach, zza otwartego okna doleciały do mnie słowa kobiety rozmawiającej przez telefon: „Powiedziałam mu – wybieraj, albo ja albo ona – i wyobraź sobie – wybrał ją. Swinia! Rzucił mnie dla piłki nożnej. Mnie!”.

Zrobiło mi się jej żal, jak i wszystkich kobiet, które doświadczają tego samego. Ale nad sobą roztkliwiać się nie będę, w końcu wzięłam sprawy w swoje ręce – i proszę, oto kim jestem: niezależną kobietą, która nawet przed czterdziestką, nawet w ciąży, nawet z dodatkowymi trzydziestoma kilogramami potrafi powiedzieć „dość tego”. Słowa taksówkarza zamieniły się w jednostajny szum, przerywany od czasu do czasu „no i wie pani”, a ja rozparta na tylnym siedzeniu czułam się, jakbym zaczynała nowe życie. Gdzieś tam w środku dryfowała moja córka uśpiona jednostajnym szumem silnika albo monologiem kierowcy, i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, po raz pierwszy pomyślałam o niej jako zupełnie niezależnej istocie, która za dwa miesiące w drodze powrotnej z kliniki będzie jechała obok mnie, która za trzy lata będzie opowiadać w totalnie niezrozumiałym dla mnie języku o tym, co się działo w przedszkolu, a za dwanaście lat z dziewczynki zacznie powoli stawać się kobietką. Ona i ja. Ja i ona. Zawsze będziemy związane, wiecie, o co mi chodzi, ale przecież tak naprawdę każda z nas jest zupełnie niezależnym istnieniem. Ja już swoje przeżyłam, ona ma to wszystko przed sobą. I jeśli kiedykolwiek zapyta mnie, kiedy po raz pierwszy pomyślałam o niej jako o człowieku, kiedy po raz pierwszy ją w pełni zaakceptowałam, to chyba odpowiem, że 15 czerwca 2012 roku w taksówce, gdzieś w okolicy Poczty Głównej.

– Telefon!

Oprzytomniałam i spojrzałam na kierowcę, który dodał:

– To nie mój, więc to musi być pani.

Rzeczywiście, coś dzwoniło, ale wcale nie jak mój telefon. Może ta rodząca prócz krwi zostawiła mu pod tapicerką coś jeszcze? Na wszelki wypadek, a właściwie raczej po to, by udowodnić mu, że to nie do mnie ktoś dzwoni, wyjęłam z torebki komórkę. Miałam rację, nikt do mnie nie dzwonił, za to na podświetlonym ekranie migotał napis: WIZYTA U LEKARZA. Niech to szlag, zapomniałam, że jutro mam badania kontrolne!

– No i dali mu na drugie Tadek, po mnie – obwieścił z dumą na koniec historii taksówkarz i zatrzymał się tuż koło windy na najwyższym poziomie dworca. Zapłaciłam, wyciągnęłam rączkę walizki, którą gość wyjął z bagażnika, wcisnęłam przycisk windy i zaczęłam zastanawiać się, czy coś się stanie, jeśli przełożę wizytę o tydzień. Przecież nie urodzę, nie? Ale miałam mieć USG właśnie teraz, a nie tydzień później. Niby nic to nie zmienia, ale jeśli jednak zmienia? Podczas pierwszej ciąży wiedziałam wszystko. Mogłam recytować z pamięci, co dzieje się z Kacprem przez dziewięć miesięcy tydzień po tygodniu, uprzedzałam mojego lekarza, pytając o terminy poszczególnych badań, a teraz jedyne, co wiem, to że od siódmego miesiąca nie wpuszczają na pokład samolotu. I dlatego właśnie czeka mnie czternaście godzin w pociągu...

– Jestem – oznajmiłam Marianowi, niemal stawiając mu walizkę na stopie.

Nie zauważył mnie, prawdopodobnie jako jedyny człowiek na dworcu. Od windy musiałam jeszcze przejść spory kawałek do kasy, pod którą się umówiliśmy. Szłam samym środkiem i gdyby nie to, że było pusto, a pojedynczy pasażerowie grzecznie czekali na swoje pociągi na

fotelach pod ścianą, roztrąciłabym wszystkich jak kula na torze do gry w kręgle. Parłam, kolebiąc się odrobinę na boki, najpierw szedł mój brzuch, potem biust, a za nimi reszta. Pochód zamykał wielki tyłek, który nagle, jak wysiadłam z taksówki, zrobił się jeszcze większy w tej kolosalnej spódnicy dla zdecydowanie zbyt hojnie wyposażonych przez naturę kobiet. Zauważyłyście, że walizki na kółkach prowadzone przez grube osoby wydają zupełnie inny dźwięk? Jakby same ważyły o trzydzieści kilogramów za dużo. Miałam wrażenie, że jestem tu jedynym człowiekiem, który sapie, poci się, dyszy, chrapliwie oddycha i cały się lepi. Sądząc po spojrzeniach, które lgnęły do mnie, jak szłam korytarzem, zapewne tak właśnie było. Już z daleka zobaczyłam Mariana opartego nonszalancko o nieczynną kasę. Obok niego stał plecaczek, z jakim mój syn zwykł chadzać do szkoły, na uszach miał gigantyczne słuchawki, splątany gruby kabel zniknął w jednej z kieszeni czarnych bojówek. Jeszcze kilka kroków bliżej i odkryłam, że Marianowi rozmazała się nieco demoniczna kreska pod okiem, a w nosie tkwił mu sporej wielkości kolczyk. Ale to jeszcze nic w porównaniu z wypolerowanymi na błysk martensami. Boże, dobrze, że nie śpimy w tym samym przedziale! Nie chcę sobie nawet wyobrażać, jak on zdejmie te buty.

– Już myślałam, że pani zrezygnowała, pani Marto. – Uśmiechnął się zrezygnowany, odsuwając stopę od mojej walizki i wycierając ukradkiem czubek martensa o nogawkę spodni. – Bilety już mamy, możemy zająć miejsca w pociągu. Chyba że chce pani coś jeszcze kupić na podróż?

Teraz jedyne, czego potrzebowałam, to toaleta, nawet dworcowa. Każda jest lepsza od tej w wagonie. Zostawiłam walizkę mojemu cerberowi i znokautowałam grupkę harcerzy, którzy próbowali sforsować przede mną drzwi do łazienki. Kobieta ciężarna może i bywa niezdarna, może i niemrawo się porusza, może i dostaje zadyszki po zrobieniu jednego kroku, ale kiedy już wie, że MUSI udać się do toalety, nic ani nikt jej nie powstrzyma. Nawet pani schowana za stosikiem rolek papieru, która właśnie kłóci się z trzema ubzdryngolonymi, a sądząc po akcencie, brytyjskimi kibolami. Zniknęłam w kabinie, nie zastanawiając się nawet nad tym, co trzech gości robi w damskiej łazience ani co miała na myśli pani, pokazując mi palcem napis na tabliczce: „Opłata przed skorzystaniem”. Uznałam, że jest zbyt rozkojarzona tłumaczeniem po polsku panom nie mówiącym po polsku, że za takie przyjemności to się płaci, by zwrócić na mnie uwagę. W kabinie chwilę pokontemplowałam napis na drzwiach uczyniony niewątpliwie kobiecą ręką:

DZIĘKI CI PANIE ZA TO PIEPRZONE EURO. WRESZCIE MOŻNA CHWILĘ ODPOCZAĆ OD FACETÓW.

Jedną niebotyczną ulgę później podeszłam do niej grzecznie z monetą w palcach, ale zanim wrzuciłam ją na coś, co wyglądem przypominało starą popielniczkę, za stosem papieru dojrzałam róg dobrze znanej mi książki. Uśmiechnęłam się do pani, dając jej do zrozumienia, że oto ma przed sobą autorkę powieści, którą właśnie czyta, ale kobieta prześlizgnęła się po mnie wzrokiem i wróciła do lektury.

– Dobra książka? – zapytałam, nie doczekawszy się błysku zrozumienia w jej oku i prośby o autograf.

– A, taka tam. Córka zostawiła, jak ostatnim razem do mnie zajrzała. Czytam, bo... A pani właściwie to z inspekcji pracy czy od szefa? – odezwała się nagle oskarżycielskim tonem i palcem zsunęła okulary na czubek nosa, przywołując mi wspomnienie pewnej polonistki, która zatrąła mi życie w szkole podstawowej. Czyżby to była ona?! – To już nawet ciężarne do kontroli zajmują? Skandal!

Nie, to nie może być moja nauczycielka, pomyślałam, wrzucając pospiesznie monetę do popielniczki. Nie, to na pewno nie jest moja nauczycielka, doszłam do wniosku, kiedy Marian taszczył walizkę po schodach, a ja trzymając się kurczowo poręczy, wtaczałam się na peron. Nie, polonistka z pewnością już od dawna nie żyje, upewniałam się, przyglądając się konduktorce, która oglądała nasze bilety.

– Miejsce trzydzieste drugie i trzydzieste szóste, przedział małżeński, piąte drzwi – przytrzymała mi drzwi do wagonu, kiedy postawiłam stopę na pierwszym schodku. – No, niechże pan pomoże żonie! – dorzuciła zirytowana, kiedy Marian wpatrywał się w całkowicie nieczytelny z tej odległości rozkład jazdy.

Szłam wąskim korytarzem wagonu sypialnego po spranym dywaniku z ledwo przebijającym się tu i ówdzie napisem Wars i starałam się nie myśleć o sensie kryjącym się pod definicją przedziału małżeńskiego. Za mną bezszelestnie szedł redaktor, słyszałam tylko jego przyspieszony oddech, jakby miał zaraz się hiperwentylować. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jechałam kuszetką, moje wspomnienia były raczej blade i koncentrowały się głównie na chłopaku, z którym spędziłam w przedziale całą noc. Oddech Mariana przyspieszył. Chyba wówczas podróżowaliśmy sami, bo dwa dodatkowe łóżka były puste. Zatechła klitka, niewiele większa od kabiny prysznicowej, miała zapewne zgniłozielone zasłonki, zza których od samego świtu przebijało słońce. Nie przeszkadzało mi to wtedy, ale byłam młodsza, mniej wymagałam od życia, a tamten chłopak absorbował mnie na tyle, że nie zwracałam uwagi ani na szerniałe lustro z wytartym logo PKP uniemożliwiające przejrzenie się każdemu, kto ma więcej niż metr pięćdziesiąt sześć i mniej niż metr pięćdziesiąt sześć, ani na niemiłosiernie skrzypiącą drabinkę.

Marian odezwał się dopiero, kiedy weszłam do przedziału i natychmiast wycofałam się na korytarz, a właściwie wypchnął mnie tam zaduch nagrzanego wnętrza.

– Bilety kupowała nasza stażystka. Mówiłem jej, żeby wzięła jeden w męskim, a drugi w damskim, ale...

Resztę zdania zagłuszyła roleta, którą podniósł, żeby otworzyć okno. Do środka wpłynęło przyjemnie chłodne powietrze, a zaraz po nim zapach dworcowej toalety, która mieściła się gdzieś pod piątym peronem. Musiałam wejść do przedziału, bo korytarzem sunęła kolumna turystów z walizkami, plecakami, torbami, wózkami spacerowymi, psami, dziećmi i teściami. We wnęce po lewej stronie Marian postawił moją walizkę, swoje rzeczy wrzucił od razu na górne łóżko, wyjął z kieszeni bojówek książkę, wskoczył na drabinkę i tyle go widziałam. Nie było aż tak źle, dało się usiąść bez obawy o dekapitację krawędzią górnej pryczy, pościel wyglądała na czystą, a mała lampka nad poduszką działała, jeśli uderzyłam w przycisk wystarczająco mocno. Na blacie pod oknem zostawiłam torebkę i wyjrzałam na korytarz, by ocenić odległość od toalety. A jeśli to rzeczywiście była moja nauczycielka? Boże, jak dobrze, że nie poszłam na polonistykę, pomyślałam, kładąc się z jękiem na łóżku.

– Wszystko w porządku? – Marian wychylił się i spojrzał na mnie z nadzieją, że usłyszy „nie”, a potem szybko chwycił moją walizkę i swój plecak, prędko otworzył drzwi przedziału i migiem opuścimy wagon, by w tempie ekspresowym znaleźć się w domu.

Nie usłyszał. Uśmiechnęłam się tylko do niego, poklepując się znacząco po brzuchu, i przymknęłam oczy. Jakoś przetrwam tę noc, a jutro rano obudzę się jako sławna pisarka, która rozdaje autografy rozentuzjanzmowanemu tłumowi zachwyconych czytelników...

Pod poduszką zabuczał telefon. Łóżko Mariana zajęczało nad moją głową, kiedy obrócił się na drugi bok i sprawdził swoją komórkę. Po chwili zajęczało ponownie, kiedy przekonał się,

że to nie do niego, i wrócił do poprzedniej pozycji. Dobrze, że przynajmniej nie zdjął butów, do szczęścia wystarczy mi sam dźwięk jego trzeszczącego łóżka zawieszzonego jakieś dwadzieścia centymetrów nad moim brzuchem. Sięgnęłam po telefon. Albo Wojtek nie może znaleźć pidżamy Kacpra, bo nie przyszło mu do głowy zajrzeć pod kołdrę, albo Beata postanowiła kupić małemu huśtawkę i nie wie, jaką wybrać. Albo znowu wygrałam samochód, wystarczy tylko, że wyślę SMS pod numer...

„Dobranoc mamusiu”.

Och, i co ja tu robię? Ja chcę do domu! Wysiadam. Natychmiast. Moje łóżko nie wydało najmniejszego dźwięku, kiedy próbowałam się podnieść na łokciach. Za to prycza nade mną znów zatrzeszczała, gdyż zawadziłam o nią moją córką. Zaklinałam się, ugrzęzłam tu na wieki, będę jeździć tym pociągiem w nieskończoność, a przynajmniej dopóki nie urodzę. Opadłam z powrotem na łóżko i z trudem przekręciłam się na bok. Teraz było łatwiej. Teraz było za późno. Pociąg ruszył. Za zasłonką przesunął się podświetlony napis „Kraków Główny”. Właśnie zaczęłam podróż, właśnie zostawiłam mojego synka samego w domu. Samego z ojcem. Nie wiem, co gorsze. Och, muszę iść do łazienki. To jest gorsze.

Każdy związek z czasem zaczyna wytracać początkowy pęd zakochania, wszystko zwalnia, dzień płynnie przechodzi w noc, ta w kolejny dzień, a ty budzisz się pewnego dnia i zastanawiasz, kiedy twój partner zdążył wyłysieć. Zanim się to stanie, zanim jemu przyrosną kaptcie do stóp, a tobie do ciała szlafrok – zaszalejcie. Kupcie bilety dokądkolwiek i pojedźcie na dzień albo dwa, wyrwijcie się na chwilę z codzienności! Zmiany są ważne, zmiany są pożądane.

Z wielu elementów składających się na tamtą noc w pociągu, którą będę wspominać do końca moich dni, najgorsze były trzy związane z korzystaniem z toalety. Wbrew moim obawom najbardziej kłopotliwa nie była wcale sama wizyta w łazience, często okupowanej przez kibiców podróżujących na północ, nawet nie potrzeba udania się tam, która budziła mnie pospołu z kibicami podróżującymi na północ równo co kwadrans, ale rozpaczliwe próby wstania z łóżka, równo co kwadrans. Pociągi zdecydowanie przeznaczone są wyłącznie dla normalnych użytkowników – takich, co to mają standardowy wzrost i wagę, dwie ręce i nogi, nie używają wózków inwalidzkich, wózków dziecięcych, wózków na zakupy ani nie mają problemów z pęcherzem. No i nie są w ciąży. Łóżko było twarde jak deska, ale jak tylko na nim usiadłam, zapadło się pod moim ciężarem. Chwyciłam się kurczowo krawędzi i ostrożnie się położyłam. Wody płodowe wraz z córką zakołysały się niebezpiecznie, wprawiając w radosne drżenie mój pęcherz moczowy, który nie czekając nawet, aż zostawimy za sobą peron, zaczął mi dawać mało subtelne sygnały. Na początku go ignorowałam, ale zaraz potem gdy pomiędzy moim łóżkiem a łóżkiem Mariana zaklinował mi się brzuch i musiałam przewrócić się na bok, żeby w ogóle pomyśleć o wstaniu, pęcherz zasugerował, żebym się pospieszyła. Leżałam przez chwilę na boku, wpatrując się w bordową kotarę zasłaniającą wnękę na walizkę. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby pomacać własny bagaż, albo i cudzy, jeśli jedzie się tym łóżkowcem z obcą osobą i wsłuchuje w jej chrapanie. Ja chyba naprawdę wyrosłam już z komfortu oferowanego przez PKP. Pociąg wytoczył się wreszcie z Krakowa i przyspieszył, drabinka schowana za zasłoną na każde szarpnięcie wagonem reagowała zgrzytem, a kiedy osiągnęliśmy stan jednostajnego rytmu, podźwiewała cicho jak uszkodzony dzwoneczek. Nie mam pojęcia, jak w ogóle można spać w pociągach. Nie mówię wcale o dusznych popołudniach w monotonnym stukocie kół i jednostajnym szumie, kiedy z zatłoczonych przedziałów przecieka płynna lepka senność, w którą niezauważalnie się wpada. Między jedną a drugą godziną przymyka się na sekundę powieki, głowa staje się zbyt ciężka, a obcy sobie ludzie tulą się do siebie jak dzieci. Kilka razy podczas podróży krakowsko-warszawskich budziłam się znienacka na cudzym ramieniu schowanym pod marynarką albo bluzą dresową i ukradkowo wycierałam obśliniony policzek. Niezbyt to komfortowe, zwłaszcza kiedy ktoś z naprzeciwka przygląda się temu ze źle ukrywaną fascynacją. Nie, mam na myśli całonocne podróże pociągami, przemieszczanie się z jednego końca świata na drugi i wizję kilkunastu godzin spędzanych w całkowitej beczynności. Kiedy można jedynie wpatrywać się w swoje odbicie w oknie i słuchać chrapania podróżujących w tym samym przedziale. Wtedy zaczynam myśleć o swoim łóżku, świeżo wypranym szlafroku wiszącym w łazience obok ręcznika i pachnącej czystością pościeli. Przymknęłam na chwilę oczy z nadzieją, że uda mi się nieco odwlec wizytę w toalecie, ale skoro już moje myśli zawędrowały do łazienki, nie pozostało mi nic innego jak zwlec się z łóżka. Złapałam się krawędzi i podniosłam głowę – jakoś poszło, teraz została mi już tylko reszta ciała.

Podnosiłyście kiedyś trzydziestokilogramowy wór z za wąskiej, zapadającej się pryczy? A leżałyście kiedyś pod trzydziestokilogramowym worem na za wąskiej, zapadającej się

pryczy i próbowałyście się podnieść?

Kiedy wreszcie udało mi się spuścić stopy na podłogę, byłam mokra od potu. Siedziałam na brzegu, zgięta tak, że brodę miałam wepchniętą między piersi, brodę, którą właśnie od dołu boksowała moja córka. Przestrzeń między łózkami ledwo pozwalała na swobodne siedzenie, więc najrozsądniej by było sturlać się z pryczy, a potem wturlać się z powrotem. Ta opcja nie wchodziła jednak w grę.

– Pani Marto, pomóc pani w czymś?

Głowa Mariana zwisała z łóżka, kiedy przyglądał mi się z dezaprobatą. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo jedyne, co w tamtej chwili widziałam, to własny brzuch i palce u stóp. Jęknęłam w odpowiedzi, że nie, nie trzeba, poradzę sobie sama, ale chyba zrozumiał coś innego, bo zeskoczył i wyciągnął do mnie rękę. To chucherko sądziło, że mnie podniesie! Aż zachichotałam sobie w biust. I wciąż chichocząc, chwyciłam jego dłoń i... Nie stało się nic. On dalej stał, ja dalej siedziałam zwinięta w kokonik na brzegu pryczy i chichotałam – tyle że teraz nerwowo. Czerwony z wysiłku Marian zaparł się, chwycił się drabinki z sąsiedniego łóżka i znów pociągnął. Coś drgnęło, lód się skruszył, rzepka puściła i wreszcie stanęłam na nogach. Nie czekając, aż mój wybawca wpuści znów powietrze do płuc i coś wyjąka, pomknęłam do łazienki. Zabawne, prawda? Tak, za pierwszym razem, owszem, ale jechaliśmy jakieś dwanaście godzin, a mój złośliwy pęcherz podrywał mnie równo co kwadrans przez całą noc. Po dwóch godzinach z górnej pryczy dobiegło mnie niezbyt donośne, ale za to równe chrapanie, co uzmysłowiło mi, że nie mogę budzić go za każdym razem, kiedy chcę wstać, nawet wbrew jego zapewnieniom, że nie znosi spać w pociągach, że będzie słuchał muzyki całą noc i jest do mojej dyspozycji. W pierwszym odruchu cichutko zaskrobałam w łóżko nad moją głową, ale chrapanie nie zmieniło rytmu. No i musiałam poradzić sobie sama. Nie pierwszy raz i nie ostatni.

Łapy, łapy, cztery łapy.
A na łapach pies kudłaty.
Kto dogoni psa? Kto dogoni psa?
Cracovia! Cracovia! Cracovia!

Otworzyłam jedno oko i zerknęłam na wyświetlacz komórki: 1:08. Ryki zza ściany obudziły mnie dokładnie w połowie kwadransa przeznaczonego na drzemkę. Już wcześniej spotkałam kilku panów w drodze do łazienki. Żegnali się czule na korytarzu, trzech z jednego przedziału poklepywało po plecach trzech z drugiego, a ci przypijali do nich z butelki wciśniętej do papierowej i nieco zbyt wąskiej torby. Wówczas stopień ich zamroczenia nie był aż tak wysoki, by nie pomylić kobiety ciężarnej z kobietą po prostu. Wcisnęli się grzecznie do przedziału, żeby zrobić mi miejsce i nie skomentowali tego ani słowem. Najwidoczniej dalej nie mogli się rozstać, skoro śpiewali *Pankracego* na sześć nierównych głosów. Marianowi w niczym to nie przeszkadzało, chrapał dalej w tej samej tonacji, ale z pewnością rano będzie marudził, że nie zmrużył nawet oka, a kiedy wspomnę o kibicach Cracovii, spojrzy tylko na mnie półprzytomnie i pokiwa głową. To chrapanie jest właściwie dość zabawne, od kilku ładnych lat go nie słyszałam. Wojtek nie chrapie, a nawet jeśli zмага się z katarą, dźwięki, które wydaje przez sen, przypominają raczej charczenie chau-chau. Chrapał kiedyś pewien mężczyzna, z którym swego czasu się spotykałam, ale było to tak dawno temu, że zostało mi jedynie mgliste wspomnienie jego zdziwionego spojrzenia, kiedy nagle budziło go jego własne chrapanie. Sporo mnie ominęło przez te dwanaście lat życia z jednym facetem. Hm, a jeśli

jednak zostawię Wojtkę, to czy będę miała szansę nadrobić stracony czas? Spójrzmy prawdzie w oczy, ile postawicie na to, że czterdziestka z dwójką dzieci, po dwóch ciążach, ale za to z własnym mieszkaniem, znajdzie kogoś interesującego? O ile oczywiście stać mnie będzie po tej przygodzie z książką na własne mieszkanie. No właśnie... Z drugiej strony, czy ja właściwie potrzebuję kogoś interesującego? Po tylu latach intensywnej monogamii chciałabym po prostu odpocząć od męskiego ego i zacząć wreszcie żyć własnym życiem, zając się sobą i dziećmi. Może nawet kupiłabym sobie kota? Albo psa? Rybki są za mało komunikatywne. Może poszłabym na kurs fotografii, masażu, gotowania? Jest tyle możliwości, które tylko czekają, aż... się rozwiode. Jedynie pęcherz nie może czekać, a skoro panowie kibice już mnie obudzili, zaczęłam wstawać, żeby choć raz zdążyć przed jego kategorycznym wezwaniem.

Ole, ole, ole, ole!
Nie damy się! Nie damy się!
Ole, ole, ole, ole!
Każdy to wie! Każdy to wie!

1:56. Życzę im z całego serca, żeby mecz, na który jadą, się nie odbył, żeby wszystkich na stadionie trafiła cholera, żeby bramkarz strzelił samobójca, żeby się zatruli kiełbaskami. Spotykałam się kiedyś z pewnym bramkarzem. Zaraz, czy to nie był właśnie ten, co chrapał? Miał taką śmieszna fryzurę, którą pieczołowicie układał co rano przed lustrem. Nie, nie mieszkaliśmy ze sobą – do tego etapu nie doszło, bo rzucił mnie, zanim zdążył to zaproponować – ale kilka nocy spędziłam w jego mieszkaniu, z których jedyna warta zapamiętania rzecz wiązała się z porankami, kiedy to zamiast zapachu smażonej jajecznicy i świeżo parzonej kawy budził mnie zapach lakieru do włosów. Michał, a może Tomek, siedział przed toaletką w sypialni i stawiał irokeza, który rozłaził mu się na karku, bo Tomek, na pewno Tomek, z tyłu miał dłuższe włosy, spinane gumką w kucyk. Był niezwykle przystojny, a najbardziej wtedy, kiedy opowiadał mi o treningach, z których absolutnie nic nie rozumiałam. Ale w końcu to kobiety oczekują zrozumienia, mężczyznom wystarcza zazwyczaj uwielbienie. Niestety z Tomkiem było dokładnie na odwrót, to znaczy nie miał nic przeciwko uwielbieniu, ale przede wszystkim wymagał ode mnie zainteresowania futbolem. Rzucił mnie, bo „nie podzielałam jego pasji”. Uściślając – chodziło mu o stanie w bramce, rzucanie się na ziemię i łapanie piłki. Staralam się, nawet raz przed imprezą z chłopakami z drużyny poszłam do kosmetyczki zrobić sobie paznokcie „tak, żeby wyglądały jak tipsy”. Wszystko na nic, nigdy nie udało mi się wtopić w tłum dziewczyn piłkarzy, więc pokazał się ze mną w miejscu publicznym ze trzy razy, a po miesiącu zerwał. Zrobił to na boisku, w trakcie meczu, stał na bramce, wyjął z kieszeni telefon i wysłał mi SMS. Widziałam to na ekranie telewizora, bo czekałam właśnie na niego w pubie niedaleko stadionu. Kamera akurat uchwyciła jego kciuk, którym wystukiwał wiadomość, głos był ściszony, więc nie wiem, jak to skomentowano w studio, ale dokładnie po sekundzie odezwała się moja komórka, po dwóch trafił mnie szlag, a po pięciu Tomek musiał zejść z boiska z czerwoną kartką za „rażący brak sportowego zachowania”. Z tego co pamiętam, miał więcej rażących braków. Golił też nogi i ręce. Gdyby był pływakiem albo kolarzem, rozumiałabym to, ale bramkarz? Zerwanie tej znajomości było jedynie kwestią czasu, sądziłam jednak, że to ja zatrzymam stoper, zaproponuję, byśmy zostali przyjaciółmi, po czym wykasuję jego numer telefonu. Z Facebooka nie musiałam go wyrzucać, w tamtych zamierzchłych czasach nie było jeszcze Facebooka, no proszę, a jakoś wówczas żyliśmy.

Polskaaa! Biało-czerwoni.
Polskaaa! Biało-czerwoni.
Polskaaa!
Wy-gra-my! Do bo-ju! Wy-gra-my!

E, to się nie rymuje, chyba kończą im się przyspiewki, pomyślałam o 2:19. Pociąg właśnie stanął na stacji tak gwałtownie, że omal nie zleciałam z łóżka. Nie chciało mi się nawet wyciągnąć ręki, odsłonić zasłonki i podnieść rolety. Z góry dochodziło niestrudzone chrapanie mojego redaktora. Jak takie chuchro może wydawać z siebie tyle dźwięków? Gdzie mu to rezonuje? Za oknem konduktor ziewnął głośno i wdał się z miejscowym zawiadowcą w dyskusję na temat wczorajszego meczu. Czy już naprawdę nikt w tym kraju nie jest w stanie nie rozmawiać o piłce nożnej? Jakim cudem inteligentni (zazwyczaj) i dojrzały (zazwyczaj) mężczyźni emocjonują się na widok piłki wpadającej do bramki i potem godzinami o tym dyskutują? O tym, jak piłka wpadła do bramki. Bo do tego to się w gruncie rzeczy sprowadza. Gdzieś z oddali doleciało rytmiczne:

CC
CWK
CWKS
kurwa!

wspomagane klaskaniem. Konduktor na moment przerwał dyskusję, ale że okrzyk się nie powtórzył, dodał coś na zakończenie i zagwizdał.

Kiedy tylko znów ruszyliśmy, przestała działać klimatyzacja. Być może kierownik pociągu uznał, że ludzie pogrążeni w głębokim śnie nie poczują różnicy między dwudziestoma pięcioma a czterdziestoma stopniami. Nagle w przedziale zrobiło się cicho, basowe chrapania Mariana dalej rozchodziły się falami z jego łóżka, i dopiero kiedy zniemacka tak po prostu skończyło się powietrze, odkryłam, że aż do tej pory towarzyszył nam szum klimatyzacji. Zasłonka na oknie zastygła w całkowitym bezruchu, przyspieszyła za to kropla potu wędrująca po moich plecach, zrobiło się nieznośnie duszno. Wstałam, żeby wpuścić trochę nocnego powietrza, ale okno nawet nie drgnęło, chociaż uwiesiłam się na nim całym ciężarem. Przez chwilę obawiałam się, że urwę uchwyt, i nagle wróciła do mnie scena sprzed ośmiu lat – ja zawieszona na drabince i krzycząca, że „kurwa, mam dość tego porodu, rezygnuję!!!” i chwilę później płacz Kacpra. Od razu puściłam uchwyt okna i wyszłam z przedziału. Na korytarzu wiatr szamotał zasłonami przytrzaśniętymi w drzwiach. Wszystkie okna były uchylone.

– Jeśli oprze się pani o drzwi i nie będzie się wychylać, gwarantuję, że nie urwie głowy, za to zrobi się po prostu rześko.

Miała rację. Przyłgnęłam plecami do drzwi i spojrzałam na nią. Stała przed przedziałem z lewej strony, zatem nie była jedną z wielbicielek Cracovii. Ona zerknęła na mój brzuch i zapewne pomyślała to samo, bo jej wzrok powędrował od razu na drzwi, zza których na szczęście nie dochodziły już śpiewy.

– Fatalny czas na podróże, co? – odezwałam się, po czym dodałam nieco głośniej, żeby przekrzyczeć szum wiatru: – Wokół sami pasjonaci futbolu, gdzie nie spojrzeć – albo piją, albo właśnie skończyli pić, albo zaraz zaczną. I wszystko to z miłości do piłki.

Uśmiechnęła się do mnie w odpowiedzi i sprawdziła, czy drzwi do jej przedziału są na

pewno zamknięte.

– Właśnie podróżuję z takim pasjonatem, jedziemy na mecz kogoś tam z kimś tam. – Podrapała się w zamyśleniu po karku i po chwili wahania znów się odezwała: – Mam dla niego mały prezent, który zamierzam mu wręczyć zaraz po tym, jak jego drużyna wygra.

Zdumiała mnie, nie wyglądała na kobietę, która z miłości wysiedzi na stadionie wśród rozwrzeszczanych barbarzyńców, a na końcu, kiedy on wraz z połową kibiców zacznie skakać z radości i obcałowywać obcych sobie mężczyzn, da mu... Co? Zaproszenie na ich ślub? Pierwsze zdjęcie z USG ich dziecka? Przyjrzałam się uważniej jej pełnej twarzy otoczonej kręconymi włosami, spiętymi w niedbały koczek. Jeden ciemnoblondek lok wymknął się spinkom i unosił się teraz nad jej czołem. Za każdym razem, kiedy zakładała go za ucho, wiatr porywał go z powrotem. Miała w sobie coś miękkiego, delikatnego, chociaż może zmyliły mnie jej pełne kobiece kształty i niewinne spojrzenie, z jakim dodała:

– Rozmawiałam wcześniej z jego terapeutką, to był właściwie jej pomysł, ja go tylko trochę udoskonaliłam. Zasugerowała, że trudną rozmowę o związku powinnam przeprowadzić zaraz po ważnej i radosnej dla niego chwili, a najlepiej takiej, która będzie dotyczyć nas obojga. „To was wzmocni w jego oczach, zbuduje solidny fundament, dzięki czemu nie poczuje się zagrożony, kiedy będziecie rozmawiać o waszych problemach”, powiedziała, więc kupiłam bilety i zorganizowałam wyjazd na mecz jego ulubionego klubu piłkarskiego. Przeczekam mecz, a potem dam mu dokumenty rozwodowe.

– Tyle zachodu, żeby się rozwieść? – Byłam autentycznie zdziwiona, przecież istnieje wiele łatwiejszych sposobów, po co sobie komplikować życie? – A nie lepiej, żeby terapeutka przygotowała go do rozwodu? A poza tym, co pani robi, jeśli jego klub przegra?

– To w końcu jego terapeutka, ja jej się nie zwierzam. A jeśli przegrają, cóż, będzie się mógł z nimi zidentyfikować. – Wzruszyła ramionami, chwyciła kosmyk powiewający jej nad czołem i założyła go za ucho. Oczywiście w następnej sekundzie wiatr zabrał go z powrotem. – Tak czy siak, jutro znów będę wolną kobietą! – Zapomniała się i niemal wykrzyknęła, co też od razu sobie uświadomiła i uchyliła drzwi do przedziału. – Obudziłeś się? Strasznie tu hałasują. Tak, misiu, już do ciebie idę. – I zniknęła w środku.

Mimo wszystko postanowiłam trzymać za nią kciuki. Postąpiłam jeszcze chwilę na korytarzu, wpatrując się w ciemność za oknem, aż rozboleły mnie nogi. Na samą myśl o powrocie do dusznego przedziału zrobiło mi się słabo. Nie pozostało więc mi, samotnej kobiecie w ciąży, nic innego jak udać się w środku nocy do warsu. Musiałam przejść przez pięć albo sześć wagonów, zanim dotarłam do barowego. Korytarze świeciły pustkami, wszyscy grzecznie spali za zamkniętymi drzwiami przedziałów, tylko na zakręcie, kiedy ujrzałam oświetlony początek pociągu, przez otwarte okno wpadło trochę nieczyste, za to wyraźne, na góralską nutę:

Tam gdzie Wisła nogi myje, tam Cracovia wodę pije.

Pociąg pełen cudaków, pomyślałam, popychając drzwi do warsu. Otworzyły się tylko do połowy, coś je blokowało od środka. Zapałam się i pchnęłam mocniej. Coś jęknęło, potem zaszurało i drzwi z wolna zaczęły ustępować. Nam ciężarnym jednego nie można odmówić – mamy znakomitą przyczepność i wrodzoną gotowość do pchania i parcia w każdej chwili, na zawołanie. I w zderzeniu z drugą istotą ludzką zawsze wygramy. Pierwszy rzut oka na wars wystarczył, bym odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem, ale wtedy musiałabym wrócić do przedziału, gdzie Marian wyczerpał już z pewnością cały zapas tlenu. Poza tym nie

chciało mi się spać, a co innego robić w środku nocy w pociągu z chrapiącym obcym mężczyzną? Zamknęłam na chwilę oczy, otworzyłam je, ale nic się nie zmieniło. Nadal wagon barowy wypełniony był dziesiątkami ciał męskich, które zwisały ze stolików, leżały rozwalone na krzesłkach, pod nimi i obok nich. Trzech gości w czułym uścisku leżało z rozplaszczonymi policzkami na ladzie, czwarty z głową schowaną w przewróconym koszu, przykryty stosem szalików, obejmował im stopy. Większość z nich ubrana była swobodnie – w dzinsy albo dresy, ale było też kilku w wymiętych garniturach i marynarkach źle dopasowanych do spodni. Wiek, ze względu na zniekształcone rysy albo zasłonięte twarze, raczej trudno było mi ocenić, ale na pewno znalazły się tu ze trzy różne pokolenia. Oto kwiat męskiej populacji, przekrój testosteronowej społeczności, która leżała pokotem u mych stóp. Ten, co blokował wcześniej drzwi, jęknął coś przez sen i znieruchomiał. Wyglądali, jakby padli ofiarą błyskawicznie rozprzestrzeniającej się zarazy, zarazy zwanej – pociągnęłam nosem, mimo dopływu powietrza zza uchylonego okna nuta przetrawionego alkoholu unosząca się nad ciałami była wystarczająco wyczuwalna – piwem, dużą ilością piwa wypitego w dusznym pomieszczeniu. A co może połączyć tylu różnych mężczyzn, zbratać ich w jednym miejscu i skłonić do solidarnego schłania się na umór? Rozejrzałam się po wagonie, ale oprócz bezwładnych ciał i sztucznych bukietów w wazonikach z napisem Wars wszystko wyglądało normalnie. Dopiero kiedy zajrzałam za ladę, w głąb barowego zaplecza, za plecami śpiącego na składanym krzeselku barmana ujrzałam to, czego szukałam. W rogu przycupnięty stał sobie niewielki telewizor i śnieżył na murawę, po której w zwolnionym tempie biegali piłkarze ubrani w niemożliwe do odróżnienia stroje. I co byście zrobiły na moim miejscu? Bo ja dosunęłam stopą jednego gościa leżącego pod ladą, weszłam na niego, on stęknął, ja się przytrzymałam drugiego opartego o ladę, on stęknął, stęknąwszy, usiadłam na ladzie, obaj stęknęli. Potem już poszło łatwiej – przerzuciłam nogi na drugą stronę, podsunęłam sobie taboret, żeby bezpieczniej zejść, wyłączyłam telewizor i zrobiłam sobie herbatę. Posiedziałam tam z godzinę, zjadłam kilka batoników, przejrzałam wczorajszą prasę, po czym wstawiłam im wodę na kawę i wyszłam tylnym wyjściem.

Zaczęło świtać, niektórzy powoli się budzili, wychodzili na korytarz wyprostować kości albo pogonić złodziei pociągowych, którzy zaczynają pracę między trzecią a czwartą nad ranem. W jednym z otwartych przedziałów na podłodze, między nogami śpiących rodziców siedziały bliźniaczki, sześć-, może siedmioletnie i grały w łapki w rytm osobliwej wylizanki:

Było ich siedmiu, potem dwunastu, aż założyli klub pederastów.
Klub się rozwijał, klub się rozrastał, a każdy wiślak to pederasta.

Chciałabym powiedzieć, że reszta podróży była przyjemna, krótka albo chociaż bezbolesna. Ostatnie dwie godziny spędziłam z głową pod poduszką, bo okno, które wreszcie udało się Marianowi otworzyć, mogło być najwyraźniej albo zamknięte, albo całkiem otwarte, lufciki, szczeliny i wszelkie stany pośrednie nie wchodziły w grę. Pęd powietrza, który wtargnął do przedziału, zrzucił moją kołdrę na ziemię, zwał nasze rzeczy i zburzył Marianowi fryzurę, którą ten misternie ułożył na chwilę przed otwarciem okna. Nie ma nic gorszego od przewianych uszu, chyba tylko zapalenie pęcherza, a i tak każda z tych rzeczy jest znacznie gorsza, kiedy jest się w ciąży. Dlatego nie zastanawiając się zbyt długo, wsadziłam głowę pod

poduszkę. Zapewne dokładnie tak czuje się teraz moja córka – ciemno, ciepło, cicho, a jedyne dźwięki dochodzą gdzieś z oddali, przytłumione i nieistotne. Zupełnie jakbyśmy na chwilę zamieniły się miejscami. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby zamiast mnie wysiadła z tego pociągu, odbyła wszystkie spotkania, rozmawiała z ludźmi i przez tych kilka dni jadała hotelowe śniadania z wymalowanym redaktorem, przy którym czułaby się jak stateczna, poukładana i zdecydowanie starsza matka. A ja zostałabym tutaj, gdzie nie trzeba podejmować żadnych decyzji, wyglądać, uśmiechać się za dnia, a wieczorami zmywać makijażu. Nie macie czasem wrażenia, że bycie kobietą jest zbyt męczące? Nie chciałybyście odpocząć od poczucia odpowiedzialności za wszystko, od ślepej miłości do waszych dzieci, od organizowania życia sobie i całej rodzinie, pamiętania o urodzinach i imieninach, prezentach pod choinkę, zakupach w piątkowe popołudnia, sobotniego sprzątanego, depilacji, kosmetyczek i fryzjerów, wyprzedaży, diet i naciągania zmarszczek przed lustrem, zastanawiania się, do kogo dzwonią z łazienki wasi mężowie i dzielenia życia na to przed czterdziestką i to po czterdziestce? W dodatku my nie możemy mieć kryzysu wieku średniego, my mamy menopauzę, która nie usprawiedliwia poderwania seksownego młodzieńca, porzucenia męża drapiącego się po brzuchu w rozpiętym szlafroku i wyprowadzki do hotelu. My nie zaczynamy życia od nowa, tylko składamy do kupy to, co zostało po rozwodzie, po wyjeździe dzieci na studia, po przejściu na emeryturę, po pogrzebie męża. Jesteśmy beznadziejnym przypadkiem opierającym się ewolucji, zawsze odporne, bierne i skłonne do poświęcenia w imię wszystkiego. I uparte. Wystarczy, że się tępo uprzemy, i nic ani nikt już tego nie zmieni. Na szczęście! Dzięki temu świat jakoś się dalej kręci.

Kochasz go, ale chwilowo nie możesz na niego patrzeć? Znasz go od wielu lat, ale na imprezach u znajomych patrzysz na niego i nie dowierzasz własnym oczom? Przysięgałaś mu miłość i wierność, ale teraz nie bardzo pamiętasz dlaczego?

Nie przejmuj się, nie jesteś sama.

W Szczecinie na dworcu przywitał nas wielki napis rozpięty na peronie: „Pogoń śledzie, syfem jedzie”. Dwóch zaspanych strażników kolejowych próbowało go ściągnąć, ale materiał zawieszony był zbyt wysoko. Wyglądał na przecięte wzdłuż, a następnie wprawnie zszyte prześcieradło. Gorzej już poszło z napisem – spray rozmazał się tu i ówdzie i z bliska niewiele dało się odczytać. Zanim wyprostowałam moje wszystkie ciężarne kości i przespacerowałam się dla wprawy przed zejściem z peronu, jeden ze strażników wrócił z drabiną i nożyczkami. Marian z plecakiem przewieszonym przez ramię stał oparty o rączkę mojej walizki i wpatrywał się we mnie wyczekująco. Mam nadzieję, że nie liczy na to, iż rześka i radosna pobiegnę na spotkania. Dopiero teraz zaczęłam być senna. Zjadłabym śniadanie, wzięła prysznic i poszła spać, i to dokładnie w tej kolejności. O spaniu nie ma jednak co marzyć, przyjechaliśmy z niemal godzinnym opóźnieniem. Na dworcowym zegarze wskazówki ledwo widoczne spod warstwy ptasiego łajna podskoczyły nerwowo i ulokowały się na godzinie siódmej. Pierwszy wywiad jest w miejscowym radiu jakoś przed dziewiątą. Wizja choćby krótkiej drzemki rozbiła się w drobny mak wraz z okularami jednego ze strażników, który potknął się o drabinę i w ostatniej chwili złapał się tablicy z rozkładem jazdy, ratując się przed upadkiem. Okularów jednak nie zdążył złapać i przeklął szpetnie, chowając wygiętą oprawkę do kieszeni. Posłałam mu współczujące spojrzenie i ruszyłam w stronę Mariana, nieco zniecierpliwionego moim ślimaczym tempem. Trudno, młodzieńcze, jeśli pewnego dnia obudzisz się jako trzydzieści kilo cięższa kobieta, to może mnie zrozumiesz.

– Jeśli się pospieszymy – zaczął ostrym tonem, ale jak tylko usłyszał swój głos, natychmiast się poprawił, odchrząknął, przyglądził dłonią fryzurę i wykrzywił twarz w czymś w rodzaju uśmiechu – to zdążymy jeszcze wstąpić do hotelu, gdzie będzie się pani mogła odświeżyć i może coś przekąsić.

– Spędziliśmy ze sobą, bądź co bądź, całą noc – wysapałam, odgarniając z czoła grzywkę. – Przed nami kilka kolejnych, nie mówiąc nawet o dniach, które również spędzimy razem, więc może będziemy mówić sobie po imieniu?

Spojrzałam na niego, dopiero kiedy skończyłam zdanie, ale zdążyłam uchwycić ten specyficzny wyraz twarzy, kiedy człowiek gorączkowo zastanawia się, co odpowiedzieć, i waży wszystkie „tak” i „nie”. Właściwie nie zostawiłam mu wyboru, w tej sytuacji nie mógł mi odmówić. Być może redaktorzy z zasady nie przechodzą z autorami na „ty”, bo potem trudniej im rozmawiać o interesach? Ale o tym akurat rozmawiam z jego szefem, z którym w końcu jestem na „ty”. Marian uśmiechnął się tylko, ale kiedy zorientował się, że oczekuję odpowiedzi na moją propozycję, bąknął: „Z przyjemnością”, chwycił walizkę, obrócił się na pięcie i, nie czekając na mnie, skierował się ku wyjściu. Uważaj, pomyślałam, ruszając za nim, bo jeszcze cię opiszę w kolejnej książce i tak cię unieśmiertelnię, że pożałujesz. Nie mogłam za nim nadążyć, modliłam się tylko w duchu, żeby zmierzał w stronę postojów taksówek, bo nie jestem w nastroju do wciskania się do zatłoczonych o tej porze tramwajów i autobusów. Za drzwiami dworca od razu oślepiło mnie słońce. Moja teoria, że na północy

jest nieco chłodniej niż na południu kraju, wzięła w łeb. Mimo wczesnej jeszcze godziny panował tu skwar iście krakowski. W rozgrzanym powietrzu falowały plastikowe budki z fast-foodem i... Zaraz, zaraz, jeśli nos mnie nie myli, gdzieś tutaj muszą być pyszne, dopiero co upieczone, nie, chyba raczej usmażone, tak, usmażone w głębokim tłuszczu paszteciki. I tak oto nadeszła pora mojego śniadania. Szczecin o poranku nie jest zbyt zachwycający, zwłaszcza okolice dworca, ale ten zapach wystarczy, by wszystko wybaczyć. Otworzyłam usta, żeby zawołać Mariana i namówić go na szybkie śniadanie, ale machnęłam na to ręką i po prostu skręciłam w stronę jednej z budek. Kiedyś się w końcu zorientuje, że mnie zgubił. Pan w foliowej czapeczce na głowie wychylił z okienka zapuchniętą twarz i obrzucił mnie mało życzliwym spojrzeniem, ale kiedy tylko dojrzał mój brzuch, w jego głowie uruchomił się ciąg skojarzeń: ciężarna = apetyt = jedzenie = interes i zmusił się do uśmiechu. Zapłaciłam za dwa paszteciki i opadłam na obdrapane czerwone krzeselko, pachnące jak z wolna roztapiający się na słońcu plastik. Pan w czapeczce zniknął w głębi budki, skąd po chwili popłynął najpiękniejszy zapach pod słońcem, zapach mojego śniadania. Wystawiłam brzuch do słońca, nasunęłam na nos ciemne okulary i zdecydowałam, że jeśli paszteciki będą dobre, to spotkania okażą się rewelacyjne, czytelnicy życzliwi, hotele idealne, a ja wrócę do domu zachwycona i zostanę pisarką pełną gębą, co więcej, obrzydliwie bogatą pisarką pełną gębą. Taki właśnie mam plan na życie, o ile paszteciki zdadzą egzamin.

Zdały. Jednak niespełna pół godziny później zdecydowały się powrócić. I co z moim planem, zastanawiałam się, siedząc ze zwieszoną głową na hotelowym łóżku, a Marian moczył właśnie ręcznik pod kranem, żeby położyć mi go na karku. Jak dotąd nie wyglądało to zbyt optymistycznie. Po zjedzeniu drugiego pasztecika opuściłam dworcowy lokal i poszłam wolno w kierunku, w którym wcześniej podążał mój redaktor. Znalazłam go za zakrętem, siedział w cieniu rachitycznego drzewka i wystukiwał SMS. Obok walizki i plecaka stała butelka wody mineralnej, rzucając cień na plan miasta rozłożony pod drzewem.

– Zgubiliśmy się?

Marian oderwał wzrok od telefonu i spojrzał na mnie tak, jak tylko potrafią patrzeć mężczyźni, którzy za nic nie przyznają, że się zgubili, chociaż wszyscy doskonale o tym wiedzą. Znam to spojrzenie. Postanowiłam więc nie podejmować tematu. Przez pierwszych pięć lat małżeństwa nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego inteligentny człowiek płci męskiej przenigdy nie zdradzi, że nie wie, dokąd pójść, że się zgubił, pomylił kierunki, trasy i mapy. Zarówno w sensie metaforycznym, jak i dosłownym. Wiecie, o co mi chodzi. Zanim poznałam Wojtkę, podczas moich eskapad to ja zwykle decydowałam, gdzie wysiadam i dokąd idę. Nie zawsze miałam ze sobą mapę, ale wtedy kierowałam się intuicją albo wskazówkami napotkanych ludzi. Kiedy wyjeżdżałam gdzieś ze znajomym, to zawsze ja pytałam o drogę, ale przez myśl mi nie przeszło, że z nas dwojga tylko ja potrafię to zrobić, bo mężczyźni w procesie ewolucji zatracili tę umiejętność – po prostu działałam. Potem jednak pojawił się Wojtek, a wraz z nim małżeńska stabilizacja, a wraz z nią rytuały codzienne i weekendowe. Jednym z nich były niedzielne wypady za Kraków – wsiadaliśmy rano do pociągu albo PKS-u i wysiadaliśmy gdzieś w połowie drogi donikąd. I czasem trafialiśmy do jakiegoś miasteczka, czasem do zabitej dziurami wioski, a czasem szliśmy tak długo, dopóki nie znaleźliśmy znów przystanku autobusowego albo torów. Albo kogoś, kogo można by zapytać o drogę. Chyba właśnie podczas jednej z takich niedziel odbyliśmy naszą pierwszą małżeńską kłótnię.

- O, ktoś idzie. Zapytaj, czy gdzieś tu jest jakiś sklep.
- Po co? Jak jest, to znajdziemy.
- Ale przynajmniej dowiemy się, gdzie jesteśmy.
- I co ci to da?
- Jezuu, czy ty naprawdę nie potrafisz zapytać o drogę?!
- Od razu „nie potrafisz”? Po prostu uważam, że nie ma to sensu.
- Co jest bez sensu?! To, że nie wiemy dokąd iść, czy to, że nie wiemy, gdzie jesteśmy?
- Czemu ty zawsze musisz przekręcać moje słowa? Wcale nie powiedziałem, że to bez sensu.
- Jak to nie?! Właśnie przed chwilą powiedziałeś...
- Dobrze, już dobrze! Ale się ostatnio upierdliwa zrobiłaś.
- I tak jest ze wszystkim! Jeśli coś trzeba zrobić, sama muszę to zrobić! Po co ja w ogóle za ciebie wysłałam?!

Po pięciu latach nadal nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego inteligentny człowiek płci męskiej za nic nie zdradzi, że nie wie, dokąd pójść, że się zgubił, pomylił kierunki, trasy i mapy, ale – wiecie co? – dałam sobie z tym spokój.

Pół godziny później, klucząc wśród ulic i przechodząc trzy razy przez to samo skrzyżowanie, dotarliśmy do pensjonatu, z którego okien widać było owo rachityczne drzewko. Wpatrywałam się w nie z fotela ustawionego w recepcji, gdzie Marian ściszym głosem wyklócał się z właścicielką pensjonatu o pokój. Okazało się, że stażystka nie zarezerwowała – „Jak to nie zarezerwowała? Przecież byłem przy tej rozmowie trzy dni temu!” – noclegu. „Jak to »nie ma dwóch pokoi«? Żarty sobie pani robi?”, ale znalazł się wolny – „Nie, nie będzie nam z żoną wygodniej w jednym!” – pokój dwuosobowy. Dokładnie w tej części ich dyskusji poczułam, jak moje śniadanie wykonuje odwrót, i bez słowa podniosłam się z fotela, wzięłam klucz z lady i pospieszyłam do pokoju. W lustrze, które wisiało na trasie między recepcją a jadalnią, zauważyłam, jak kobieta wzrusza ramionami, a Marian, zaciskając zęby, szarpie się z rączką od walizki. Było mi wszystko jedno, po prostu musiałam dostać się do łazienki.

Siedziałam na brzegu łóżka z mokrym ręcznikiem na karku, woda skapywała mi cicho z szyi i wsiąkała w pościel. Zachowywaliśmy się jak idealne małżeństwo po cichej kłótni – czujni, uprzejmi i skrepowani swoją obecnością. W końcu Marian spojrzał na zegarek i oznajmił, że musimy ruszać, po czym zniknął na kwadrans w łazience. Drzwi do łazienki wyglądały dokładnie tak samo jak te prowadzące na korytarz. Takie same pokoje, takie same drzwi i zapewne takie samo umeblowanie w całym pensjonacie. Standard, do jakiego swego czasu przywykłam, był standardem kolonijnym – rozlatująca się wersalka, podejrzanie pachnąca pleśnią, obdrapane ściany, szafka nocna bez jednej nogi, stolik i dwa krzesła – ofiary zakończenia studenckiej sesji na politechnice. To miejsce nie wyglądało wiele lepiej. Każda z trzech ścian miała nieco inny odcień bieli, czwarta zabudowana była szafkami ukrytymi w boazerii, w której wycięto dziurę na drzwi. Zaraz obok łazienki, w rogu, częściowo schowany za beżowym fotelem stał barek, czyli lodówka turystyczna obłożona boazerią. Zajrzałam tam w poszukiwaniu wody mineralnej. W środku oprócz dwóch półlitrowych butelek wody stało kilkanaście buteleczek z alkoholem, które zapewne ktoś przemycił z samolotu. Wypiłam duszkiem całą wodę i wróciłam na łóżko. Mój brzuch lekko falował,

moje myśli też, jeszcze chwila, a zapomnę, gdzie jestem, jak ciężka jestem, i uniosę się pod sufit niczym balon wypełniony helem. Powieki stały się nagle tak ciężkie, że nie byłam w stanie ich unieść. Wystarczy się tylko położyć, na chwilę, i zamknąć oczy, chociaż na chwilę.

– Gotowa?

Marian wyszedł z łazienki pachnący lakierem do włosów, ze starannie wyrysowanymi czarnymi kreskami na powiekach. Będę musiała wziąć od niego lekcje makijażu, niezły jest w te klocki. Nie wyglądałam na gotową, nie czułam się gotowa, nie byłam gotowa, ale godzina wywiadu nieubłagalnie się zbliżała. Marian stał już przy drzwiach z dłonią na klamce, a ja wciąż niewyspana, wciąż w ciąży, wciąż ze wspomnieniem pasztecików siedziałam na łóżku w tej samej pozycji, w jakiej zostawił mnie, zamykając się w łazience. Co by powiedział Wojtek? „To może zadzwonię i powiem, że się spóźnisz?” albo „Nie przejmuj się, to tylko wywiad, nagra się go później”. Co powiedział Marian? Właśnie nic, tylko stoi, patrzy i czeka. Opłukałam sobie twarz zimną wodą, przypudrowałam sińce pod oczami i w ostatniej chwili przypomniałam sobie o kremie przeciw rozstępom.

– Jak wyglądam?

To było pytanie podchwytliwe. Wyglądałam dokładnie tak samo jak przed pięcioma minutami – jak niewyspana kobieta w ciąży z trzydziestokilogramową nadwagą, która dopiero co zwróciła śniadanie. Ale nie to chciałam usłyszeć.

– Mmm, w porządku – odparł Marian niepewnym głosem, wpatrując się we własne stopy. – To ja może zapalę na zewnątrz. Spotkamy się za chwilę przed hotelem.

Nie to chciałam usłyszeć, ale jako kobieta zameężna wiem, że zazwyczaj słyszy się nie to, co by się chciało, i mówi się nie to, co by się chciało. Powinnam się już przyzwyczaić po tylu latach, ale jakoś nie potrafię. Poprawiłam wygniecioną tunikę, która teraz coraz bardziej opinała mój brzuch – zdaje się, że to sprawka wypitego duszkiem litra wody – chwyciłam torebkę i wyszłam z pokoju.

Budynek radia znajdował się, jak się okazało w odległości dwudziestu minut krążenia w porannym upale, tuż za rogiem. Marian udawał, że wie, dokąd idzie, z kieszeni bojówek wystawała mu wymiętoszona mapka, minęliśmy koło setki szczecinian, ale on twardo parł przed siebie, ciągnąc mnie za sobą na niewidzialnym sznurku. Już zamierzałam zdecydowanie oświadczyć, że protestuję, zostaję na najbliższej ławce i rodzę, kiedy wpadliśmy na tablicę informującą, że to parking tylko dla pracowników i gości radia. Minęliśmy pana w stróżówce, który przyjrzał się nam podejrzliwie, wyciągnął prawą dłoń, żeby nas zatrzymać, a lewą chwycił słuchawkę telefonu. Nie musiał nawet wystukiwać numeru, po drugiej stronie od razu ktoś się zgłosił. Marian nachylił się do okienka stróżówki, powiedział coś ścisłym głosem i po chwili zostaliśmy wpuszczeni do środka. Za drzwiami budynku czekała na nas dziewczuszka, pewnie praktykantka, pomyślałam, wpatrując się w jej idealny tyłek w obcisłych dzinsach, kiedy szłam za nią przez wąskie korytarze radia. Gruba ciemnozielona wykładzina wygłuszała nasze kroki i mój ciężki oddech. Długi koński ogon nagle przestał majtać przed moimi oczami, panna odwróciła się i zapytała uprzejmie, czy chciałabym odpocząć, bo nasze studio znajduje się po drugiej stronie budynku.

– Nie macie tu windy? – wysapałam między jednym a drugim oddechem.

Budynek był kolosalny, korytarz zdawał się nie mieć końca. Co pięć, dziesięć metrów po

obu stronach znajdowały się drzwi do kolejnych studio albo pokoi redaktorów, co trzydzieści, czterdzieści wnęka z kilkoma stolikami, maszyna z ciepłymi napojami i słodyczami oraz wielka butla wody mineralnej. Szliśmy tak gęsiego co najmniej dziesięć minut – długowłosa panna, ja i Marian. Pomieszczenie było klimatyzowane i miałam już gęsią skórę na ramionach, jeszcze chwila, a zacznę szczekać zębami, przeziębnię się, złapię katar i umrę w tym okropnym pensjonacie na drugim końcu Polski. Koński ogon znów fajtnął i niemal smagnał mnie po twarzy – byliśmy na miejscu. Uśmiechnęłam się do praktykantki, żeby jej podziękować za doprowadzenie do studia, ale ta weszła do środka za nami, wskazała mi miejsce za stołem i sama usiadła po drugiej stronie. To dziecko tu pracowało. To dziecko ma przeprowadzić ze mną wywiad. To dziecko jest redaktorem?

– Możemy zaczynać? – zapytało dziecko głosem piętnastolatki i nie czekając na moją odpowiedź, założyło sobie na uszy słuchawki, po czym palcem pokazało na drugą parę słuchawek leżących koło mojej prawej ręki. Trzeszczały, kiedy je zakładałam. Przez moment pomyślałam, że wyglądam w nich idiotycznie, na pewno przylegają ściśle do głowy, niszcząc nastroszoną fryzurę, którą za pomocą suszarki i szczotki zrobiłam niedawno w łazience. Ale potem spojrzałam na szybę, za którą widać było drugi pokój z kobietą w podobnych słuchawkach siedzącą za pulpitem, a za nią stojącego Mariana, który podniósł prawą dłoń i pokazał mi kciuk. O co mu chodzi? – pomyślałam, przecież to tylko nagranie. Piosenka, którą słyszałam w słuchawkach, zaczęła się stopniowo wyciszać, a kobietka za szybą podniosła trzy palce – najpierw opuściła środkowy, potem wskazujący i za nim kciuk. Na ten sygnał blond dziewczę puściło mi oko i zamruczało do mikrofonu:

– Ze mną w studiu jest pewna autorka bestsellerowej powieści, na pewno dobrze wam znanej. Zgadnijcie, kto to. – Spojrzała na mnie i pokazała kartkę papieru, na której napisała przed chwilą drukowanymi literami: proszę się przedstawić i pozdrowić słuchaczy.

– Dzień dobry – wyjąkałam z przerażeniem do mikrofonu, uświadamiając sobie, że to nie jest nagranie, tylko audycja na żywo. Dlaczego nikt mi wcześniej nie powiedział?! Jak tylko dorwę tego Mariana... W słuchawkach coś zabuczało. Chyba nie tylko w moich, sądząc po zmarszczonych brwiach dziecka. Kobieta za szybą przewróciła oczami i przyłożyła kant dłoni do szyi. Nie wiedziałam, o co jej chodzi, dopóki panna po drugiej stronie stołu nie pokazała palcem na moją torebkę. Telefon! To był mój telefon! Sięgnęłam błyskawicznie po komórkę i odrzuciłam połączenie, nie patrząc nawet na wyświetlacz. Panna przejechała kantem dłoni po szyi. Tym razem zrozumiałam i całkiem wyłączyłam telefon.

– Dzień dobry wszystkim – powtórzyłam łamiącym się ze zdenerwowania głosem i nie mogąc oderwać wzroku od różowego paznokcia postukującego w kartkę, dodałam:

– Tu Marta Roztoczyn. Pozdrawiam słuchaczy radia.

– A teraz, moi drodzy, ogłaszam konkurs. Pierwszych dziesięć osób, które dodzwonią się do nas i podadzą tytuł książki autorstwa pani Marty, otrzyma egzemplarz powieści z dedykacją od autorki. Gotowi? Uwaga... Dzwońcie!

Kobieta za szybą pokiwała głową i puściła piosenkę. Panna zdjęła słuchawki i pokazała mi ruchem głowy, że mam zrobić to samo.

– Fatalnie z tym telefonem, już dawno się to nie zdarzyło na mojej zmianie. Mam nadzieję, że nie dostanę nagany od szefostwa.

Wyglądała na szczerze zmartwioną, nawet jej długi koński ogon jakby oklapł, a paznokcie straciły blask. Zrobiło mi się jej żal, przez chwilę, dopóki nie przypomniałam sobie o audycji na żywo.

– A jaki właściwie ma tytuł pani książka?

Żartuje, chce rozluźnić atmosferę, zatrzeć złe wrażenie wywołane telefonem na antenie, tak właśnie sobie myślałam, odrywając wzrok od jej wypielęgnowanej dłoni z pięcioma różowymi paznokciami. Opalone przedramiona pokryte miała króciutkimi blond włoskami, spod cienkiego ramiączka białej bluzki z głębokim dekoltem, w którego zagłębieniu wisiał złoty krzyżyk, wystawało odrobinę grubsze ramiączko czarnego stanika. Odsłonięta szyja miała dokładnie taki sam odcień opalenizny co ręce, a więc to solarium, nie naturalne słońce, zauważyłam ze zdumieniem. Kto w taki upał chodzi do solarium? Szyja kończyła się brodą – z dołączkiem pośrodku, który znakomicie pasował do okrągłej twarzy pociągniętej na kościach policzkowych różem. Nos był nieco zbyt mały i lekko skrzywiony w lewą stronę, moją lewą, jej prawą. A oczy... Nie, nie żartowała. Była całkowicie poważna. Uciekłam wzrokiem, żeby nie zauważyła paniki w moim spojrzeniu, i na stoliku za nią zauważyłam stosik książek. Moich książek. Wyciągnęłam w ich stronę palec, ona obejrzała się, rzuciła: „A, racja!” i położyła je na stole przede mną. Podpisałam się grzecznie na pierwszych stronach, próbując wyobrazić sobie ludzi, do których książki trafią. Kiedy już zamknęłam ostatnią i odsunęłam ją na środek blatu, dziewczę, które dotąd przypatrywało mi się w milczeniu, uśmiechnęło się i rzekło:

– Dziękuję bardzo za przybycie do studia. O książki proszę się nie martwić, nawet jeśli nikt nie zadzwoni, wezmą je ludzie od nas. Niestety nie mogę już pani odprowadzić z powrotem, bo zaraz wchodzę na antenę, ale chyba bez problemu trafi pani do wyjścia?

Trafiłam. Tym razem to ja gnałam wąskim korytarzem, a Marian ledwo za mną nadązał. Znow nikogo nie spotkaliśmy w tym molochu, ale to nawet lepiej – nie musiałam się przynajmniej grzecznościowo uśmiechać, a uśmiech to ostatni grymas, który przyszedłby mi wówczas do głowy.

– Marta? Czemu nie odezwałaś się wcześniej? Dzwoniłam do ciebie rano!

Był wieczór, Marian wyszedł właśnie przed pensjonat na papierosa, a ja przypomniałam sobie wreszcie PIN do komórki, którą wyłączyłam podczas tamtej nieszczęsnej audycji. Odrzucone połączenie było od Beaty, więc przed telefonem do domu zdecydowałam się zadzwonić do niej.

– Przepraszam, tyle się tu działo, że nie miałam kiedy.

– Chodziło mi o sklep z ekologiczną żywnością dla dzieci, ale już znalazłam.

Z Beatą działo się coś dziwnego, to nie była ta sama osoba, którą znam już od tylu lat. Razem przeżywałyśmy jej liczne metamorfozy, kolejne wcielenia, idee, fryzury i stany duchowe, ale nic nigdy nie spowodowało aż takiej zmiany. Jak ktoś z człowieka rozsądnego, człowieka myślącego racjonalnie i logicznie, może w ciągu jednego dnia zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni?

– Chcesz go karmić utyłanymi w błocie marchewkami, które nawet nie otarły się o pestycydy i konserwanty? Jak on sobie poradzi później, kiedy zaczniesz jeść ten sam syf co my? – zapytałam sceptycznym tonem.

– Racja, czemu o tym sama nie pomyślałam?

No właśnie...

– Tylko jak ja teraz zwrócę te worki warzyw? A zresztą, nieważne. Powiedz lepiej, jak ci minął pierwszy dzień trasy autorskiej.

Dobre pytanie. Właściwie sama nie wiem, jak minął. Na szczęście szybko. Nie aż tak

błyskawicznie jak pierwsza wizyta w radiu, po której zażądałam od Mariana przerwy na colę. Usiedliśmy w ogródku kawiarni i schowani w cieniu parasola sączyliśmy w milczeniu zimne napoje. Ja od razu poprosiłam kelnerkę o szklanę lodowatej coli z cytryną, a Marian wertował kartę i zwlekał z zamówieniem, aż nachyliłam się do niego, spuściłam okulary na czubek nosa i powiedziałam przyciszonym głosem, że jeśli ma chęć na piwo, to proszę bardzo, nie wydam go przed szefem. Wypił je niemal duszkiem, bo oczywiście przede mną było kolejne nagranie – tym razem naprawdę nagranie – a z mapy wynikało, że musimy przejechać pół miasta, żeby się tam dostać. Mieliśmy wziąć taksówkę, ale wystarczyło, że wyobraziłam sobie klejący się do ciała skaj siedzenia i zapach drzewka waniliowego w rozgrzanym od słońca samochodzie, i momentalnie zrobiło mi się niedobrze. Autobus albo tramwaj, zdecydowałam, lepszy byłby nawet tramwaj, więc poszliśmy na przystanek tramwajowy. Po drodze minęliśmy trzy policyjne suki eskortujące wycieczkę kibiców. Panowie szli samym środkiem ulicy, jeden z nich niósł coś w rodzaju sztandaru, ale przy bezwietrznej pogodzie materiał zatknięty na kiju zwisał bezwładnie, oplatając głowę i ramiona mężczyzny. Na czele szedł przewodnik z wielkim czarnym parasolem w rękę, który odwracał się od czasu do czasu do grupy i znudzonym głosem w nieznanym mi języku snuł opowieści o Szczecinie. Dwie policyjne suki sunęły leniwie za wycieczką, trzecia otwierała pochód – przyspieszała, po trzydziestu metrach zwalniała, wzbudzając popłoch okolicznych meneli, a kiedy przewodnik pojawiał się w polu widzenia, znów ostro ruszała do przodu. Na tylnym zderzaku miała naklejkę z napisem: WYCIEZKI SPONSOROWANE PRZEZ EURO 2012.

W radiu zjawiliśmy się przed czasem. Przemiała dziennikarka, która miała przeprowadzić ze mną wywiad, posadziła mnie w fotelu, kazała położyć nogi na krześle i przyniosła stos zmoczonych papierowych ręczników. Kolejne pięć minut spędziłam obłożona zimnym okładem na sympatycznej pogawędce o ciężarach, dzieciach, pracy, wykonywaniu tysiąca czynności jednocześnie i innych tego typu kwestiach typowo kobiecych. Nic dziwnego, że samo nagranie, które zaczęło się z kilkuminutowym poślizgiem, bo tak się zagadałyśmy na korytarzu, okazało się fantastyczną godziną rozmową o mojej powieści, godzeniu życia codziennego z pisaniem, planach na przyszłość i poradach dla początkujących autorów. Dziennikarka nie tylko wiedziała, jak się nazywam, ale знаła też moich bohaterów i podczas rozmowy cytowała fragmenty – chyba nie muszę wam mówić, że byłam zachwycona? Do tej pory nie miałam za bardzo z kim pogadać o mojej własnej książce. Beacie niezbyt się podobała, więc wołała unikać tego tematu, Wojtek chwalił się przed znajomymi, że jego żona jest pisarką, ale kiedy pytali, co pisze, zaczynał się jąkać, a mama po przeczytaniu obraziła się na mnie na cały tydzień, bo uznała, że opisałam ją w książce. Na próżno tłumaczyłam, że to tylko fikcja literacka i że wymyśliłam sobie postać matki mojej również wymyślonej bohaterki – odezwała się do mnie dopiero, kiedy zachwycona sąsiadka wyznała jej, że „ta Krystyna, to wypisz, wymaluj, pani – zawsze pięknie ubrana, zadbana jak trzeba i tak córkę kocha, że wszystko jej wybaczy. Moja synowa to mi powiedziała, że chciałaby mieć taką matkę jak ta Krystyna z książki”. Z radia wyszłam w tak radosnym nastroju, że postanowiłam nie rozwodzić się z Wojtkiem i natychmiast powiedzieć mu, jak bardzo go Kocham.

– O – odparła Beata i umilkła wyczekująco.

– No i? – dodała niecierpliwie po dłuższej chwili ciszy.

– Zadzwoiłam. Odebrał tuż przed włączeniem się poczty głosowej i rzucił mi tylko: „Nie teraz, Kochanie, zaraz będzie decydująca zagrywka. Oddzwonię” i rozłączył się.

– I popsuł ci się nastrój?

Przyjaciółki zawsze wiedzą, kiedy użyć specjalnego tonu na granicy współczucia i całkowitego zrozumienia. Czasami nieważne nawet, co mówią, ale jak mówią. Czasami nawet nie muszą nic mówić, wystarczy, że wysłuchają.

– Nie, nawet nie. Usłyszałam to, co spodziewałam się usłyszeć, ale czasami kobieta potrzebuje odrobinę zaskoczenia, pozytywnego zaskoczenia.

Jak na przykład w którąś tam kolejną rocznicę ślubu, kiedy Wojtek zamiast do tej samej restauracji co zwykle, zabrał mnie do opery na *Romeo i Julię*, a potem kupił butelkę wina, którą wypiliśmy na ławce nad Wisłą. Wino było rewelacyjne, zresztą kosztowało prawie tyle co bilet na operę, ale żeby kryć się przed strażą miejską, musieliśmy schować butelkę w papierowej torbie. Było niezwykle romantycznie, a kiedy zapytałam go, co skłoniło go do zmiany corocznego planu, odparł, że jestem wyjątkowa, więc zasługuję na wyjątkowe traktowanie. Wiedział, co chcę usłyszeć. Po tylu latach małżeństwa nie uwierzyłabym w tekst, że szaleje na moim punkcie i jedyne, czego pragnie, to smakować ze mną na nowo życie. Ale odrobina pozytywnego zaskoczenia przydaje się każdej z nas, tyle że nie każdej się przytrafia.

Kiedy oznajmił, że oddzwoni, wiedziałam już, że jak tylko się rozłączy, zapomni o tym telefonie, a zanim odłoży komórkę na stolik obok fotela, zapomni o moim istnieniu i wpadnie w czarną dziurę, czarną jak czarne romby na piłce. Chyba romby, nie pamiętam, kiedy ostatni raz przyglądałam się jej z bliska. Nie pamiętam też, kiedy ostatni raz przyglądałam się z bliska Wojtkowi, ale z pewnością w trakcie podejmowania decyzji rozwodowych. Człowiek ma zazwyczaj dość, kiedy się już napatrzy, przesytny nie jest dobry – zwłaszcza w małżeństwie.

– O moim mężu możemy porozmawiać, jak już wrócę, OK? Jestem na drugim końcu kraju, w dodatku płacę za to połączenie, więc szkoda mi czasu i kasy na gadanie o problemach małżeńskich. – Postanowiłam zmienić temat na przyjemniejszy, czyli przejść do mojego pierwszego spotkania z czytelnikami, które zakończyło tamten dzień w Szczecinie.

Po obiedzie, na który z poczuciem winy zjadłam niemal całą pizzę, choć jako kobieta w siódmym miesiącu ciąży powinnam rozkoszować się półmiskiem grillowanych warzyw i sokiem pomidorowym, i wcale jej nie zwróciłam, przez co siedziała mi na żołądku do późnego wieczora i zabierała miejsce mojej córce, która z kolei wierciła się niemiłosiernie, boksując z furią wypchany żołądek...

– Marta, dotarłaś w końcu na to spotkanie, czy nie?

Dotarłam, a właściwie dotarliśmy na miejsce w totalnym milczeniu, ja byłam zbyt objedzona na prowadzenie konwersacji, a Marian zaczynał mieć syndrom mężczyzny skazanego na towarzystwo ciężarnej – ani się z nią napić, ani na czym wzroku zawiesić, wstyd się z taką pokazać, bo po pierwsze szanse na poderwanie seksownej i wiotkiej osiemnastki spadają do zera, a po drugie sapie to, poci się i lata co chwila do łazienki. Spotkanie zaczynało się o siedemnastej, więc z półgodzinnym wyprzedzeniem zjawiliśmy się w restauracji na wieży, z której rozciągał się piękny widok na miasto. Część sali została odpowiednio przygotowana przez obsługę, ale i tak Marian musiał zakasać rękawy i poprzestawiać stoliki. Ja miałam zająć ten z mikrofonem, więc od razu powiesiłam na krześle szal i udałam się na poszukiwanie toalety. Stałam przed lustrem, poprawiając sobie makijaż i zastanawiałam się, czy ktokolwiek w ogóle przyjdzie. A jeśli – tu drgnęła mi dłoń z kredką, przedłużając kreskę pod okiem prawie do ucha – nikt się nie zjawi?! I będę siedziała przed mikrofonem, wpatrując się smętnie w szklankę wody mineralnej, w której brzuchem do góry będzie unosić się moje ego, aż kelnerzy zaczną w końcu stopniowo gasić światła w restauracji. I dopiero w szatni, tuż przed drzwiami, zaczepi mnie pracująca tam kobieta,

która z nieśmiałym uśmiechem poda mi moją książkę z prośbą o autograf. Dziewczyno! – stuknęłam palcem wskazującym w lustro – obudź się i przestań się nad sobą użalać! Nikt nie przyjdzie? Trudno, nie dowiedzą się, co stracą, ich problem, nie twój! Ty przynajmniej wyrwałaś się z domu, gdzie nie musisz objąć się brzuchem o szanownego małżonka czule przytulonego do telewizora. I tego się trzymajmy, szepnęłam do siebie, wychodząc z łazienki. I tego się... – zamierzałam powtórzyć, ale spojrzałam na salę i odebrało mi mowę. Wszystkie stoliki były zajęte. WSZYSTKIE. Siedziały przy nich kobiety, od dziewiętnastolatek po siedemdziesięciolatki, ściśnięte po kilka przy małych stolikach, na dosuniętych krzesłach, które kelnerzy w pośpiechu przynosili z pozostałej części sali. I wszystkie miały ze sobą moją książkę. WSZYSTKIE. Przetarłam oczy, to niemożliwe, to moja kolejna wizja, tak naprawdę nadal stoję przed lustrem w łazience i po prostu widzę w nim to, co chciałabym zobaczyć, a nie rzeczywistość, bo rzeczywistość zazwyczaj nie bywa dla mnie taka... taka... łaskawa.

– Głupia, przecież ludzie kupują twoją książkę, to dlaczego mieliby nie przyjść na spotkanie z tobą? – rozsądny głos Beaty otrzeźwił mnie na chwilę z euforii, którą znów przeżyłam, wspominając ten wieczór.

Napisałam powieść, nieźle się przy tym bawiłam, świetnie się sprzedała, co się bezpośrednio przełożyło na wzrost mego zadowolenia, ale dopiero widok tych wszystkich kobiet, które przyszły tu, bo przeczytały moją książkę... No wiecie same, co chcę powiedzieć. Wzruszyłam się, nie moje hormony, nie wody płodowe, nie siedniomiesięczna córka, ale ja, człowiek z krwi i kości, wzruszyłam się. Przy moim stoliku siedziała jakaś kobieta, którą powinnam chyba znać, bo jej twarz wydała mi się znajoma, ale nie potrafiłam jej skojarzyć z nazwiskiem ani z sytuacją, w której się poznałyśmy. Ręką zakrywała mikrofon i rozmawiała z nachylonym ku niej Marianem. Może to ktoś z wydawnictwa? Nagle spojrzała ponad jego ramieniem i uśmiechnęła się na mój widok, kiwając dłonią w zapraszającym geście. Podeszłam do nich, po drodze zauważając gościa ustawiającego kamerę z logo lokalnej telewizji – rany boskie, telewizory też są! – i usiadłam na podsuniętym przez Mariana krześle. Przez salę przetoczył się szum, najpierw z nutą zadziwienia, a potem współczucia. Chyba się właśnie dowiedziały, że jestem w ciąży. Kobieta, nie odrywając dłoni od mikrofonu, przedstawiła mi się jako przewodnicząca miejscowego dyskusyjnego klubu książki, która poprowadzi nasze spotkanie. Zatem się nie znamy, tylko skąd w takim razie pamiętam jej twarz? I ten głos, brzmiał zbyt znajomo jak na pierwsze spotkanie. Marian postawił przede mną wysoką szklankę z wodą i wycofał się w kąt, gdzie natychmiast dorwała go dziennikarka z mikrofonem. Sala powoli zaczynała się wyciszać.

– Halo, jesteś tam? Halo? Chyba coś nie tak z zasięgiem, bo coraz słabiej cię sły... Mar... alo?

Jedna zanikająca kreska w moim telefonie oznaczała, że za wiele sobie już tego wieczora nie pogadam. Może to i lepiej? Przynajmniej daruję sobie irytującą rozmowę z małżonkiem. Wysłałam do niego wiadomość:

„jak ci idzie szukanie mieszkania?”

A w odpowiedzi dostałam po chwili:

„rewelacyjnie. szukam. jeszcze nie znalazłem”

Na pewno. Nawet z odległości prawie tysiąca kilometrów jestem w stanie wyczuć, kiedy kłamie. Zaesemesowałam więc do Kacpra, pytając, jak się czuje, co było w szkole i czy jadł cokolwiek na obiad. Nie mogłam się powstrzymać i na samym końcu dodałam jednak pytanie, czy tata wychodził dziś z domu. Chyba nie muszę wam mówić, co odpisał? A chwilę później

przyszedł kolejny SMS. Od Wojtka. Chyba Kacper zdał mu relację z naszej korespondencji.

„o kurwa! wygrałem! wygrałem bilet na mecz finałowy!”

Nie przypominam sobie, by mąż kiedykolwiek się tak do mnie zwracał. Może się pomylił i zamiast wysłać wiadomość tej pannie z pubu, wysłał swojej żonie? Cóż, udało mu się. A jednak te godziny spędzone przed komputerem na idiotycznej grze w typowanie ligi na coś się przydały. Jemu, oczywiście. Bo ja będę akurat tego dnia wracać do Krakowa i zapewne zasuwać z dworca pieszo. Wszystkie taksówki będą bowiem stały pod knajpami, w których wszyscy tramwajarze do spółki z taksówkarzami będą śpiewali przed telewizorem. Zaś małżonek będzie śpiewał na stadionie w Kijowie.

Następnego dnia podczas śniadania, na które wciąż nie mogłam patrzeć, więc piłam swoją kawę zbożową z mlekiem, omijając wzrokiem Mariana jedzącego jajecznicę, pani uwijająca się w kuchni włączyła radio. Nie na tyle głośno, by nam przeszkadzało, ale znów nie na tyle cicho, bym między jedną a drugą reklamą nie usłyszała zapowiedzi rozmowy z pewną autorką, która poprzedniego dnia odwiedziła Szczecin. Redaktor od razu zerwał się z krzesła i pobiegł, żeby pogłośnić, a ja, drapiąc się nerwowo po łokciu, zastanawiałam się, czy radio jest na Facebooku, żebym później mogła sobie na spokojnie odsłuchać mój pierwszy w życiu wywiad. Uwierzcie mi, nawet kawa zbożowa smakuje zupełnie inaczej, kiedy słyszy się na antenie swoje nazwisko! Jednak już po kilku sekundach zorientowałam się, że nie jest to całe wczorajsze nagranie, a raczej montaż poszczególnych zdań o bohaterach i sukcesie sprzedażowym powieści. Po minucie kawa całkiem przestała mi smakować, a po dwóch zaczął się serwis. I tyle. Cała nasza godzinna rozmowa trwała raptem dwie minuty. Marian spojrzął na mnie znad pustego talerza i zaczął mówić coś o mediach, ile to trzeba się namęczyć, żeby zainteresować czymś dziennikarza, a potem tak zazwyczaj się to kończy, ale szybko się wyłączyłam i zajęłam własnymi czarnymi myślami. Gdyby nie tamto wieczorne spotkanie z czytelniczkami moje powieściopisarskie ego zapakowałoby się do pociągu i wróciło z podkulonym ogonem do domu. Kobieta z dyskusyjnego klubu książki, która wciąż kogoś mi przypominała, zaczęła je fragmentem powieści – po prostu otworzyła ją na trzecim rozdziale i zaczęła czytać kawałek o tym, jak moja bohaterka rzuca wszystko w diabły i z dnia na dzień wyjeżdża na wieś w Beskidy. Od tego właśnie zaczęła się nasza rozmowa, do której szybko włączyły się inne kobiety – od zmian w naszym życiu, od tego, co nami kieruje i jakie mamy potrzeby, i że czasami trzeba zmienić jedną drobną rzecz, żeby zmienić wszystko. Pośmiałyśmy się trochę, kiedy opowiedziałam im, jak pisałam książkę, o kursie pisania i zajęciach przedłużających się wieczorami w knajpach. Poużalałyśmy się nieco na nasz los matek, bo w pewnym momencie córka zaczęła tak wierzczać, że musiałam wstać i przespacerować się między stolikami. Dziewczyny patrzyły na mnie z przerażeniem i szeptały między sobą, że nie, dziękują, ale one nigdy, starsze kobiety wymieniały uśmiechy pełne zrozumienia i kiwały głowami, przypominając sobie, jak to one kiedyś kiwały się tak na boki, masując sobie krzyż, a te, które wyglądały na młode matki, przypatrywały mi się tęsknym wzrokiem. Sądząc po obecnym charakterku, moje dziecko po narodzinach zamieni się w tornado i pewnie też nadejdzie taki dzień, kiedy zatęsknię za czasem spokojnej ciąży. Kiedy przeszliśmy do omawiania sceny, w której moja bohaterka oddaje się po raz pierwszy konsumpcji smażonych jąder baranich, Marian zaczął nerwowo kręcić się w kacie. Biedak, był jedynym mężczyzną w tym gronie, nie licząc kamerzysty tak skupionego na pracy, że nic nie słyszał. Rozmowa o pożeraniu jąder sprawiała przyjemność najwyraźniej tylko kobietom. Wreszcie Marian wstał – to był umówiony znak, że najwyższa pora kończyć spotkanie. Zanim jednak pogaszono w sali ostatnie światła i poprzestawiano stoliki, zanim pan od kamery odnalazł wszystkie kable i pochował sprzęt do pokrowców, zdążyłam jeszcze zamienić słowo

z niemal każdą kobietką, podpisać książki i wchłonąć tyle kobiecej siły, którą wspólnie wytworzyliśmy, że byłam w stanie stawić czoła następnemu dniowi, ba, reszcie życia!

Reszta życia legła jednak w gruzach następnego poranka po wysłuchaniu dwuminutowej relacji z godzinnego wywiadu. Humoru nie poprawiło mi też czterdzieści stopni w cieniu, czekające tuż za drzwiami pensjonatu, które gładko przeszło w sześćdziesiąt w wagonie pociągu osobowego do Gdyni i utrzymało się, dopóki nie stanęliśmy gdzieś w środku pola. Plastikowe siedzenia ukryte pod skajopodobnym obiciem zaczęły się powoli rozpuszczać, powietrze w wagonie falowało bez względu na to, czy otwieraliśmy, czy zamykaliśmy okna. Konduktor na wszelki wypadek zaszył się gdzieś albo przebrał się w cywilne ciuchy, bo po godzinie powolnego rozpuszczania się w rozgrzanym do czerwoności pociągu wszyscy solidarnie chcieliśmy go zlinczować. Wreszcie coś drgnęło, podłoga zaczęła wibrować pod nogami i usłyszeliśmy zbliżający się gwizd lokomotywy. Marian wyjrzał przez okno i zakomunikował krótko:

– Coś jedzie. Może i my zaraz ruszymy.

Rzeczywiście ruszyliśmy – zaraz po tym, jak po sąsiednim torze w stronę Gdyni przetoczył się ekspres z wielkim napisem z boku EURO 2012. Za zamkniętymi oknami migały nam twarze roześmianych kibiców, niespoconych, zadowolonych z życia, zrelaksowanych, świetnie bawiących się kibiców podróżujących klimatyzowanym pociągiem z pierwszeństwem przejazdu. Z naszej niebiesko-żółtej kolejki, która w dawnych latach świetności z pewnością kursowała między Wejherowem a Gdańskiem jako SKM-ka, posypał się grad przekleństw, butelek, a nawet kilka pomidorów. Ktoś poświęcił swoje śniadanie, żeby dać upust oburzeniu. Oburzona byłam i ja, ale nie miałam nawet siły na to, by pomyśleć, że umieram z głodu, bo śniadanie z każdą minutą zamiast się przybliżać, oddalało się wraz z mglistą wizją dotarcia do Gdyni. Z trudem, ale jestem w stanie zrozumieć męską fanaberię miłości do piłki nożnej – dlaczego jednak wszystko wokół musi stawać na głowie z powodu jakiegoś tam meczu?! I wtedy nagle w jednym przebłysku olśnienia pojęłam, kim była kobieta prowadząca spotkanie. Wdówka futbolowa, którą poznałam ładnych parę lat temu na Mazurach. Szkoda, że nie przypomniałam sobie wcześniej, zapytałabym, czy jej kolejny związek przetrwał dłużej niż przerwa w meczu.

Oczywiście pierwsze kroki w Gdyni skierowałam do dworcowej toalety, gdzie musiałam odstać swoje w długiej kolejce, dopóki jakaś wspaniałomyślna kobieta nie puściła mnie przodem. Umyłam ręce i twarz w zimnej wodzie, poprawiłam fryzurę, przyklepując odstającą grzywkę i z westchnieniem ulgi dołączyłam do Mariana, któremu burczało w brzuchu jeszcze bardziej niż mnie. To był czas na śniadanie, to był czas na chwilę spokoju i porządną dawkę jedzenia, która utrzyma nas przy życiu do końca dnia. No, mnie przynajmniej do południa. Rozglądałam się wokół, kiedy szliśmy przez niekończący się dworzec – kebab, zapiekanki, pizza, kawa, drożdżówki – coś z pewnością by się znalazło, cokolwiek, byle tylko zaspokoić głód mój i mojej córki, gdyby nie telefon Mariana. Przełożył rączkę walizki do lewej ręki, a prawą wyjął z kieszeni komórkę i zerknął na wyświetlacz.

– Mamy jeszcze sporo czasu, proponuję taksówką podjechać do hotelu, tam zjeść śniadanie i spacerem udać się na Skwer Kościuszki, do studia telewizyjnego. Chyba że woli pani... chyba że wolisz – poprawił się z niechęcią – śniadanie nad morzem.

Nie zdążyłam powiedzieć, że wszystko jedno, byle szybko, a najlepiej natychmiast, bo zaraz

umrę z głodu, gdy Marian spojrzął na zegar dworcowy, zapowietrzył się, zerknął na drugi na przeciwległej ścianie i gwałtownie wyszarpnął telefon z kieszeni.

– Cholera, nie mamy czasu! – I nie oglądając się na mnie, pobiegł do wyjścia.

W pierwszej chwili pomyślałam irracjonalnie, że kradnie mój bagaż, ale nawet to nie zirytowało mnie tak, jak wizja oddalającego się jedzenia. Kiedy wyszłam, przez moment oślepiło mnie słońce i stałam tak na schodkach, ani nie widząc redaktora gwałtownie machającego z taksówki w moją stronę, ani nie przejmując się zbytnio ludźmi, którym tarasowałam przejście. Nad moją głową krzyczały mewy kołujące nad budką z kebabami, na ławce obok dziecko wysypało z kieszeni muszelki i płakało przy zaczerwienionej z gniewu, a może bezsilności mamie, że nie chce wracać do domu, a na plakatach z logo Euro 2012 rozłożonych na murku leżało dwóch meneli z karteczką z napisem: „Pijemy za błędy na boisku, dorzuć się”. W tym właśnie momencie uświadomiłam sobie, że potrzebuję wakacji. Urlopu od wszystkiego – męża, dziecka, ciąży, Beaty i najlepiej od samej siebie. Wystarczyłby tydzień, tutaj w Gdyni, zaszyłabym się w jakimś pensjonacie, chodziła na kawę nad morze i gapiła w latające mi nad głową mewy. Żadnych obowiązków, robienia zakupów, gotowania obiadów, szukania zaginionych skarpetek. Żadnych małżeńskich wieczorów, seksu przy wyłączonym świetle, ustaleń, do których rodziców idziemy na niedzielny obiad. Nic, po prostu tydzień wolnego.

– Marta, naprawdę nie mamy czasu!

Nic dziwnego, ja na nic nie mam czasu, a na urlop od życia tym bardziej. Pomachałam zapłakanej dziewczynce od muszelek i poszłam w stronę taksówki. Jechaliśmy zdecydowanie szybciej, niż pozwalały na to znaki drogowe, ale widocznie Marian ustalił z kierowcą wyższą stawkę, bo dojazd do studia zajął nam trzy minuty. Okazało się, że niechcący przestawił zegar w komórce na inną strefę czasową, pozbawiając mnie śniadania i nastroju odpowiedniego do występu w telewizji. Gdzieś tam powinna być choć maszyna z batonikami, pomyślałam z nadzieją, gdy wysiadaliśmy na Skwerze Kościuszki. Od morza wiał chłodny wiatr, pachniało trochę glonami, trochę świeżą rybą, namoczonym drewnem kutrów i czymś w rodzaju smaru. Uwielbiam ten zapach, jest taki... niekrakowski. Studio mieściło się w jednym z hoteli nad morzem, z tego, co rozumiałam z długiego monologu wizażystki, która przed lustrem nakładała mi na twarz tony pudru, telewizja wynajmowała takie pomieszczenia na pojedyncze nagrania, żeby nie było zbyt monotennie. Pokój, w którym robiła mi pospieszny makijaż, musiał przylegać do kuchni hotelowej, bo zapach jedzenia nie pozwalał mi się skoncentrować. Byłam przeraźliwie głodna, jeszcze chwila, a zacznie mi burczeć w brzuchu, co z pewnością nie wpłynie zbyt korzystnie na jakość nagrania. Tym razem przed wejściem do studia sprawdziłam, czy mam wyłączony telefon, przez co o mały włos nie potknęłam się o kable przecinające całą podłogę pięknej, błyszczącej w świetle kamer... kuchni. Nagranie miało być w kuchni! To już nie ironia, to podłe okrucieństwo losu! Marian siedział na schodkach z papierowym kubkiem kawy w ręku i rozmawiał przez telefon. Na widok mojej nieszczęśliwej miny zerwał się na nogi, rozlewając kawę, zawołał po imieniu prezenterkę, wysoką brunetkę z asymetryczną grzywką, i podbiegł do mnie. Zaraz za nim zjawiała się sama Magda, która imponujący wzrost zawdzięczała dwudziestocentymetrowym złotym szpilkom, poprawiła sobie mikrofon wpięty w brązową lnianą marynarkę i uśmiechnęła się szeroko. Zbyt szeroko. Co ja na to poradzę, że nie lubię wyższych, szczuplejszych i lepiej ode mnie ubranych kobiet?

– Doskonale się pani ubrała! To będzie luźna rozmowa w porannej letniej ramówce

telewizji śniadaniowej. Zapomniałam o tym uprzedzić Mariana i trochę się bałam, że przyjdzie pani w eleganckim kostiumie. Mam nadzieję, że lubi pani pogawędzić też o kuchni, bo w trakcie tej godziny będziemy rozmawiać, przyglądać się, jak szef kuchni robi śniadanie i jeść oczywiście!

Roześmiała się na końcu, co natychmiast jej wybaczyłam, jak tylko do mojego skurczonego z głodu mózgu dotarła informacja o jedzeniu. Będę jadła! Zaraz coś zjem! Śniadanie! Bez słowa pozwoliłam sobie wpiąć mikrofon w tunikę, usadzić się na fotelu przy stoliku do kawy, nawet wstałam i usiadłam ponownie, żeby „zakryć te zmarszczki materiału na brzuchu. Nie, nie, nic nie chcemy ukrywać! Kobiety w ciąży są piękne! Ale kamera jest niewdzięczna i często eksponuje to, co powinno się trochę tu i ówdzie, wie pani, przypudrować”. Operator trochę się wycofał, pewnie nie mieściłam się w kadrze, prezenterka chrząknęła, uśmiechnęła się do kamery i zaczęła opowiadać o gościu dzisiejszego spotkania, który... Wyłączyłam się, bo coś istotniejszego przykuło moją uwagę. Tuż obok nas przy chromowanej ladzie uwijało się kilku ubranych na biało asystentów szefa kuchni. Jeden z nich mył pod bieżącą wodą soczysto zielone liście szpinaku, drugi kroił w maleńką kostkę czosnek, trzeci odwijał z aluminiowej folii rozwałkowane ciasto, czwarty rozkruszał w placach ser pleśniowy do wielkiej miski, w której z kolei piąty mieszał coś drewnianą łyżką, dodając od czasu do czasu kapkę śmietany. Sam szef kuchni, który od asystentów odróżniał się jedynie bardziej wyprasowanym uniformem i precyzyjnie przyszytą bródką, mył z powagą pomidory. Położył je potem na drewnianej desce i nożem przypominającym raczej tasak do rąbania kości zaczął je kroić na cząstki. Dodał świeżą bazylię i tymianek, po czym przystąpił do układania na wysmarowanej blasze ciasta francuskiego. Polał je jakąś dziwną miksturą, której ziołowy zapach rozszedł się po całej kuchni i natychmiast przyciągnął uwagę operatora. Kamera odjechała sprzed naszych twarzy, prezenterka pozwoliła sobie na bezgłośnie ziewnięcie i zapytała, jakie potrawy najbardziej lubię przyrządzać w domu. Jako gospodyni domowa, żona i matka z pewnością dbam nie tylko o zdrowe jedzenie, ale i urozmaicam rodzinne menu. Zamrugłam niepewnie, zastanawiając się, czy specjalnie robi ze mnie idiotkę, czy też po prostu wyglądam na taką.

– To jest niestety największy dramat kobiety: zaprasza się ją do telewizji i pierwsze, o co pyta, to co lubi gotować – zaczęłam z lekka zirytowanym głosem – podczas kiedy ja nie znoszę gotować. Nienawidzę wymyślać obiadów, robić zakupów na tydzień do przodu, przygotowywać menu na kolejne dni, tak żeby mój pan i władca nie znudził się kotлетem przez dwa posiłki z rzędu, a dziecko za każdym razem nie pytało o frytki. Te obiady, kupowanie, mycie, krojenie, obieranie, duszenie, pieczenie, gotowanie, obtaczanie w jajku, w mące, wciskanie do rondla, na głęboki tłuszcz, do rękawa, grillowanie, smażenie, a potem zmywanie, i następnego dnia znów wszystko od nowa. Nie znoszę tego!

Przesadziłam. Oczywiście, że przesadziłam. Magda nie musiała robić wielkich oczu, a Marian przechadzać się nerwowo poza zasięgiem kamery, żebym wiedziała, że przesadziłam. Ja właściwie lubię gotować, zazwyczaj nie to, co lubi jadać mój mąż, ale to już jego problem. Przyrządzam to, na co mam ochotę i kiedy mam ochotę, a kiedy jej nie mam, idziemy z Kacprem do baru mlecznego, których w Krakowie jest na pęczki. Kiedyś Wojtek zabierał mnie do restauracji, których w Krakowie też jest na pęczki, ale pęczek do pęczka, a zbiera się niezły pęk małżeńskich doświadczeń – mąż, ja, dziecko i pęk nie zmieścilibyśmy się przy jednym stoliku.

Po moich słowach zapadła krępująca cisza, Magda nie wiedziała, co powiedzieć, Marian zakrył sobie oczy dłonią, a szef kuchni uśmiechnął się pod nosem. Wstałam z fotela

i przytrzymując palcem mikrofon wyslizgujący się z tuniki, podeszłam do lady.

– Chodzi o to, szanowni państwo, że ja uwielbiam jeść i uwielbiam, kiedy gotuje dla mnie mężczyzna. – Puściłam oko do kamery, która właśnie obejmowała mnie i szefa kuchni polewającego pomidory oliwą. – Uwielbiam również, kiedy potem zmywa, czego niestety nie doświadczam w domu, więc wolę jadać na mieście.

Magda odzyskała rezon i roześmiała się głośno, a operator posłusznie złapał ją w kadr. Wykorzystałam moment i chwyciłam w dwa palce wyslizgującą się cząstkę pomidora. Była pyszna!

Reszta spotkania rzeczywiście toczyła się na luzie, stałyśmy z Magdą przy ladzie, a ja wypytywałam szefa kuchni, co lubi czytać, podjadałam co chwilę wspaniałe ciasto francuskie ze szpinakiem, wysławiając wniebogłosy mistrza, co ten przyjmował z wyraźnym zadowoleniem i rewanżował się równie entuzjastycznymi uwagami na temat mojej książki. Po zakończeniu programu ludzie z ekipy telewizyjnej podchodzili do mnie, gratulując tak swobodnego i naturalnego zachowania, a kilku z nich szeptem przyznało, że zaćmiłam Magdę, bo jeszcze nigdy nie widzieli, jak gość programu przejmuje prowadzenie nad spotkaniem i sam wyznacza kierunek rozmowy. Wszyscy się uśmiechali i obiecywali, że kiedy skończę kolejną książkę, znów się zobaczymy na wizji. Było zabawnie, uroczo, przyjemnie i...

– ... sztucznie. Czułam się jak klaun na arenie cyrkowej, wiesz, takiej sprzed trzydziestu lat, gdzie wszędzie wirowały wióry, śmierdziało kocim moczem, a wielkie czerwone lizaki na drewnianych patyczkach kleiły się do palców.

– Hm, z boku wyglądało to dość naturalnie – odezwał się niepewnym głosem Marian. Nie bardzo wiedział, o co mi chodzi i czy jestem zadowolona z tego spotkania, czy też wręcz przeciwnie.

Sama nie byłam pewna. Z jednej strony, tak, byłam zadowolona. Wszystko poszło po mojej myśli, nie było żadnej wpadki, potknięcia, nie czułam tremy, głos mi nie drżał i nie miałam czerwonych plam na twarzy. Widzowie zapewne świetnie się bawili, kilka osób dzwoniło w trakcie programu i zadawało pytania albo po prostu przekazywało pozdrowienia, co było naprawdę miłe, ale te światła kamer, sztuczny uśmiech prowadzącej i świadomość tego, że gadasz do szybki... To jednak dla mnie za wiele. I cały czas zastanawiasz się, czy przypadkiem nie świeci ci się nos i czy na pewno masz odpowiednią minę. Za bardzo to przypomina randkę w ciemno – nie wiesz, czego się spodziewać, chciałabyś z jednej strony, a z drugiej prosisz znajomych o telefon o określonej godzinie, żeby w pełni usprawiedliwiona zmyć się do domu, a podczas kolacji jedyne, o czym myślisz, to koperek, który ci utknął między zębami. Tak chyba zresztą wyglądała moja pierwsza randka z Wojtkiem. Po tym, jak uratował mnie przed deszczem i zaprosił na kawę, umówiliśmy się na wieczorne spotkanie. Nie byłam wówczas pewna, czy chcę iść. Rozważałam wszystkie za i przeciw, wymyślałam tysiące argumentów, żeby zostać w domu, ale każdy z nich chwilę potem obalałam. To chyba Beata przekonała mnie, żebym jednak poszła, a może sama podjęłam decyzję? Nie pamiętam, to było tak dawno temu... Samą kolację pamiętam za to doskonale – świetne jedzenie i dobra muzyka, na co zresztą liczyłam, gdzieś w połowie wieczoru odpłynęły na drugi plan i całkiem niespodziewanie przestałam się przejmować tym, jak wyglądam, że cuchnie ode mnie czosnkiem, który stanowił podstawę mojej potrawy, i że między zębami utkwił mi kawałek jedzenia. Chciałam mu się podobać, czuć się jak piękna, pożądana kobieta, a zamiast tego zaczęłam się z nim dobrze bawić. I w momencie, kiedy to sobie uświadomiłam, zdałam sobie sprawę, że chyba się zakochałam, a przynajmniej że jestem na najlepszej drodze do

zakochania. Same dobrze wiecie, jacy oni są na początku – uroczy, zabawni, szarmanccy. Mają świetne poczucie humoru, potrafią rozmawiać na każdy temat, doskonale pachną i golą się przed każdym spotkaniem. Zakochać się jest tak łatwo, przynajmniej w pewnym wieku. A potem zaczyna się prawdziwe życie...

Po śniadaniu telewizyjnym Marian na moje wyraźne żądanie pojechał do hotelu z naszymi rzeczami, a ja wreszcie dostałam te swoje pięć minut tylko dla siebie. Okna studyjnej kuchni wychodziły na port jachtowy, więc nie musiałam nikogo pytać o drogę. Zaopatrzona w butelkę zimnej wody mineralnej poszłam spacerem wzdłuż deptaka, minęłam Teatr Muzyczny i zeszłam na plażę. Potrzebowałam chwili ciszy i oczywiście trafiłam od razu na trzy namioty z piwem i transmisją meczu, ale nawet to nie wyprowadziło mnie z równowagi. Lawirując między leżakami i ręcznikami, opalonymi na czekoladę albo rubinową czerwień ciałami turystek, zamkami z piasku i porzuconymi wiaderkami, dotarłam wreszcie na brzeg. Tu o dziwo było cicho, a raczej wszystko zagłuszał szum rozbijających się o brzeg fal. Zsunęłam klapki, zostawiając je po prostu na piasku – i tak nie dałabym rady ich podnieść – i weszłam do wody. Dla tej chwili warto było tłuc się pociągiem całą noc. Wiatr zburzył mi fryzurę misternie ułożoną przez stylistkę. Wystawiłam twarz z telewizyjnym makijażem do słońca i przymknęłam oczy. Nawet moja córka ucichła, chyba uspokajał ją szum fal i zdecydowała się na chwilę relaksu wraz ze mną. Spódnica nasiąkała wodą, stopy coraz bardziej zapadały się w mokrym piasku, a ja stałam i śledziłam wzrokiem mewy. A gdybyśmy przyjechali tu całą rodziną? Może tu dogadałabym się jakoś z Wojtkiem? Może udałoby się pokonać drogę powrotną i cofnąć się do naszych pierwszych spotkań? Nigdy nie byliśmy razem nad morzem, więc byłby to nasz pierwszy raz. Położyłam rękę na brzuchu, który poruszył się niespokojnie. Właśnie, już nic nigdy nie będzie takie jak kiedyś. Nie ma szans na powrót do przeszłości. Pytanie, co zrobimy z przyszłością.

– Nie dzwonisz. Wszystko w porządku? – zapytałam, kiedy tylko Beata odebrała telefon.

– W idealnym! Nie chciałam ci przeszkadzać, poza tym dziś jakoś wiedziałam, co robić. Byliśmy z Kubą w zoo, a potem pojechaliśmy do lasu na piknik, który skończył się lodami. Mały zasnął w samochodzie, kiedy odwoziliśmy go do mamy – wypaliła na jednym oddechu.

Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że widzę ją przed sobą – roześmianą, zachwyconą, opowiadającą z przejęciem, jaką minę zrobił Kuba przed klatką z małpami i jak zatykał nos przed wybiegiem dla słoni. Chodzi po pokoju w jednym klapku, a kiedy stawia drugą stopę na parkiecie, słysząc ciche plaśnięcie. Bransoletki brzęczą na przegubach, gdy wymachuje rękami, naśladując zachowanie małego, a gdy siada nagle na podłodze, obejmując ramionami kolana, wygląda zupełnie jak dziecko. Jak szczęśliwe duże dziecko. Nie znałam takiej Beaty.

– Jutro będzie pierwszy raz u nas spał! Wyobrażasz to sobie? Chyba nie zasnę przez całą noc, bo jak się nagle obudzi w obcym miejscu i przestraszy się? Powinnam spać z nim w pokoju, jak sądzisz?

Oho, znów się zaczyna. To jest przynajmniej kobieta, którą znam od kilku dni.

Przegadałyśmy tak z pół godziny, ona pełna obaw, niepewna, zaniepokojona, ja niemal znudzona przewidywalnością jej pytań. Ciekawe, kiedy sama zacznę odczuwać niepokój. W końcu niemowlę z bliska widziałam ostatni raz kilka ładnych lat temu, a za dwa miesiące

cały mój świat znów skurczy się do rozmiaru pięćdziesiąt sześć, pieluchy i piersi. Spanie, karmienie, przewijanie, spanie, karmienie, przewijanie – i tak w kółko. Wtedy całkiem się w tym rytmie zatopiłam i nie potrzebowałam niczego innego. Co będzie tym razem?

Uspokajałam Beatę tak długo, że wreszcie poszła spać, a ja trochę rozzalona zdałam sobie sprawę z tego, że nie zdążyłam nic o sobie powiedzieć. Nie zapytała mnie nawet o to, jak minął kolejny dzień ani jak się czuję. I chyba właśnie dlatego poczułam się źle.

– Wszystko w porządku? Nie wyglądasz zbyt dobrze – odezwał się Marian podczas kolacji, którą jedliśmy w hotelowej restauracji.

Był tu chyba jedynym mężczyzną, nie licząc obsługi. Przy sąsiednich stolikach siedziały same kobiety i jadły, omijając starannie wzrokiem puste miejsce naprzeciwko. Przyglądałam im się, grzebiąc bez przekonania widelcem w talerzu. Nie byłam głodna, za to coraz bardziej zmęczona upałem, ciągłym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce, z pociągu do hotelu, z hotelu na wywiad, z wywiadu na nagranie, z nagrania na spotkanie, ze spotkania do hotelu i z hotelu do pociągu. Prosto z Gdyni we wtorek rano pojechaliśmy do Radomia, ale i tak musieliśmy się przesiąść w Warszawie, bo tuż przed Dworcem Centralnym ku uciesze zagranicznych kibiców zepsuła się lokomotywa. Grupka Francuzów w wieku balzakowskim najpierw z ożywieniem dyskutowała o subtelny uroku socjalizmu, z którym Polakom najwyraźniej wciąż trudno się rozstać, skoro podróżują takimi pociągami, a potem zaczęła sobie robić zdjęcia w wagonowej toalecie. Wars okupowali głównie Brytyjczycy, choć było tam też kilku Niemców i zdaje się Portugalczyków, którzy łamaną angielszczyzną bezskutecznie próbowali się dogadać z konduktorem. Dopiero nazwy klubów i nazwiska mniej lub bardziej nieznanymi mi piłkarzy rzucane przez Portugalczyków wywołały uśmiech zrozumienia na jego twarzy. Marian posłużył im za tłumacza, a ci odwzięczyli się czekoladą dla żony, czyli dla mnie. Zjadłam ją, jakoś musiałam sobie wynagrodzić koszmarną podróż w wagonie restauracyjnym, bo stażystka owszem, kupiła bilety, ale nie na ten pociąg. Miejsc oczywiście już nie było, więc musiałam wcisnąć mój wielki brzuch między fotel a stół, oba oczywiście przyśrubowane do podłogi, tak żeby ułatwić życie ciężarnym. Na peronach lokalnych dworców, które mijaliśmy, nie zwalniając ani na chwilę, stali albo leżeli mężczyźni owinięci szalikami – stali zazwyczaj ci, co kopali, kopani raczej leżeli, ale trudno było powiedzieć dokładnie, bo jechaliśmy dość szybko i momentami obraz się rozmazywał. Obok torów na całej trasie walały się butelki po piwie, bluzy, proporczyki i transparenty, a zapach, który wpadał czasami do pociągu przez uchylone okna, przypominał męską szatnię: spoczone skarpetki, mokre ręczniki i woda po goleniu. Podobnie zresztą pachniało na radomskim dworcu, przez który przewijała się masa kibiców. Ci, którzy nie znaleźli noclegu w Warszawie, zapewne zdecydowali się na sąsiednie miejscowości, skąd bez problemu można dojechać do stolicy. Nic dziwnego, że wszystkie stoliki w hotelowej restauracji były zajęte przez same kobiety. Ich partnerzy siedzieli właśnie albo w pokoju przed telewizorem, albo w holu przed wielką plazmą, albo na stadionie. Gdybym była tu z Wojtkiem, siedziałabym przy tym stoliku sama, bo jakoś nie wyobrażam sobie kontemplowania jego profilu na tle ekranu telewizyjnego. Jeszcze kilka lat temu wyglądałoby to inaczej. On poprosiłby kelnera o szklany wazon, bo przed wejściem do restauracji dałby mi bukiet kwiatów, pewnie róż – to w końcu jedyna roślina, którą mężczyźni rozpoznają w kwiaciarni. Siedzielibyśmy naprzeciwko siebie, a kwiaty stojące na środku stołu zasłaniałyby mi jego twarz.

Wychylalibyśmy się co chwilę, żeby na siebie spojrzeć, on wyciągnąłby rękę i dotknął mojej dłoni, a ja w pierwszej chwili chciałabym ją zabrać ze stolika, ale nie zrobiłabym tego. W końcu on, żartując, przesunąłby kwiaty na bok i jedlibyśmy kolację, nie spuszczać z siebie wzroku, nasze kolana niemal by się stykały pod obrusem, a gdybym wysunęła stopę choć o centymetr do przodu, dotknęłabym jego stopy. Patrzyłby na mnie, jakby chciał zapamiętać moją twarz w najdrobniejszych szczegółach, jakby poza mną nie było w tej sali nikogo innego, jakbyśmy byli sami na całym świecie. Tak właśnie byłoby jeszcze kilka lat temu. Tak właśnie było kilka lat temu. Tak właśnie mogłoby jeszcze być.

– Dobrze się czujesz? Marta?

Spojrzałam na niego półprzytomnie. Nie, nie czułam się dobrze. Obraz lekko falował mi przed oczami, kobiety przy stolikach miały takie płynne ruchy, że niemal zlewały się ze sobą ich dłonie podnoszące widelce do ust. Za kelnerami leniwie przemierzającymi salę ciągnęła się ledwo widoczna biała smuga. Twarz Mariana, kiedy wreszcie udało mi się skupić na niej wzrok, rozjeżdżała się raz w jedną, raz w drugą stronę. Był taki blady, że prawie zlewał się z bielą obrusa.

– Zaprowadzę cię do pokoju i wezwę lekarza, dobrze? Tak na wszelki wypadek.

Chyba się potknęłam na progu, a może po prostu nogi odmówiły mi posłuszeństwa i poczułam nieodpartą chęć położenia się tu i teraz, nie pamiętam dokładnie, bo chwilę później wszystko odpłynęło.

– No, wreszcie się pani obudziła! Już myślałem, że trafiła się nam śpiąca królewna.

Spojrzałam na czubek nosa, na którym ledwo utrzymywały się okulary. Jeszcze chwila, a spadną mi na twarz, pomyślałam, ale zanim zdążyłam zareagować, okulary wraz z nosem podjechały do góry i zobaczyłam resztę mężczyzny koło pięćdziesiątki. Lekarza, jak domyśliłam się chwilę później, patrząc na jego biały fartuch i wyposażenie pokoju. Położnika, dodałam, odkrywszy, że leżę na kozetce, a mój brzuch pokryty jest przezroczywą mazią. Chyba właśnie nie urodziłam, co?!

– Trochę pani przesadziła z tą pracą. Przydałoby się odpocząć, bo przemęczenie nie jest najlepsze dla człowieka, a człowieka w siódmym miesiącu ciąży tym bardziej. Wypiszę zwolnienie, a mąż podbije je w recepcji. Z dzieckiem wszystko w porządku, zajrzałem sobie właśnie do niej, przekręciła się już głową w dół, wie pani? Proszę tylko trochę poczekać, aż dostatecznie wykształcą się jej płuca, i proszę sobie rodzić do woli. Ale najpierw to niech się pani wyśpi.

Świetnie, nie wiedziałam, że bycie autorem może być takie męczące. Żel zaczął się powoli rozpuszczać i kapał mi z brzucha na tunikę. Wytarłam się chusteczkami, które leżały koło sprzętu do USG, i podniosłam się z kozetki.

Marian siedział na krześle w poczekalni i przeglądał kolorowe pisemko ze zdjęciami piłkarzy. „Erotyczne życie naszej ligi”, głosił napis pod fotkami. Z tego punktu widzenia euro nabiera ciekawszych barw, pomyślałam, zamykając za sobą drzwi do gabinetu. W przeciwieństwie do mojego redaktora, który był chyba nawet jeszcze bardziej blady niż w hotelu, zanim zemdląłem. Zerwał się na mój widok i podał mi torebkę, po czym zapytał, czy na pewno czuję się na tyle dobrze, żeby przejść dwieście metrów, bo dokładnie tyle dzieliło nas od drzwi hotelu. Pokiwałam tylko głową i poszliśmy wolno, noga za nogą, ja oparta na jego ramieniu, on wyprostowany z trudem utrzymywał równowagę pod naporem mojego

ciężaru. Wyglądaliśmy jak stare dobre małżeństwo. Tego wieczora zasnęłam w ubraniu i po raz pierwszy od kilku miesięcy przespałam całą noc. Przespałam również śniadanie i poranną wizytę w radiu, ale o jedno i drugie zadbał mój anioł stróż. Kiedy otworzyłam oczy, śniadanie czekało na tacy na nocnym stoliku koło łóżka. Pod talerzem z twarożkiem leżała kartka wydarta z notesu: „Odwołałem poranne spotkanie w radiu. Następne, o ile się obudzisz i będziesz się dobrze czuć, jest dopiero po trzynastej, ale i to możemy pominąć. Zadzwoń, jak już wstaniesz. M.”.

Zjadłam śniadanie w łóżku, palcem wpychając wyłażącą przez brzuch stopę. Mała wierciła się coraz bardziej, wciąż rośnie, a moja skóra ma ograniczoną rozciągliwość. Tak mi się przynajmniej zdaje, kiedy staję w łazience przed lustrem i wycieram się wielkim ręcznikiem. Prysznic przywrócił mi siły, ale to, co zobaczyłam w odbiciu, odebrało mi chęć do życia – brzuch nie mieścił mi się w lustrze! Stałam bokiem i wstrzymałam oddech, a potem powoli wypuściłam powietrze. Nic, żadnej różnicy. Dalej wyglądam, jakby ktoś doczepił do mnie piłkę do ćwiczeń w szkole rodzenia. Brodawki ściemniały, piersi znów chyba powiększyły się o kolejny rozmiar, bo ledwo wciskam je w stanik. Na rozstępy nie zwracam nawet uwagi, gdybym mogła, smarowałabym się kremem i od środka, bo nie widzę żadnych postępów. Mogłabym po prostu go nie używać, a zaoszczędzone pieniądze dołożyć do kasy porodowej, ale jeśli on naprawdę działa? Może gdyby nie on, wyglądałabym jak jeden wielki rozstęp? Nienawidzę tych wszystkich pism kobiecych z reklamami cudownych kosmetyków na wszystko. Z artykułami o spełnionych kobietach w ciąży, które urodziły na biurku w pracy, a teraz pod nim trzymają kołyskę z niemowlęciem. Które na zdjęciach z porodówek, ubrane w seksowną satynową bieliznę w rozmiarze 34, trzymają przytulone do piersi noworodki. Nienawidzę ich najbardziej, kiedy patrzę na swoją napuchniętą twarz, obwisłe piersi, rozciągniętą skórę na wielkim bębnie brzucha, podwójne uda z milionem pajęczków, pocięte sinoniebieskimi żyłami nogi i stopy z nierówno pomalowanymi paznokciami. Woda ściekająca z włosów kapie na podłogę, a ja liczę te krople, zupełnie jak dni, które zostały mi do porodu, żeby nie myśleć o tym, co będzie potem. Wojtek niedawno znalazł w komodzie majtki zakupione specjalnie z myślą o szpitalu, wiecie, takie w rozmiarze XXXL. Przyglądał im się chwilę z rosnącym zdumieniem, rozłożył je i chwytając palcami za gumkę spytał, co to jest. Wyjaśniłam, pokiwał głową, odłożył je z powrotem, a właściwie zwinął w kulkę i schował pod moimi białymi koronkowymi stringami. Od tamtego momentu zaczęłam się zamykać wieczorem w łazience. Nie chciałam zobaczyć się jego oczami po wyjściu spod prysznic.

Zadzwońiłam do Mariana i zapytałam, o której wychodzimy na spotkanie z dziennikarzem.

– Nigdzie nie wychodzimy, on pojedzie do hotelu i przeprowadzi z tobą wywiad w holu albo restauracji. Powinien tu być za jakąś godzinę, więc masz jeszcze chwilę dla siebie.

Chyba zaczynam go lubić, pomyślałam, odkładając telefon na krzesło. Nawet nie musiałam wprowadzać w życie misternego planu pozbycia się jego towarzystwa. Na początku bałam się, że będzie mi towarzyszył przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, że gdziekolwiek się obrócę, zobaczę jego facjatę, że nie spuści ze mnie oka, dopóki nie wrócimy do Krakowa. Postanowiłam wykorzystać do czegoś wiedzę nabytą na szkole rodzenia – do czegoś w końcu miała się przydać – i symulować skurcze porodowe za każdym razem, kiedy będę chciała zostać sama. Nie było jednak dotąd okazji, chyba poćwiczę to na Wojtku.

Wysuszyłam i ułożyłam sobie włosy, zrobiłam delikatny makijaż, zdjęłam z wieszaka tunikę, która wyschła na balkonie w ciągu godziny, i znów byłam gotowa zmierzyć się z kolejnym dniem.

Kiedy macie problemy w związku, nigdy, ale to nigdy nie próbuj ich rozwiązać poprzez dzieci. Nie mieszajcie ich do waszych kłótni, nie używajcie jako argumentu, nie przeciągajcie na swoją stronę. A już na pewno nie wolno wam robić z nich pośredników – kiedy masz coś do powiedzenia partnerowi, a nie chcesz z nim rozmawiać, napisz mu to na kartce, wyślij SMS, napisz mail, ale nie przekazuj tego przez dziecko.

- Cześć, kochanie, co tam porabiasz?
- Mama!!! Gdzie jesteś? Kiedy wracasz do domu?

Miałam wrażenie, że nie widziałam go od miesiąca, a minęły dopiero cztery dni. Pewnie się zmienił, wydorósł i zamiast mojego syneczka zastanę w domu małego mężczyznę, któremu ten większy zdążył już wpoić, że w pewnym momencie życia lepiej porzucić etap dużego mężczyzny i wrócić do dużego dziecka.

- Właśnie jadę do Katowic, skąd jutro rano wracam prosto do ciebie!
- I do taty.
- I do taty, ale przede wszystkim do ciebie, bo strasznie się za tobą stęskniłam.
- A za tatą nie?
- Za tatą też, ale nie tak bardzo jak za tobą, kochanie. Powiedz mi, co tam porabiasz. Dziś masz do szkoły dopiero na jedenastą, tak? Lekcje odrobione? Śniadanie jadłeś? Spakowałeś kanapki do plecaka?

- Babcia mi spakowała.
- Babcia jest u was?
- Nie, ja jestem u babci, od wczoraj, bo nie było nic w domu do jedzenia i skończyły mi się skarpetki, i powiedziałem tacie, żeby zrobił pranie czy coś, ale tata nie wie, jak nastawić pralkę, miał do ciebie dzwonić, żebyś mu powiedziała, ale ja wiedziałem, że to ci się nie spodoba, więc zadzwoniłem do babci i babcia powiedziała, że mam przyjść na kolację, ale potem chciało mi się spać, więc teraz zjadłem śniadanie, a babcia wyprała mi wczoraj skarpetki, majtki i koszulkę – i wiesz, że wyschły w nocy? Tak było gorąco, ale czad, nie?

Wspaniale, nie dość, że mam męża idiotę, który nie umie zadbać o dziecko, to jeszcze moja matka przez kolejny rok będzie mi wypominać, że mam męża idiotę i nie umiem zadbać o dziecko!

- Kacperku, a gdzie jest teraz babcia?
- W kuchni, chcesz z nią rozmawiać?
- Nie, nie! Wyjdź do ogrodu, dobrze? Powiesz mi, czy zakwitły wreszcie te nasturcje, które kupiliśmy babci na imieniny.

Kiedyś wydawało mi się, że nigdy nie okłamię Wojtka, ale z czasem odkryłam, że drobne mijanie się z prawdą, przemilczanie pewnych kwestii i naginanie innych zgodnie z potrzebami naprawdę przydaje się w naszym związku. Skoro zdaję sobie sprawę z tego, że czasami chcę usłyszeć coś, co niekoniecznie jest prawdą, tym bardziej wiem, co i kiedy on chce usłyszeć, nawet jeżeli to czyste kłamstwo. Potem pojawił się Kacper i obiecałam sobie, że wychowam go bez stosowania tej techniki, ale od kiedy zaczął rozumieć, co się dzieje wokół niego, i powtarzać wszystko dziadkom, zmieniłam zdanie.

- Mamo, jeśli mamy rozmawiać na osobności, to nie wciskaj mi kitu o nasturcjach. Spokojnie, babcia nas nie słyszy.

Jak to możliwe, że w ciągu sekundy moje dziecko z ośmiolatka zmienia się w nastolatka?! Czas zdecydowanie za szybko leci, przecież nie tak dawno temu zmieniałam mu pieluchy, siedziałam z nim w piaskownicy, odprowadzałam do przedszkola, a teraz rozmawiam z nim

o moim małżeństwie.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co robi tata, po prostu mnie o to zapytaj.

Pomyłka, to on rozmawia ze mną o moim małżeństwie.

– Dobrze, a więc chciałabym wiedzieć, co obaj robicie, od kiedy wyjechałam.

– Tata robi rano śniadanie, jeśli coś jest w lodówce, potem ja idę do szkoły, a jak wracam, jemy pizzę albo frytki z cheeseburgerami, przynajmniej jest potem mniej do zmywania. Potem czytam albo siedzę w necie, lekcji nie odrabiam, bo nam nie zadają, nie musimy sprzątać, więc mam więcej czasu na rower. Tata stwierdził, że szkoda marnować tyle energii, i odkłada sztućce i talerze do jednej komory zlewozmywaka. Powiedział, że wszystko posprząta przed twoim powrotem, żeby się nie nabrudziło. Jemy teraz w pokoju, nie chciało nam się przenosić tam stołu, więc siadamy na dywanie przed telewizorem. Mogłabyś już wrócić, mam, bo już mi się te mecze znudziły, a nic innego tata nie pozwala mi oglądać. No i jeszcze powiedział, żebym ci nie mówił o tym telewizorze i cheeseburgerach, że to taka nasza męska sztama.

Męska sztama. Tak właśnie powiedział, kiedy wziął go pierwszy raz na ręce. „Mama jest fajna, synu, ale męska sztama to rzecz święta”. Co powie teraz, jak weźmie na ręce małą? O ile oczywiście dożyje tej chwili, bo jak wrócę...

– I powiedział też, że mam nie mówić o niespodziance, którą robimy na twój powrót. Przygotowujemy przyjęcie! Będą lody i tort czekoladowy, taki jak lubisz. A wczoraj po południu przecięliśmy jedno prześcieradło i namalowaliśmy farbami wielki napis: WITAMY NASZĄ PISARKE. Dzisiaj, jak już posprzątam, powiesimy je w pokoju na ścianie, o ile się zmieści. Całkiem fajnie nam wyszło, sama zobaczysz. Tylko mam, bądź zaskoczona, dobra? Bo się wyda, że ci powiedziałem!

Zapewniłam go, że jestem tak zaskoczona, że z pewnością nie przejdzie mi do jutra, wysłuchałam jeszcze kilku opowieści o kolegach z klasy i wreszcie Kacper poleciał do szkoły. Wciąż byłam zaskoczona, kiedy schowałam telefon i spojrzałam przez okno. Pola i pojedyncze drzewa, i nic poza tym, nie ma na czym zawiesić wzroku i choć przez chwilę przestać myśleć o niespodziance. Marian siedział naprzeciwko i czytał książkę. Trzymał ją na wysokości twarzy, odgradzając się ode mnie. Pewnie ma już dość, pomyślałam, wpatrując się w okładkę. Tytuł był nieczytelny, a sama książka zniszczona, jakby przeczytano ją już ze sto razy. Pozaginane rogi, plama na grzbiecie i kilka wypadających kartek. Nie oderwał od niej wzroku przez całą podróż do Katowic, może się bał, że po przedwczorajszych przygodach zechcę porozmawiać z nim o lękach porodowych. Dziwnym trafem właśnie na tym temacie skończyło się radomskie spotkanie z czytelnikami. W głównej sali biblioteki ustawiono koło trzydziestu krzeseł, przynajmniej tyle naliczyłam, kiedy siedziałam tam przez dwa przedłużające się w nieskończoność kwadransy, zanim ktokolwiek się pojawił. Marianowi znów pomyliły się godziny i o ile dziennikarz z lokalnej gazety przybył do hotelu trzydzieści minut wcześniej, o tyle spotkanie w bibliotece odbyło się trzydzieści minut później. Część krzeseł i tak do końca została pusta, omijałam je wzrokiem, żeby sobie nie popsuć humoru, i skupiałam się na tych, którzy się pojawili. A było na kim się skupić! Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam tak żywiołowych, kipiących energią i poczuciem humoru emerytek! Przyszły na spotkanie ze mną, a ja czułam się przy nich jak niewydarzona dziewczynka, która nie ma zielonego pojęcia o życiu i która wreszcie może się czegoś o nim dowiedzieć. Zaczęły od marudzenia, że euro, że mecze, że na mężów nie ma co liczyć, że synowie siedzą przed telewizorami, że wnuki tylko po knajpach siedzą albo po stadionach latają, i że gdyby nie kobiety, świat już dawno przestałby istnieć. Na początku prowadząca jakoś sobie z nimi

radziła, ale już po kwadransie bezceremonialnie jej przerwały i zaczęły mi zadawać pytania, same na nie odpowiadać, a wreszcie przerzucać się anegdotkami. Żałowałam, że nie mam przy sobie nic do pisania, bo niektóre historie warto by zostawić dla potomnych, na przykład w moim poradniku.

Kiedy między wami przestaje się układać, pojawiają się spięcia, a po kłótni on idzie spać do swojej matki, przestań się ludzić, że cokolwiek da się rozwiązać. Spakuj go i wyślij rzeczy taksówką pod jej adres. W pierwszej chwili ona cię zienawidzi, bo w jej mniemaniu skrzywdziłaś jej synka, w drugiej wybaczy, bo wreszcie wrócił do rodzinnego gniazda, a w trzeciej będzie cię błagać, żebyś przygarnęła go z powrotem. Kiedy zaczniecie plotkować przez telefon o jego idiotycznych nawykach i wymieniać się poradami, jak najefektowniej skłonić go do wyprania własnych skarpetek, w teściowej zyskasz przyjaciółkę i współniczkę, nawet jeśli jednak się z nim rozwiedziesz.

Gdzieś pod sam koniec, kiedy wreszcie poczułam się jak jedna z nich, chociaż jako jedyna nie piłam herbaty z dolewką z piersiówki krążącej między nami, wypłynął temat macierzyństwa, obaw, presji społecznych związanych z rolą kobiety i oczywiście związków damsko-męskich w kontekście powiększającej się rodziny.

– To wydarzyło się już dość dawno temu. – Jedna z kobiet wyjęła z torebki paczkę cukierków miętowych i poczęstowała nimi sąsiadki, nie przerywając swojej opowieści. – Poznaliśmy się w latach sześćdziesiątych. Zakochałam się w nim już po kwadransie rozmowy. On codziennie kupował mi kwiaty i nie mógł ode mnie oderwać wzroku, a to wystarczy, żeby wyjść za męża.

Sąsiadka po jej prawej westchnęła z nostalgią, na co sąsiadka po lewej wychyliła się i syknęła uciszająco.

– Zamieszkaliśmy na chwilę w największym pokoju u moich rodziców, więc przez cały tamten czas czułam się jak dziewczyna uprawiająca zakazany seks w swoim panińskim łóżku, co nie było takie złe. – Roześmiała się. – Działo stymulująco na nasze pożycie. Potem dostaliśmy własne mieszkanie i wtedy właśnie zaczęły się problemy. Wszyscy oczekiwali, że będziemy mieli dzieci, najlepiej trójkę albo czwórkę. Na początku nam się nie spieszyło, poza tym on pracował na dwie zmiany i czasami widywaliśmy się dopiero w weekend. Kiedy wreszcie ustaliliśmy, że to już czas, nie stało się nic. Oczekiwanie z każdym miesiącem nasiąkało rozczarowaniem mojej matki i „dobrymi poradami” jego. Nie pamiętam, o czyją matkę pokłóciliśmy się pierwszy raz, ale w końcu zaczęliśmy się kłócić o wszystko. Wraciał coraz później z pracy, czasami w tygodniu niemal wcale go nie widywałam, wtedy mógł już wybierać sobie zmiany i zazwyczaj brał drugą albo trzecią, żebyśmy nie musieli się widywać. A potem któregoś dnia, kiedy robiłam pranie, znalazłam w jego kieszeni złote serduszko na łańcuszku. Nigdy go nie dostałam, ale ktoś z pewnością tak. W moje czterdzieste drugie urodziny wrócił do domu nad ranem. Cuchnęło od niego przetrawionym alkoholem i czymś jeszcze. Może gdybym nie znała tego zapachu, nie wydarzyłoby się to wszystko, a ja byłabym dziś zupełnie inną osobą. To były perfumy, które z okazji ślubu dostałam od kogoś z rodziny ojca, chyba od jego kuzynki z Ameryki. Część naszej rodziny wyjechała tuż przed wojną z kraju, ale to nieistotne. Moje perfumy skończyły się dawno temu, a mój mąż pachniał obcą kobietą. Zrobiłam mu wtedy o piątej nad ranem scenę zazdrości, która niespodziewanie dla nas zakończyła się w łóżku. Pierwszy seks od wielu lat i ostatni, jak się wkrótce okazało, bo zaszłam wtedy w ciążę. Zanim cokolwiek było widać, rozwiodłam się z nim. O dziecku dowiedział się dopiero, jak Bartek miał sześć lat – zdaje się, że znajomi mu powiedzieli. Miałam pracę, miałam dziecko i mamę, która tuż po sześćdziesiątce została babcią. Pomogła mi we wszystkim, nigdy mnie nie skrytykowała, bez niej nie byłabym tak silną kobietą, jaką jestem. A wiecie, co jest w tym najzabawniejsze? Że jak odbierałam Bartka z kolonii, poznałam ojca jego kolegi, mojego obecnego męża, a mój pierwszy od dłuższego czasu wpada ze swoją drugą żoną do nas w odwiedziny. Mówię wam, nie ma nic lepszego niż rozwód!

Wspaniale, przecież tego akurat nie opiszę, przecież to ma być poradnik, a nie antyporadnik. Hm, chyba że...

Pociąg kilka razy stawał gdzieś w szczerym polu. Zapewne po to, by kibice udający się do Chorzowa mogli porozkoszować się urokliwymi widokami. Ja się rozkoszowałam, rozkoszowała się też zakonnica, która dosiadła się w Kielcach, jednym okiem zezująca na Mariana. Siedziała obok niego, więc książka nie zasłaniała jej ani wyrazistego makijażu na jego bladej twarzy, ani kilku dodatkowych kolczyków, które pojawiły się w jego brwiach i uszach dzisiejszego poranka. Im bliżej Krakowa, tym więcej Mariana, choć nadal wypowiadał góra jedno zdanie na godzinę. Naprawdę go lubię, może będzie też redaktorem poradnika i znów pojedziemy razem w trasę autorską? Tylko następnym razem będzie musiał zrobić sobie kurs z opiekowania się niemowlęciem, bo bez małej nigdzie się nie ruszę. Po pierwsze nie zostawię jej z Wojtkiem, bo pewnie zmiksuje pizzę i poda jej przez smoczek, a po drugie – jak niby mogłabym wyjechać bez niej? Tyle kilometrów już razem zrobiliśmy, z całej rodziny to właśnie ona towarzyszyła mi w najważniejszych momentach tych ostatnich siedmiu miesięcy, no przecież jej nie zostawię!

Zakonnica oderwała wzrok od Mariana i przykleiła się do mnie. Słońce świeciło akurat pod takim kątem, że cały przedział odbijał się w oknie jak w lustrze. Udawałam, że kontempluję las, i obserwowałam, jak sąsiadka z przeciwka lustruje mnie od stóp do głów. Gdzieś w okolicy połowy mego ciała zmrużyła oczy, żeby wyostrzyć spojrzenie, i najwyraźniej dojrzała wykop małej, który jednocześnie poczułam w brzuchu i ujrzałam w spojrzeniu przerażonej zakonnicy. O tak, pomyślałam, masując okolice pępka, nie wiesz, co straciłaś, ale zaprawdę, powiadam ci, ciesz się z tego.

– I jak się czujesz?

To było trzecie pytanie zadane w ciągu małżeńskiej konwersacji: „Cześć. Co tam u ciebie? Jaka pogoda? I jak się czujesz?”. W każdym innym przypadku zaliczyłabym je do serii pytań retorycznych podtrzymujących rozmowę, ale po ostatniej przygodzie dopatrzyłam się w nim ukrytego sensu. Troszczy się o ciebie i przejmuje się, zależy mu – powiedziało coś w mojej głowie na tyle głośno, że przez chwilę pomyślałam, że to on. Ale Wojtek nie stosował nigdy takich chwytów. Czasem podsuwałam mu książki z działki psychologicznej, żeby poznał nasze relacje od podszewki, wiedział, jak ma ze mną dyskutować i jak mnie bezkarnie obrażać, tak żebym się nie zorientowała. Kładł je grzecznie koło łóżka, gdzie służyły jako podstawka pod telefon, kubki z herbatą albo gazety. Gdyby ludzie czytali te wszystkie książki, byłoby mniej rozwodów. No i znacznie mniej małżeństw, ale to już inna sprawa. Jeśli szukacie właśnie partnera i chcecie dobrej rady, to rozglądajcie się za psychologiem. Każdą krytyczną uwagę pod waszym adresem zacznie od: „Kocham cię, szanuję i akceptuję taką, jaka jesteś”. Potem oczywiście następuje „ale”, jednak uzasadnienie owego „ale” jest na tyle przyswajalne, że zrobicie wszystko, byle tylko każdego ranka aż do grobowej deski mówił wam „ale”. Gorzej, gdy samemu jest się psychologiem. Człowiek zamienia się we własnego terapeutę, który tłumaczy kwestie partnera z języka emocjonalnego na mniej emocjonalny. „Jesteś dokładnie taka jak twoja matka!” oznacza tylko tyle, że on wyładowuje właśnie nagromadzone pokłady wewnętrznej agresji, a że jesteś akurat pod ręką... „No oczywiście, zawsze wszystko wiesz

najlepiej!” to nic innego jak nieumiejętne skrywanie poczucia własnej niepewności i lęku przed podejmowaniem decyzji.

– Marta, jesteś tam jeszcze?

Na końcu języka pojawiło mi się: „jeszcze jestem”, ale połknęłam te słowa, zanim zdążyłam je wypowiedzieć. Opowiedziałam mu za to w skrócie historię z omdleniem, a on kazał mi natychmiast wracać, zaoferował się nawet, że po mnie przyjedzie, właściwie to już jedzie, włoży tylko spodnie i wychodzi. Nie musiałam wkładać wszystkich sił w to, żeby go odwieść od tego pomysłu. Po prostu zapytałam, czy nie ma dziś przypadkiem żadnego meczu. Okazało się, że jest, rzeczywiście, o mały włos by zapomniał, i co on by beze mnie zrobił, i w takim razie przyjedzie jutro.

– Jutro, kochanie, wracam sama, więc może chociaż odkurz przedpokój, żeby nie doznała szoku, wchodząc do mieszkania.

Tak, to był właśnie przykład ironicznej uwagi, której nie powinno się używać podczas rozmów z partnerem, bo ironia nadaje wypowiedzi mylny przekaz, pokazuje negatywne nastawienie mówiącego, zniechęcając tym samym odbiorcę, wreszcie nie wnosi do rozmowy nic konstruktywnego, nie przekłada się na wyjaśnienie sytuacji i naprawienie problemu. Zamknęłam z hukiem netbooka i uśmiechnęłam się przepraszająco do Mariana i zakonnicy. On jednak nawet nie wychylił się zza książki, a ona dalej spała wtulona w bładozieloną zasłonkę.

W Katowicach na dworcu przywitał nas tłum powiewający biało-czerwonymi szalikami. Stali w głównym holu, ramię przy ramieniu, z twarzami zwróconymi w stronę wyjścia. Wyglądali, jakby czekali na znak do wiwatowania, wznoszenia okrzyków i skandowania haseł, bo w grupie panowała całkowita cisza. Mroczna cisza, nasunęło mi się na myśl, kiedy obchodziliśmy dookoła z Marianem i zakonnica pogrążony w milczeniu tłum. Odetchnęłam dopiero, kiedy udało się nam wyjść na zewnątrz.

– Miałam dziwne wrażenie, że zaraz nas zlinczują, czekają tylko, aż któreś z nas cokolwiek powie, żeby rozszarpać nas na strzępy. Wydawało mi się, że Polska już grała?

Spojrzałam pytająco na Mariana, ale on tylko wzruszył ramionami. Prawdopodobnie jedyny normalny mężczyzna w tym kraju. Nie dość, że nie wie, kto z kim i o której gra, to jeszcze nie robi to na nim najmniejszego wrażenia.

Zakonnica na pożegnanie kiwnęła nam głową i ruszyła w stronę przystanku autobusowego. Chciałam pójść za nią, ale Marian gestem wskazał taksówkę, która tym razem zawiozła nas na koniec miasta. Ku mojemu zdziwieniu zatrzymaliśmy się w dzielnicy domów jednorodzinnych, przed bramą prowadzącą do ogrodu. Zza drzew wyłaniała się wieżyczka z jednym okrągłym okienkiem i kawałek spadzistego dachu. Pensjonat na obrzeżach Katowic?

– Szukaliśmy miejsca w hotelach, pensjonatach i kwaterach do wynajęcia, ale w całym mieście nie było już wolnego pokoju. – Marian odwrócił się na przednim siedzeniu, czekając, aż taksówkarz wypisze rachunek, i spojrzał na mnie. – Moglibyśmy oczywiście wracać do Krakowa dzisiaj wieczorem po ostatnim spotkaniu, ale chyba lepiej by było, gdybyś trochę odpoczęła. Poza tym do pierwszego wywiadu zostały jeszcze dwie godziny, zawsze możesz w tym czasie odświeżyć się, zjeść coś i się zdrzemnąć – dodał jakby przepraszająco.

Nie bardzo wiedziałam, w czym tkwi haczyk, dopóki taksówka nie zniknęła za rogiem. Marian stał przed furką i zastanawiał się, czy wejść do środka, gdy z ogrodu doleciało radosne:

– Maniu! Jesteś nareszcie! Kochanie, jak dawno cię nie widziałam!

Zaraz za głosem wyłoniła się zza drzew jego właścicielka, okrągła blondynka między

czterdziestką a pięćdziesiątką. Ubrana w kusą sukienkę ze sklepu indyjskiego i sportowe sandały, z czapką z daszkiem na głowie dla ochrony przed niemiłosiernie palącym słońcem wyglądała jak mała dziewczynka. Przełożyła sekator z prawej do lewej dłoni i otworzyła nam furtkę. Maniu?!

– Cześć, mamó – odezwał się Marian, ucałował ją w oba policzki i odwróciwszy się lekko w moją stronę, dodał: – Marto, to jest moja mama, która zaprosiła nas dziś do siebie.

– Emilia, proszę mi mówić Emilia, nie, skądże, to żaden kłopot, w ogóle nie ma o czym mówić, bardzo się cieszę, że panią poznałam, chodźmy na górę, pewnie pani ledwo żyje, taki dziś upał, pokażę pani do razu pokój, jest na piętrze, ale schody są dość wygodne, więc nie powinna mieć pani problemu, może chce się pani od razu położyć? A zresztą, po co mamy mówić sobie na pani, przyniosę ci coś zimnego do picia, Maryś mówił, że macie jeszcze chwilę przed spotkaniami...

Emilia nie przestawała mówić, nie zrobiła sobie nawet krótkiej przerwy na wzięcie głębszego oddechu po tym, jak uścisnęła mi rękę i zaprowadziła na górę do pokoju. Szłam za nią po schodach, jej bosa pięty migwały mi przed oczami, a głos opadał i wznosił się, przyspieszał i na moment zwalniał, jakby dając mi czas na odpowiedź, ale nie – matka Mariana była najwyraźniej samowystarczalna. Zanim weszłam do pokoju, wiedziałam już, że ją lubię, choć w niczym nie przypominała syna. Właściwie tworzyli idealną parę przeciwieństw, zapewne wygląd, zachowanie i temperament Marian odziedziczył po ojcu.

Wzięłam już drugi tego dnia prysznic, wypiałam duszkiem szklankę lodowatej wody z cytryną i zesłam na dół. Znalazłam ich w ogromnej kuchni, która wraz z jadalnią zajmowała niemal cały parter. Maryś, zaśmiałam się cicho, nigdy bym nie uwierzyła, że można tak do niego powiedzieć. Posępna, chuda postać ubrana cała na czarno, z kolczykami w uszach, nosie i brwiach siedziała, opierając łokcie na stole. Emilia krążyła wokół niego, wirując po kuchni jak bąk, co chwilę doskakiwała z filiżanką herbaty, talerzykiem do ciasta, piernikiem, biszkoptem, owocami, serwetkami, których stos rósł koło Mariana. Kręciła się i opowiadała o pracy ojca, o ogrodzie, o sąsiadach i ich dzieciach, o ciotkach, wujkach i kuzynach, o książkach, które ostatnio czytała, i filmach, na których była w kinie z przyjaciółkami. A Maryś siedział, słuchał i... Nie wierzyłam własnym oczom! Uśmiechał się! Tak zupełnie normalnie, serdecznie się uśmiechał, słuchając swojej matki. Stałam chwilę, schowana za przymkniętymi drzwiami, wysłuchałam opowieści o panu Jurku z domu na końcu ulicy, który miesiąc temu popełnił samobójstwo z miłości, i wróciłam cicho na górę. Nie chciałam im przeszkadzać.

– Marta, wszystko w porządku? Trochę się zaniepokoiłam, bo nie zeszłaś do nas.

Emilia usiadła na brzegu łóżka, obciągając na kolanach sukienkę. Zdażyła zmienić sandały na klapki na małym obcasie i uwolnić spod czapki włosy, które teraz rozsypały się jej na ramionach. Nieustannie zakładała je za ucho, nie była przyzwyczajona do rozpuszczonych włosów.

– Za jakieś pół godziny będziecie musieli wyjść, dojazd do centrum o tej porze stanowi nie lada wyzwanie, zwłaszcza od kiedy zaczęło się to całe szaleństwo z piłką nożną. Przyniosłam ci banana, żebyś tam nie zasłała z głodu, bo obiad będzie dopiero wieczorem, jak już wrócicie. Wymyślę coś dobrego. Już tak dawno nie mieliśmy porządnego rodzinnego obiadu, Marian nie przyjeżdża zbyt często, a dla naszej dwójki nie chce mi się specjalnie gotować.

Ach, kiedyś jednak w końcu będzie nas częściej odwiedzał, jak już pozna wreszcie jakąś miłą dziewczynę, urodzą się dzieci, to się może nawet tu przeprowadzi? Moglibyśmy oddać im całą górę, sporo tu miejsca, nie uważasz? Zrobilibyśmy remont, moglibyśmy nawet zaadaptować strych, to idealne miejsce do wychowywania dzieci, nie sądzisz?

Była starsza ode mnie o kilka lat, może trzy, a może siedem, trudno powiedzieć, i żyła zupełnie innym życiem niż ja. Miała dorosłego syna, męża, którego powrotu z pracy nie mogła się doczekać, ukochane rośliny w ogrodzie i mnóstwo wolnego czasu. I ten piękny stary dom z tysiącami zdjęć, które wisały w każdym pokoju – wakacje, święta, śluby, chrzciny. Może kilka z nich było sztucznymi scenkami z życia rodzinnego, cała reszta to uchwycone momenty prawdziwego życia: zapłakany trzylatek schowany pod ramieniem taty, Emilia tańcząca z mężem, a na kolejnym zdjęciu z nastoletnim synem, Maryś bawiący się z psem. Maryś! No naprawdę, istnieją pewne granice. My jedynie narobimy kiedyś wstydu Kacprowi przy dziewczynie, mówiąc do niego: myszko. O ile to „my” będzie jeszcze wówczas istniało. Każde zdanie Emilii o jej życiu zaczynało się od „my”. Nie poznałam jej męża tego dnia, chociaż miałam już wrażenie, że doskonale się znamy. Dopiero następnego ranka, kiedy zeszłam z walizką do kuchni, starszy mężczyzna równie blady jak Marian, ale z włosami przyprószonymi siwizną podniósł się na mój widok i wyciągnął rękę.

– Jestem Piotr – powiedział po prostu, kiedy przedstawiłam się i wybąkałam coś o kłopotcie, który niechcący im sprawiłam tą wizytą w Katowicach. – I zaraz będzie pani w jeszcze większym kłopotcie, bo postanowiłem odwieźć was na dworzec. I nie, proszę nie oponować. Nawet gdybym sam nie wpadł na ten pomysł, żona obudziłaby mnie o świcie i siłą zaciągnęła za kierownicę, bo jak już kogoś polubi, to na amen. – Uśmiechnął się znad kubka kawy i dodał: – Mamy też zbożową. Zrobić?

Piotr był prawnikiem, zajmował się rozwodami, więc skorzystałam z okazji i w ramach porannej pogawędki w kuchni wypytałam go o wszystko, co się z tym wiąże, a na samym końcu zadałam pytanie, którego sama się po chwili zawstydziałam:

– Na co dzień ma pan do czynienia z rozpadającymi się związkami, więc jakim cudem jesteście jeszcze małżeństwem?

Roześmiał się, przymrużył jedno oko i całkiem poważnie odparł:

– Właśnie dlatego. Wiem, jak łatwo można zepsuć coś, co budowało się całymi latami, a nie ma nic bardziej kruchego niż małżeństwo.

Kiedy już pożegnałam się z Emilią i mościłam się w samochodzie, próbując naciągnąć pas, żeby zmieścić pod nim brzuch, a Marian wpychał do bagażnika moją walizkę, swój plecak i wielką torbę wypełnioną słoikami z jedzeniem, Piotr usiadł za kierownicą, zerknął w lusterku wstecznym na syna i wyszeptał:

– Jest pani pewna, że nie jesteście parą i to nie dziecko Mariana?

Wlepiłam w niego zdumiony wzrok, a on westchnął.

– Szkoda, bo już mieliśmy z Emilią nadzieję, że ta cała trasa autorska to tylko pretekst, żeby nas sobie przedstawić.

Nie powtórzyłam tego Marianowi, kiedy rozmawialiśmy później w pociągu. Zdaje się, że pobyt w jego domu rodzinnym wpłynął na zacieśnienie naszych relacji, bo po raz pierwszy rozmawialiśmy zupełnie swobodnie i przegadaliśmy te niemal dwie godziny podróży. Zbliżaliśmy się już do Krakowa, kiedy zapytał, które spotkanie najbardziej mi się podobało.

Odparłam zgodnie z prawdą, że nie wiem, wszystkie spotkania z czytelnikami były na swój sposób wyjątkowe i niepowtarzalne. Za każdym razem przychodzili zupełnie inni ludzie, czasami zadawali te same pytania, ale miałam wrażenie, że oczekują innych odpowiedzi. Czasami było bardziej swobodnie, jak podczas spotkania w Gdyni, innym razem znów kameralnie, niemal przyjacielsko, jak poprzedniego wieczora w Katowicach, choć zapowiadało się zupełnie inaczej. Zaczęło się od tego, że dziennikarz, z którym byliśmy wcześniej umówieni, zapomniał o wywiadzie.

– Zapomniałem, na śmierć zapomniałem! Wie pani, tyle się teraz dzieje, że trudno się dziwić, euro, kibice, audycje, wywiady, spotkania, no i mecze. – Westchnął rozdzierająco, mrugnął do Mariana i dodał: – Jak w raj, po prostu jak w raj.

Wzięty do raju dziennikarz nie tylko zapomniał o spotkaniu, ale i o tym, by się wcześniej przygotować. Nie przeczytał książki, co jeszcze byłam w stanie zrozumieć, ostatecznie nie jest jej czytelnikiem, ale on nie sprawdził nawet notki na okładce, nie miał pojęcia, jak się nazywam, nie wspominając o tytule. Nie dało się ukryć, że był po prostu całkowicie nieprzygotowany. Marian wpadł na pomysł, żeby zamiast wywiadu puścić na antenę fragment przeczytany przez autorkę, co oboje przyjęliśmy z ulgą. Przeczytałam dłuższy kawałek, który miał zostać dopiero odpowiednio przycięty i zmontowany, podpisałam kilka egzemplarzy „na wypadek, gdyby ktoś dzwonił do radia i pytał o książkę” i tak oto zakończyłam ostatnie spotkanie z dziennikarzem. Zostało mi tylko popołudnie z czytelnikami w miejskim domu kultury, co już podczas tych kilku dni zdążyłam polubić, a potem powrót do domu. Wystarczyły mi dwie godziny w domu rodziców Mariana, a już zaczęłam tęsknić za swoim. Co prawda to tylko małe duszne mieszkanie, ale tam czekał na mnie Kacper, a być może nawet w przerwach między meczami mój mąż. Mąż, który zadzwonił dokładnie w momencie, kiedy przekraczając próg domu kultury, wpadłam na plecy Mariana.

– Co się... Tak? Wiesz co, nie mogę teraz rozmawiać, mam zaraz... A gdzie spotkanie? Co oni tu... Tak, dobrze się czuję, wszystko w porządku. Wszystko w porządku? To czemu nie wchodzimy? Oddzwonię później, dobrze?

Nie byłam pewna, czy którykolwiek z nich zauważył, że rozmawiam jednocześnie z obydwoma, ale kiedy już schowałam telefon do torebki i spojrzałam przez ramię Marianowi, przestało to mieć znaczenie. To było *déjà vu*. Cały hol budynku, włącznie ze schodami, parapetami nisko osadzonych okien i przedziwnymi konstrukcjami z *papier mâché* wypełniony był mężczyznami w szalikach, do złudzenia przypominającymi tych z dworca. Wpatrywali się w jedną ścianę, na której migotał wyświetlony z rzutnika obraz. Zmrużyłam oczy i przeczytałam pod nosem:

Górniku, jesteśmy z Tobą,
nie opuścimy Cię,
nigdy Cię nie zdradzimy,
bo my kochamy Cię,
lo lo lo lo lo.
Górnik Zabrze najwspanialej gra,
Górnik Zabrze nasza drużyna,
Górnik Zabrze drużyna marzeń, snów,
Górnik Zabrze dzisiaj wygra znów,
lo lo lo lo lo.

Każdy ze zgromadzonych tu mężczyzn trzymał w dłoni śpiewnik ze spiętych zszywaczem

kartek, w którym zapewne był ten sam tekst, ale nikt tam nie zaglądał. Tłum jak zahipnotyzowany gapił się w mało czytelne słowa na ścianie.

– Przepraszam, halo, przepraszam mówię! Panowie, ruszcie się trochę, przejść przecież muszę!

Ściana mężczyzn przed Marianem odrobinę zafalowała i spomiędzy dwóch szalikowców wypadła korpulentna kobietka w wieku średnim, zsunęła z nosa okulary, które natychmiast opadły na jej biust opięty czerwoną bluzką i zawisły na naprężonym łańcuszku.

– Państwo z wydawnictwa, prawda? Na spotkanie z czytelnikami? Znakomicie, panowie już kończą, proszę się nie przejmować. Mają takie małe zebranie przed piątkowym meczem, ćwiczą swoje piosenki. Proszę tu boczką sobie przejść, tam pod ścianą za krotanem i bluszczem są fotele, gdzie można chwilę odpocząć. A ja tymczasem trochę tu ogarnę.

I zanim wypowiedziała ostatnie słowo, zniknęła z powrotem w tłumie. Po chwili gdzieś ze środka holu doleciał jej wysoki głos:

– No, już kończymy! Do domu, do domu! Rozchodzimy się! Już wszystko umiecie, nie ma sensu tu dłużej tkwić. Zdejmujemy szaliczki i wychodzimy. Zaraz tu będzie spotkanie z pisarką i rozmowa o książce, więc jeśli chcecie zostać... Powoli! Nie wszyscy naraz! Parami, parami, mówię!

Schowani za wielkimi donicami krotanu i pnącego się po kolumnach bluszczu z podejrzenie błyszczącymi liśćmi słyszeliśmy pospiesznie opuszczający hol tłum. Trwało to może z dwie minuty i nagle w środku zrobiło się naturalnie cicho – gdzieś z oddali dochodziły przytłumione dźwięki ulicy, ktoś na piętrze walił w rozstrojone pianino, a za kolejnym krotanem pani intensywnie pachnąca wanilią stuknęła łyżeczką o szklanekę. Pani, jak miałam się chwilę później przekonać, prowadząca nasze spotkanie. Nie znoszę zapachu wanilii, to znaczy nie znoszę go od siedmiu miesięcy, bo wcześniej nie miałam nic przeciwko drzewkom dyndającym na lusterkach wstecznych taksówek ani perfumom zalatującym ciastem drożdżowym. Waniliowa moderatorka spotkania dosiadła się do mnie, jak tylko odnaleźliśmy właściwą salę, a ja przywitałam się, uścisnęłam jej dłoń, po czym pobiegłam do łazienki zmyć z siebie ten zapach. Odczekałam, aż zostawi na chwilę Mariana i zajmie się przeglądaniem notatek, by odciągnąć go na bok i szeptem zakomunikować, że jeśli natychmiast nie wymyśli, jak zneutralizować laseczkę wanilii, pakuję się i wracam pieszo do Krakowa. I nie myślcie, że blefowałam! Na szczęście los okazał się łaskawy i jak weszliśmy z powrotem, na moim miejscu siedziały dwie nastolatki. Zająłam więc pierwsze lepsze krzesło i spokojnie czekałam, aż sala się zapełni. Nie zapełniła się, przyszło może z piętnaście osób, z czego trzy wyszły po niecałym kwadransie. Nie ruszyłam się jednak z miejsca i kiedy wanilia zaczęła nerwowo rozglądać się po sali, pomachałam jej ręką i zaproponowałam nieco bardziej luźną atmosferę.

– Skoro jesteśmy w kameralnym gronie, porozmawiajmy swobodnie – panie przyszły na spotkanie ze mną, a ja z paniami. Lepiej się będę czuła siedząc tutaj, między wami, a nie naprzeciw was. W końcu wszystkie jesteśmy kobietami.

Marian gestem pokazał mi, że poczeka na zewnątrz, i zniknął, cicho zamykając za sobą drzwi. Atmosfera od razu się rozluźniła. Z moich obserwacji wynika, że w pewnych sytuacjach mężczyźni są po prostu niepożądani, nie zawsze to sobie uświadamiamy, ale wystarczy, że zostajemy we własnym gronie, a już tracimy pewną sztywność, odprężamy się, wyswobodzamy z pewnych gestów, min i zaczynamy rozmawiać o tym, co może niekoniecznie ważne, ale potrzebne. Potrzebne nam, kobietom.

Laseczka wanilii nie chciała ustępować mi pola, więc zaproponowała, by wszystkie

napisały swe imiona na karteczkach i przypięły agrafkami do bluzek. Zanim ktokolwiek się zgodził, znalazły się agrafki i notesik, z którego wyrwane kartki powędrowały między krzesłami.

– Skoro jesteśmy w kameralnym gronie i mamy czuć się swobodnie, mówmy sobie po imieniu. Zatem, Marto, opowiedz nam, co cię właściwie skłoniło do napisania książki.

I właśnie na tym ostatnim spotkaniu postanowiłam być szczerą i zgodnie z prawdą odparłam, że nuda, rutyna i powtarzalność dni i tygodni zmusiły mnie do wymyślenia sobie czegoś bardziej ciekawego niż moje życie. Pisałam ją dla siebie, dla własnej rozrywki i bawiłam się całkiem nieźle, mniej przyjemne było już wysłanie jej do wydawnictw, a raczej cisza z ich strony. Dopiero kiedy zadzwonił mój obecny wydawca, wszystko się zmieniło, nabrało tempa – bo powieść, bo poradnik na zlecenie – i zarazem zwolniło, bo znów zaszłam w ciążę.

– Tym razem będzie jednak inaczej. Skończyłam z nudą i rutyną. Życie jest znacznie ciekawsze, kiedy ma się plany, a ja mam ich wiele i nie wiem, co z nich wyjdzie, a co okaże się tylko mrzonką, ale wiecie co, jest ich tyle, że jak zrealizuję co dziesiąty, to będzie dobrze. Wiem, czego oczekuję od życia, muszę jeszcze tylko je skłonić do tego, by dało mi dokładnie to, co chcę. I wam też to radzę.

I właśnie nad tym się zastanawiałam następnego ranka, kiedy cudem zdążyliśmy na pociąg do Krakowa. Piotr starał się omijać poranne korki, ale co wyjeżdżaliśmy z jednego, trafialiśmy na kolejny. Marian w biegu kupił sobie na dworcu kawę i – jak się okazało potem w przedziale, kiedy wyjął z kieszeni papierową torebkę – pachnącą drożdżówkę dla mnie, czym mnie całkowicie rozczulił. Chyba dam małej na imię Marianna. Właśnie, muszę o tym pomyśleć. I o Wojtku też. I o kolejnej książce. Jest kilka spraw do przemyślenia, ale mam trochę czasu. W końcu jestem gospodynią domową piszącą z nudów bestsellery.

Tuż przed wjazdem na peron zabuczała moja komórka. „Mamo, czekamy na dworcu, tata kupił kwiaty, bądź zaskoczona”.

Czyżby odwołali mecz finałowy?! Stadion się zawalił? Spodenki piłkarzy skurczyły się w polskiej pralce? A może uciekli na widok szatni? Mój mąż nie pojechał na mecz, chociaż wygrał bilet, o którym marzył od czterech lat. Niemożliwe. I w dodatku stoi na dworcu z kwiatami. Dla mnie. Nie, to zdecydowanie niemożliwe. A jednak mignął mi gdzieś między górą plecaków a windą, kiedy pociąg wjeżdżał na peron.

Kiedy już siedzieliśmy w taksówce, Kacper z przodu zapatrzony w profil pani kierowcy, niezwykle seksownej blondynki w czapce z daszkiem, ja z tyłu zapatrzona w bukiet frezji i ukradkiem zerkająca na cudem nawróconego małżonka, Wojtek nachylił się i szepnął mi do ucha:

– Wiem, że nie byłem ostatnio najlepszym mężem. Trochę o tym myślałem, jak cię nie było, i doszedłem do wniosku, że musimy, to znaczy muszę coś zmienić. Wszystko się zaraz znów zmieni w naszym życiu – dotknął lekko mojego brzucha, a moja córka natychmiast zareagowała i kopnęła nas oboje – i musimy, to znaczy muszę bardziej o nas zadbać. Porozmawiajmy jutro albo pojutrze i na spokojnie wyjaśnijmy sobie wszystko. Obiecuję, że będzie lepiej.

Wyciągnął rękę i przytulił mnie do siebie, a ja zdębiałam. Ktoś ukradł mojego męża

i podstawił nedorobiony falsyfikat! „Wiem, nie byłem najlepszym mężem, muszę coś zmienić, porozmawiajmy, wyjaśnijmy sobie” – co jak co, ale w męskim słowniku nie ma miejsca na te słowa! To podejrzane, to...

– Zrezygnowałem dla ciebie z meczu, chociaż sama wiesz, jak mi na nim zależało...

Aha, z pewnością będzie mi to powtarzał do końca życia w ramach największego poświęcenia małżeńskiego.

– bo na tobie zależy mi bardziej...

Aha, no i...?

– ale za cztery lata, podczas kolejnego euro nie planuj żadnych wyjazdów, dobrze? Albo umów się wcześniej z matką, że podrzucisz jej dzieciaki, bo wtedy to już na pewno pojedę na mecz.

Dzięki Bogu, to jednak mój mąż.

– Jasne, kochanie – uśmiechnęłam się do niego – o ile jeszcze wtedy będziemy małżeństwem.

Pół roku później siedziałam wieczorem w pokoju Meli i wpatrywałam się w płatki śniegu topniejące na szybie. Za ścianą Kacper grał na moim komputerze i czekał, aż Wojtek skończy oglądać mecz, żeby załapać się na jakiś kultowy film dla ośmiolatków, o którym nigdy w życiu nie słyszałam. Jak tylko wróciłam z Melą ze szpitala, mój mały synek przeprowadził ze mną poważną rozmowę. Odczekał, aż ją nakarmię i przebiorę, a kiedy zasnęła, ściszym głosem poinformował mnie, że po pierwsze bardzo się cieszy z siostry, po drugie jest na tyle dojrzały, by rozumieć sytuację pojawienia się w rodzinie nowego dziecka, a kiedy patrzyłam na niego wzrokiem nic nie rozumiejącej matki, dodał:

– Chciałem ci po prostu powiedzieć, że nie jestem o nią zazdrosny i że to głównie z myślą o niej codziennie mówiłem tacie o rozwodach rodziców moich kolegów z klasy. Wiesz, wtedy kiedy nie było ciebie w domu, a tata ciągle oglądał mecze. Widziałem, że jesteś na niego wściekła i że on tego nie widzi, więc codziennie opowiadałem mu o innym koledze, o tym jak jeden tydzień mieszka z tatą, a drugi z mamą albo jak mieszka tylko z mamą, bo ta wygrała sprawę w sądzie, a jego tata nie ma z czego płacić alimentów, bo stracił pracę i nie ma gdzie mieszkać. Te frezje na dworcu to też był mój pomysł. Fajny, nie?

Po czym mój dojrzały syn oddalił się do swojego pokoju, do rozłożonej na dywanie kolejki elektrycznej, którą bezskutecznie próbował uruchomić Wojtek.

Właśnie, wiele się zmieniło, odkąd urodziła się mała. Proces zaczął się wcześniej, kiedy wróciłam z trasy autorskiej. Na przyjęciu niespodziance, na którym pojawili się moi rodzice i teściowie oraz Beata z Maćkiem i Kubą w papierowej czapeczce, Wojtek zaciągnął mnie na chwilę do kuchni, żeby na osobności powiedzieć, że naprawdę się za mną stęsknił. Nie, nie oszukujmy się, nie zmienił się, nie wyrzucił telewizora z domu i nie spalił koszulki z logo euro, ale kiedy zdecydowanie oświadczyłam, że jeśli nie postara się trochę bardziej, rozwiodę się z nim, zrozumiał. Tydzień później pokazał mi na stronie agencji nieruchomości cztery różne mieszkania, które wybrał z kilkudziesięciu ofert. Oglądaliśmy je w trójkę i mimo sporów o to, które ostatecznie wybrać, zdecydowałam się na czteropokojowe mieszkanie w Wieliczce. Nie zdążyliśmy go jednak kupić, bo mała się pospieszyła i trzeba było ekspresowo zmienić datę cesarki. Do szpitala zawiozła mnie Beata, Wojtek siedział z tyłu i ścisnął w rękę torbę z rzeczami. Wszystkie formalności związane z kupnem mieszkania przeprowadziłam miesiąc później, z Melą wiszącą u piersi – agent był zachwycony i bardziej podatny na negocjowanie prowizji. Kredyt wziął oczywiście na siebie Wojtek, ale spłacam ja. Na początku nie chciał się na to zgodzić, „jesteśmy małżeństwem, dlaczego tylko ty masz spłacać mieszkanie?”. „Jesteśmy, ale nie wiem, co będzie za kilka lat. Po co przy rozwodzie mamy się kłócić o podział domu?”. Moja logika trochę go przeraziła, więc przestał argumentować i przystał na wszystko. W listopadzie dostałam pierwszy przelew z wydawnictwa – honorarium za książkę przyprawiło mnie o zawrót głowy. A przed świętami wychodzi mój poradnik małżeński, właściwie antyporadnik, bo trochę go przerobiłam przed oddaniem. Nie, nie rozwiedliśmy się przez te pół roku, nie wiem, czy się rozwiedziemy, czy przetrwamy jako małżeństwo. Rozmawiałam z nim o tym jeszcze przed pojawieniem się Meli, ale jako że telewizor był włączony, na zawsze pozostanie dla mnie zagadką, ile z tego zrozumiał. W każdym razie zaczął się starać, spędzać z nami czas, zabierać Kacpra na niedzielne wycieczki, żebym odpoczęła

przed okresem wrzeszczącego noworodka, kupować mi kwiaty i komplementować moje sukienki z zasłon. Lubię takie staranie się, też zaczęłam się starać. W końcu o to chodzi, tylko dzięki staraniu da się przeżyć w małżeństwie dłużej niż dwanaście lat.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję po pierwsze kobietom, które czytały *Wdówki futbolowe* scena po scenie, w miarę ich powstawania, za uwagi, poprawki i podbudowujący chichot – Agnieszce, Kasi i Magdzie.

Po drugie Arturowi, mojemu redaktorowi, który musiał się użerać z moją bohaterką i z jej autorką.

Po trzecie wszystkim, którzy pracowali nad tą książką, bo oddanie jej wydawcy to dopiero początek, potem zaczyna się harówka...

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)